

MAURIZIO DE GIOVANNI

ŁZY PAJACA

ZIMA KOMISARZA RICCIARDIEGO

NOIR SUR BLANC



MAURIZIO DE GIOVANNI

ŁZY PAJACA

ZIMA KOMISARZA RICCIARDIEGO

Przełożył
Maciej A. Brzozowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

ŁZY PAJACA

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

SPOTKANIE Z RICCIARDIM

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału:
IL SENSO DEL DOLORE.
L'INVERNO DEL COMMISSARIO RICCIARDI

Opracowanie redakcyjne: KLEMENS GÓRSKI
Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, BEATA WYRZYKOWSKA
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ
Fotografia na okładce: © A. Dupont/Library of Congress/Corbis/VCG via Getty Images
Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2007 by Maurizio de Giovanni
Published by arrangement with the Italian Literary Agency For the Polish edition
Copyright © 2018, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-89-9

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Mojej matce

I

Martwe dziecko stało nieruchomo na skrzyżowaniu między Santa Teresa a Muzeum. Przyglądało się dwóm siedzącym na ziemi chłopcom, którzy grali kulkami w Giro d'Italia. Martwy chłopczyk patrzył na nich i powtarzał: *Mogę zejść? Mogę?*

Mężczyzna bez kapelusza wyczuł obecność martwego chłopca, jeszcze zanim go zobaczył. Wiedział, że lewa strona, ta, którą jako pierwszą napotkają jego oczy, była nietknięta; z prawej upadek zmiażdżył czaszkę, ramię przebiło klatkę piersiową, a miednica okręciła się wokół złamanego kręgosłupa. Wiedział też, że na trzecim piętrze narożnej kamienicy, która tej środy, wczesnym rankiem, rzucała chłodny cień na ulicę, okno jednego z balkonów było zamknięte. Na niskiej poręczy wisiała czarna zasłona. Mógł sobie tylko wyobrazić ból młodej matki, która w przeciwieństwie do niego już nigdy nie zobaczy syna. Dla niej to lepiej, pomyślał. Co za koszmar.

Martwy chłopczyk, częściowo ukryty w cieniu, podniósł wzrok na przechodzącego mężczyznę bez kapelusza. *Mogę zejść? Mogę?* – zapytał go. Skok z trzeciego piętra, porażający ból, przesywający jak błyskawica.

Mężczyzna bez kapelusza pochylił głowę i przyspieszył kroku. Minął dwóch chłopców, którzy z poważnymi minami dalej bawili się w Giro d'Italia. Biedne dzieci, pomyślał.

Luigi Alfredo Ricciardi, mężczyzna bez kapelusza, był komisarzem bezpieczeństwa publicznego w lotnej brygadzie królewskiej kwestury^[1] w Neapolu. Miał trzydzieści jeden lat, tyle, ile liczył sobie teraz wiek XX. I dziewiąty ery faszystowskiej.

Chłopiec bawiący się samotnie pewnego lipcowego ranka ćwierć wieku wcześniej na pałacowym dziedzińcu w Fortino, w prowincji salerniańskiej, nie był biedny. Mały Luigi Alfredo to jedyny syn barona Ricciardiego di

Malomonte. Nigdy nie pozostanie mu żadne wspomnienie po zmarłym w młodym wieku ojcu. Matka ciągle chorowała na nerwy i zmarła w domu opieki, kiedy Luigi uczył się w szkole u jezuitów. Zachowa po niej ostatnie wspomnienie: ciemna karnacja, siwe już w wieku trzydziestu ośmiu lat włosy i błyszczące od gorączki oczy. Drobniutka, w wielkim łożu.

Ale ten lipcowy ranek definitywnie przewartościował jego życie. Znalazł kawałek drewna, który zamienił się w szablę Sandokana, Tygrysa z Malezji. Opowieści Maria, zafascynowanego Salgarim zarządcy, których z zapartym tchem słuchał całymi godzinami, szybko stawały się realne. Z szablą w dłoni Luigi nie obawiał się już dzikich zwierząt ani okrutnych wrogów, potrzebował jednak dżungli. Obok dziedzińca znajdowała się winnica, do której wolno mu było chodzić. Lubił cień rzucany przez długie liście winorośli, niespodziewany chłód, brzęczenie owadów. Mały zuchwały Sandokan ze swoją drewnianą szablą wkroczył w mrok, posuwając się bezszelestnie w wyimaginowanym lesie. Zamiast cykad i trzmieli wyobrażał sobie bajecznie kolorowe papugi i prawie słyszał ich egzotyczne nawoływania. Jakaś jaszczurka przebiegła przez ścieżkę pośród żwiru. On pobiegł za nią, lekko pochylony, z wysuniętym językiem i skoncentrowanymi na pościgu zielonymi oczami. Jaszczurka skręciła, zmieniając trasę.

Jakiś człowiek siedział na ziemi pod pędem winorośli. Znajdował się w półcieniu, jakby szukał ochłody w dżungli przed okrutnym żarem lipcowym. Miał pochyloną głowę, ramiona zwisały mu wzdłuż ciała, ręce dotykały ziemi. Wydawało się, że śpi, ale jego plecy były sztywne, a wysunięte na ścieżkę nogi lekko rozrzucone. Był ubrany jak chłopci w zimie: miał wełnianą kamizelkę, flanelową koszulę bez kołnierzyka, spodnie z grubego płótna przewiązane w pasie sznurkiem. Mały Sandokan, z szablą w dłoni, zauważył te wszystkie szczegóły, nie dostrzegając, że coś jest nie tak. Potem zorientował się, że z piersi mężczyzny, po lewej stronie, wystaje rękojeść wielkiego noża do obcinania winogron. Wyglądała zupełnie jak jakaś gałąź. Ciemna ciecz zaplamiła koszulę, ściekając aż na ziemię, gdzie utworzyła kałużę. Teraz malezyjski Tygrys widział ją wyraźnie mimo cienia rzucanego przez winorośl. Kawałek dalej jaszczurka zatrzymała się

i obserwowwała chłopca, prawie rozczarowana przerwą w pościgu.

Mężczyzna, który powinien być martwy, podniósł wolno głowę i odwrócił ją w stronę Luigiiego Alfreda, lekko skrzypiąc kręgam szyjnymi. Spojrzał na niego zasnutymi mgłą, na wpół przymkniętymi oczami. Cykady zamilkły. Czas stanął w miejscu.

Na Boga, nawet nie dotknąłem twojej kobiety.

Luigi Alfredo uciekł z krzykiem. Chciał zostawić za sobą całe to cierpienie, które trup chłopca przerzucił na niego. Nie przestraszył się ani niespodziewanego spotkania, ani rękojeści noża, ani krwi dokoła. Nikt nie powiedział mu, że ta zbrodnia w winnicy, pięć miesięcy wcześniej, była aktem zazdrości innego chłopca, który uciekł po zabiciu swojej młodej żony. Mówiono, że dołączył do bandytów grasujących w Lukanii. Lęk i przerażenie dziecka przypisano jego wybujałej fantazji, naturze samotnika i pogaduszkom kumoszek, które wieczorem szyły pod oknem pokoju Luigiiego, szukając ochłody na dziedzińcu. Całe to zajście nazywano odtąd „Zdarzeniem”.

Luigi Alfredo przyzwyczał się do nazywania tego, co przeżył, właśnie „Zdarzeniem”. „Od kiedy to «Zdarzenie» miało miejsce...”; „Jak mogli rozumieć, biorąc pod uwagę «Zdarzenie...»”. „Zdarzenie” ukształtowało jego egzystencję. Nawet Rosa, niania, która poświęciła dla niego życie i jeszcze teraz z nim mieszkała, nie uwierzyła w jego słowa. Na jej twarzy pojawił się smutek, potem przemknął przez nią strach, jak gdyby bała się, że dziecko odziedziczyło chorobę po matce. A Luigi Alfredo zrozumiał, że nie może nigdy więcej z nikim o tym rozmawiać, że to znamię na duszy nosi tylko on. To jego wyrok i jego potępienie.

W następnych latach Luigi Alfredo dokładnie określił granice „Zdarzenia”. Widział umarłych. Nie wszystkich i krótko. Widział tylko ostatnie odczucia tych, którzy zmarli gwałtowną śmiercią. Jak na fotografii, która uwieczniła koniec życia. Jej kontury rozmywały się, aż wreszcie obraz zniknął całkowicie. Zupełnie jak na taśmie filmowej, jak na jednym z tych filmów, które czasami widział w kinie. On jednak oglądał tę samą scenę kilkakrotnie. Obraz zmarłego ze śladami ran, wyraz jego twarzy tuż przed śmiercią,

ostatnie słowa, powtarzane w nieskończoność. Jak gdyby ktoś chciał zakończyć pracę rozpoczętą przez duszę, zanim została wyrwana.

Przede wszystkim ogarniały go emocje, za każdym razem dostrzegał cierpienie, zaskoczenie, wściekłość, melancholię. A nawet miłość; często wspominał nocami, kiedy deszcz bębnił o szyby, a on nie mógł zasnąć, scenę pewnej zbrodni. Przed oczami pojawiał mu się obraz dziecka siedzącego w misce, w której je utopiono, wyciągającego rączkę w stronę matki, szukającego pomocy u morderczynie. Dostrzegał w tym całą siłę bezmiernej miłości, bez względu na wszystko. Innym razem miał do czynienia z trupem mężczyzny zaszytych w chwili orgazmu przez oszalałą z zazdrości kochankę: dostrzegł siłę rozkoszy i musiał natychmiast wyjść z pokoju, przyciskając chusteczkę do ust.

Takie było to „Zdarzenie”, ten jego wyrok. Doganiało go jak duch pędzącego konia, nie dając czasu na unik, nie poprzedzając ataku żadnym ostrzeżeniem. Ricciardiemu nie pozostawało po tym żadne konkretne uczucie, tylko wspomnienie.

Jeszcze jedna blizna na duszy.

II

Luigi Alfredo Ricciardi był średniego wzrostu, szczupły, o ciemnej karnacji i wyrazistych zielonych oczach. Z zaczesanych do tyłu i wygładzonych brylantyną włosów uwalniał się nieraz kosmyk, który lądował na czole. Ricciardi, z roztargnieniem, szybkim ruchem umieszczał go na swoim miejscu. Nos miał prosty i delikatny, podobnie jak wargi. Ręce małe, prawie kobiece, nerwowe, w ciągłym ruchu. Trzymał je w kieszeni, świadomy tego, że zdradzały jego emocje i napięcie.

Dzięki dochodom z rodzinnego majątku, którymi za bardzo się nie interesował, mógłby wcale nie pracować. Powinien – na co zwracali mu uwagę krewni podczas niezwykle rzadkich letnich spotkań w rodzinnym miasteczku – obracać się w towarzystwie odpowiednim do nazwiska, które nosił. On jednak ukrywał i swoje dochody, i tytuł, aby jak najmniej rzucać się w oczy i prowadzić życie, jakie sam sobie wybrał. A właściwie, co bardziej odpowiada prawdzie, jakie wybrało jego. Spróbujcie sami, powiedziałyby, gdyby tylko mógł, odczuwać ten ból nieustanny, ciągły, w każdej postaci. Od zawsze, codziennie, prosząc o pokój i domagając się sprawiedliwości. Postanowił studiować prawo karne, uzyskał dyplom i rozpoczął pracę w policji. To był jedyny sposób, żeby podjąć wyzwanie i zmniejszyć ten ciężar. Wejść w świat żywych, aby pochować zmarłych.

Nie miał przyjaciół, z nikim się nie spotykał, nie wychodził wieczorami i nie miał kobiety. Jego rodzina ograniczała się do niani Rosy, już siedemdziesięcioletniej, która opiekowała się nim z całkowitym oddaniem. Kochała go czule i nigdy nie usiłowała zrozumieć spojrzeń i myśli Luigiego.

Ricciardi pracował do późna, odizolowany od kolegów, którzy starannie go omijali. Zwierzchnicy obawiali się talentu, niezwykłej umiejętności rozwiązywania najtrudniejszych nawet przypadków, całkowitego oddania

pracy. Te czynniki wskazywały na przerost ambicji, pęd do kariery, pokonania i zastąpienia innych. Podwładni nie rozumieli, dlaczego jest tak ponury i milczący. Nigdy się nie uśmiechał, nie wypowiadał ani jednego niepotrzebnego słowa. Chodził swoimi dziwacznymi drogami, nie przestrzegał procedur, ale koniec końców zawsze miał rację. Ci najbardziej przesądni, a w tym mieście takich nie ma, wyczuwali coś nienaturalnego w decyzjach Ricciardiego, jak gdyby prowadził dochodzenia na odwrót, analizując przebieg wypadków od końca. Bardzo często policjanci reagowali złością, kiedy przychodziło im pracować z komisarzem. Ponadto gdy prowadził śledztwo, poświęcał mu się całkowicie, kończąc dopiero wtedy, aż znalazł rozwiązanie. Pracował we dnie i w nocy, a nawet w niedziele, dopóki winny nie znalazł się w więzieniu. Tak jakby za każdym razem był spowinowacony z ofiarą, jak gdyby znał ją osobiście.

Niektórzy doceniali to, że Ricciardi regularnie zrzeka się premii, przyznawanych za najważniejsze śledztwa, na korzyść swoich ludzi z brygady. Każdego dnia przychodził do pracy, oddawał wolne dni, brał na siebie błędy podwładnych, z którymi rozmawiał potem w cztery oczy, żądając większej uwagi w pełnieniu obowiązków.

Tak naprawdę tylko jeden z jego współpracowników był z nim blisko związany, brygadier Raffaele Maione.

Po niedawnej pięćdziesiątej rocznicy urodzin Maione był bardzo zadowolony, że jeszcze żyje i że nie brakuje mu sił. Wieczorami, przy stole, lubił powtarzać żonie i pięciorgu dzieciom: „Dziękujcie Panu Bogu, że macie co jeść. Macie szczęście, że tata do tej pory nie dał się zabić”. I natychmiast do oczu napływały mu łzy na wspomnienie Luki, najstarszego syna, który także pracował w policji, ale nie miał tyle szczęścia, ile jego ojciec. Po roku służby został zasztyletowany w trakcie rewizji w dzielnicy Sanità. Ból był jeszcze świeży, mimo że minęły trzy lata. Żona już o tym nie mówiła, jak gdyby ten piękny i silny syn, który ciągle się śmiał i huśtał ją na rękach, nazywając swoją narzeczoną, nigdy nie istniał. A jednak był tu, w środku jej duszy, zabierając miejsce braciom i siostram i całymi dniami towarzysząc

matce.

Maione przywiązał się do Ricciardiego właśnie przy okazji śmierci syna. Ricciardi przyjechał – wtedy jeszcze był inspektorem policji – na miejsce jako jeden z pierwszych. Grzecznie poprosił Maionego, żeby nie wchodził do piwnicy, w której znaleziono ciało chłopaka, leżącego w kałuży krwi, z nożem w plecach. Przez kilka minut został sam, a kiedy wyszedł z ciemności, jego zielone oczy wydawały się rozświetlone jakimś wewnętrznym światłem, jak u kotów. I pełne łez. Podszedł do Maionego. Przy milczących obecnych, zakłopotanych rozpaczą ojca, Ricciardi wyciągnął rękę i ścisnął go za ramię. Maione pamiętał jeszcze niespodziewaną siłę tego uścisku i ciepło dłoni przenikające przez materiał munduru.

– On cię kochał, Maione. Kochał cię nad życie. Ciebie właśnie wołał, umierając. Będzie zawsze blisko ciebie i swojej mamy.

Mimo że złamany ogromem rozpaczy, Maione poczuł dreszcz wzdłuż pleców i na karku. Nie zapytał ani wtedy, ani potem, przez te wszystkie lata wspólnego stania na czatach i długich służbowych podróży, skąd Ricciardi to wiedział. Dlaczego właśnie on przekazał mu ostatnią wiadomość od najukochańszego syna? Był jednak przekonany, że właśnie tak było, że inspektor powiedział to, co zobaczył i usłyszał. I nie chodziło tu o żadne słowa pocieszenia, które on sam tyle razy kierował do rodzin zmarłych.

Maione przywiązał się wtedy do Ricciardiego. Podczas strasznych dni, które nadeszły po śmierci syna, pracowali bez chwili wytchnienia, nocami i rankami, popołudniami i wieczorami. Nie jedli, nie pili, nie wracali do domu, drążąc zwarty mur zмовы milczenia dzielnicy. Handlowali informacjami, obiecując, że przymkną na pewne sprawy oko, byle tylko dopaść tego nikczemnego zabójcę z piwnicy. Nawet Maione, mimo że napędzany gniewem, padł w końcu ze zmęczenia. Ale Ricciardi nie, był jak opętany.

Wreszcie znaleźli mordercę, w innej dzielnicy, w miejscu, gdzie chował łupy, w towarzystwie kolegów. Śmiał się, kiedy wtargnęli do środka, obezwładniwszy ludzi, których postawił na czatach. W akcji wzięło udział

dwanaście osób, nie było policjanta, który nie chciałby dopaść zabójcy Luki Maionego. Kiedy w pomieszczeniu, opróżnionym już z łupów i współników, morderca został tylko z Ricciardim i brygadierem i z płaczem błagał o darowanie mu życia, tracąc całą swą złodziejską godność, komisarz popatrzył na Maionego. Maione wpatrywał się w zabójcę i widział małego synka, który przynosił mu szmacianą piłkę, uśmiechnięty, z brudną buzią i tymi pięknymi oczami. Odwrócił się i wyszedł bez słowa. Wtedy także Ricciardi przywiązał się do Maionego.

Od tej chwili Maione stał się wiernym towarzyszem Ricciardiego. Za każdym razem gdy komisarz wychodził, on ustalał skład ochraniającej go grupy. Wiedział, że podczas pierwszej wizyty na miejscu zbrodni komisarza trzeba zostawić samego. To właśnie on musiał trzymać z daleka innych policjantów, świadków, krzyczących krewnych i zwykłych gapiów przez te pierwsze, długie chwile, kiedy Ricciardi poznawał ofiarę, podążał za swoją legendarną intuicją, odnajdował elementy pozwalające na rozpoczęcie polowania. Samotności i milczeniu Ricciardiego przeciwstawiał swoją wrodzoną dobroduszość i umiejętność rozmawiania z ludźmi w bezpośredni sposób. Ochraniał przełożonego przed niebezpieczeństwami, na które ten się narażał, zawsze nieuzbrojony, z bezczelnością graniczącą z nieodpowiedzialnością. Brygadier nie dociekał nawet, czy nie krył się za tym jakiś instynkt samobójczy. Podejrzewał, że Ricciardi szuka śmierci z taką furją, jak gdyby pragnął ją dopaść, nie dbając zbytnio o własne życie.

Ale on nie chciał, żeby Ricciardi zginął. W swej dobrodusznej prostocie był przekonany, że w komisarzu mieszka część zmarłego syna. Z czasem polubił jego milczenie, ukradkowe uśmiechy, cierpienie emanujące z gestów udreńczonych rąk. Będzie zatem czuwał nad zdrowiem komisarza w imię Luki i przez pamięć o Luce.

III

W pewien wietrzny środowy poranek komisarz Ricciardi schodził od placu Dantego. Ręce trzymał w kieszeniach ciemnoszarego płaszcza, a głowę wcisnął w ramiona. Szedł szybkim krokiem i nie rozglądając się, wyczuwał miasto.

Wiedział, że idąc z placu Dantego na plac Plebiscito, przekroczy niewidzialną granicę między dwoma odmiennymi światami: w dole, po lewej, bogate miasto arystokratów i burżuazji, kultury i prawa. Na wzgórzu, po prawej, biedne dzielnice, w których obowiązuje inny system wartości i norm, równie lub może nawet bardziej sztywny. Miasto najedzone i miasto wygłodniałe, miasto zabaw i miasto desperacji. Ricciardi wiele razy był świadkiem kontrastów między tymi dwiema stronami medalu.

Granicą była ulica Toledo. Stare domy, nieme od strony jezdni, ale hałaśliwe od tyłu, z oknami pootwieranymi na zaułki, rozbrzmiewały porannym śpiewem gospodyń. Drzwi kościołów, o fasadach wciśniętych między inne budynki, otwierały się na przyjęcie wiernych i powierzały ten dzień Bogu. Na szerokich kamieniach, którymi wyłożono ulice, turkotały koła pierwszych omnibusów.

Ranek był jedną z niewielu chwil, kiedy odbywała się swoista osmoza. Z labiryntu uliczek w Quartieri Spagnoli^[2] wyjeżdżały pełne najróżniejszych towarów wózki sprzedawców, nawołujących do zakupów. Rzemieślnicy o sprawnych rękach, szewcy, rękawicznicy, krawcy zagłębiali się w te meandry, aby dotrzeć do powstającej właśnie rezydencyjnej dzielnicy Vomero lub do warsztatów w ciemnych zaułkach. Ricciardi lubił wyobrażać sobie, że to chwila zgody i pokoju, zanim poczucie nierówności i głód doprowadzą do tego, że jedni zaczną skręcać się z zazdrości i obmyślać przestępstwa, a drudzy obawiać ataku i przygotowywać obronę.

Na rogu ulicy Carità, jak to już kilkakrotnie miało miejsce o tej porze,

Ricciardi zobaczył ofiarę ulicznej kradzieży. Mężczyzna próbował się bronić i został bestialsko pobity kijem. Z rozbitej czaszki wypływał mózg, a krzepnąca krew zasłaniała jedno oko. Drugie wysyłało jeszcze błyski furii, a usta z połamanymi zębami cały czas powtarzały, że za nic nie odda swoich rzeczy. Ricciardi pomyślał o złodzieju, już całkiem nieuchwytnym, wchłoniętym przez Quartieri Spagnoli, o głodzie i o cenie, jaką przyszło zapłacić ofierze i jej oprawcy.

Jak zwykle przyszedł do kwestury pierwszy. Strażnik przy wejściu zasalutował po wojskowemu i komisarz odpowiedział skinieniem głowy. Nie lubił, kiedy w biurze było pełno ludzi, panował hałas i bałagan. Nie lubił także jadowitych wyzwisk zatrzymanych, głośnych nawoływań do zachowania porządku wykrzykiwanych przez strażników i prowadzonych podniesionym głosem dyskusji między prawnikami. O wiele bardziej wolał te poranne godziny, kiedy schody były jeszcze czyste, a wszędzie panowała cisza i dziewiętnastowieczna atmosfera.

Otwierając drzwi swego pokoju, jak co dzień wyczuł znajomy zapach: książki, gazety, patyna czasu i wspomnień. Skórzany fotel i dwa krzesła stojące przed biurkiem, wytarta oliwkowa podkładka na biurku. Atrament w kryształowym kałamarzu obok przegródek na listy. Jasne drewno biurka i pełnej książek biblioteczki. Ołów z odłamka granatu przywieziony z wojny do Fortino przez starego Maria, oręż tylu fantastycznych bitew stoczonych w dzieciństwie, a obecnie chwiejny przycisk do papierów. Światło słoneczne wpadało przez zakurzone szyby okna, sięgając ściany i oświetlając portrety w geście boskiej inwestytury.

Jacy oni piękni, pomyślał z ironią Ricciardi. Mały król bez sił i wielki wódz bez słabości^[3]. Dwaj mężczyźni, którzy postanowili wymazać przestępstwa mocą ustawy. Zawsze będzie pamiętać słowa kwestora, wyelegantowanego dyplomaty, który kształtował rzeczywistość pod dyktando władz. Nie ma samobójstw, nie ma zabójstw, nie ma porwań ani zranień, chyba że to nieuchronne lub konieczne. Nic nie mówimy ludziom, a zwłaszcza prasie; faszystowskie miasto jest czyste i zdrowe, nie wie, co to zło i brud. Wizerunek reżimu jest z granitu, obywatel nie może niczego się

obawiać, my stoimy na straży bezpieczeństwa.

Ale Ricciardi, zanim jeszcze przeczytał o tym w książkach, zrozumiał, że zbrodnia jest ciemną stroną uczucia. Ta sama energia, która napędza ludzkość, kieruje ją także na fałszywe tory. Zaraża i powoduje ropienie, eksplodując w końcu okrucieństwem i przemocą.

„Zdarzenie” nauczyło go, że u źródła każdej nikczemności tkwią głód i miłość, pod wszelką postacią, jaką tylko mogą przyjąć: dumy, władzy, zazdrości, zawiści. Zawsze ten sam duet: głód i miłość. Znajdowałeś je w każdej zbrodni, uproszczonej do maksimum, odartej z pozłotka pozorów. Głód lub miłość, albo obie te rzeczy naraz, plus ból, który powodują. Ból, który tak często widział. A więc ty, drogi Szczękaczu, pomyślał ze smutkiem Ricciardi, możesz ogłaszać wszystkie dekryty, jakie tylko zechcesz, ale nie uda ci się niestety zmienić dusz twoim czarnym mundurem i czapeczką z pomponikiem. Może ci się nawet uda przestraszyć, zamiast rozśmieszyć, ale nie zmienisz ciemnej strony ludzi, która nadal będzie głodna i zakochana.

Maione pojawił się w drzwiach, zapukawszy uprzednio dyskretnie we framugę.

– Witam pana komisarza. Widziałem, że drzwi otwarte, już pan tu siedzi? Nawet gdy tak zimno, nie może pan więcej odpocząć? Wiosna w tym roku jakoś się ociąga. Mówiłem mojej żonie, że nie stać nas na kupowanie drewna na opał jeszcze przez miesiąc. Jeśli nadal utrzyma się taka pogoda, to dzieciaki nabawią się odmrożeń. Jak się pan dzisiaj czuje? Może przyniosę *surrogato*^[4]?

– Nie, dziękuję. Muszę skończyć całą masę raportów. Idź, idź, w razie czego cię zawołam.

Na zewnątrz, pośród nawoływań pierwszych ulicznych handlarzy, przejechał ze zgrzytem tramwaj i chmura gołębi poderwała się do lotu w zimnym jeszcze słońcu. Była ósma.

IV

Dwanaście godzin później jedyną zmianą w gabinecie Ricciardiego było światło. Zakurzona lampa na biurku z zielonym abażurem zastąpiła anemiczne słońce zapóźnionej zimy. Komisarz ślęczał jeszcze przy biurku, wypełniając formularze.

Coraz częściej myślał o sobie jako o urzędniku skarbowym, zmuszonym do spędzania większości czasu na przepisywaniu formułek i spisywaniu liczb. Księgowość przestępstw, retoryka zbrodni.

Głód pokonał go około drugiej. Wyszedł na zimno bez płaszcza, żeby kupić pizzę z wózka naprzeciwko kwestury. Dymiący garnek z olejem^[5], zachęcający zapach frytury, ciepło gorącego ciasta, nigdy nie mógł się temu oprzeć. Była to jedna z tych chwil, kiedy czuł się żywiony przez miasto niby przez matkę. Potem szybka kawa na placu Plebiscito, jak zwykle w Gambrinusie, i obserwacja tramwajów jadących po torach, z uwieszonymi na podobieństwo winogron urwisami.

Kiedy trzymał w lodowatych palcach gorącą filiżankę, po drugiej stronie szyby pojawiła się naburmuszona dziewczynka. W opuszczonej wzdłuż ciała prawej ręce trzymała kłębek szmat, może to była jej lalka. Lewej ręki nie było, z rozerwanego barku sterczał kawałek kości, postrzępiony jak świeże drewno. Wklęsnięty bok, zapadnięta klatka piersiowa. Pewnie powóz, pomyślał Ricciardi. Dziewczynka patrzyła na niego i nagle pokazała mu kłębek szmat: *To moja córka, karmię ją i myję*. Ricciardi odstawił filiżankę, zapłacił i wyszedł. Teraz przez cały dzień będzie mu zimno.

O dwudziestej trzydzięci Maione ponownie stanął w drzwiach.

– Potrzebuje pan mnie jeszcze? Pójdę już, szwagier z żoną są dzisiaj u nas na kolacji. Cały czas się zastanawiam, czy oni nie mają własnego kąta? Ciągle muszą ich utrzymywać.

– Nie, Maione, dziękuję. Za chwilę też idę, tylko coś skończę i zamykam

warsztat. Miłego wieczoru, do jutra.

Maione zamknął drzwi, wpuszczając powiew lodowatego powietrza, który sprawił, że Ricciardim wstrząsnął dreszcz, jak gdyby ogarnęło go jakieś przeczucie. I chyba coś w tym musiało być, skoro nie minęło nawet pięć minut, gdy na progu ponownie pojawiła się korpulentna i przysadzista sylwetka brygadiera.

– Odwołuję wszystko, komisarzu, a chociaż raz chciałem wyjść o czasie. Alinei zadzwonił z dołu, przyszedł jakiś chłopak. Musimy pójść i zobaczyć, mówi, że stało się coś strasznego w San Carlo.

V

Ksiądz Pierino Fava jak zawsze przyszedł pod boczne drzwi teatru o wpół do ósmej, tak jak ustalili. Było to służbowe wejście od strony Pałacu Królewskiego, pilnowane przez portiera Lucia Patrissa. Takie znajomości są bardzo cenne. Wcale nie był dla Patrissa bardziej wyrozumiały niż dla innych parafian ani nie obdarzał go specjalnymi względami, ale dla portiera osobiste pożegnanie przy wyjściu z mszy było wielkim zaszczytem.

Za tę rozsądną cenę don Pierino kupował sobie największą przyjemność w życiu: operę. Jego proste serce podrywało się do lotu towarzysząc głosom śpiewaków, podczas gdy wargi bezgłośnie powtarzały znane już na pamięć teksty. Od dziecka w Santa Maria Capua Vetere, niedaleko Caserty, siadywał na ziemi w ogrodzie willi, z której fonograf rozpylał magię arii. Mógł tak siedzieć z zapartym tchem, nie przejmując się chłodem, upałem czy deszczem.

Mały i tłuściutki Pierino, o żywych czarnych oczach i niespodziewanym, acz zaraźliwym uśmiechu, wykazywał się inteligencją i bystrością, która niepokoiła rodziców, rolników z dziewięciorgiem dzieci. Co mają zrobić z tym sprytnym i leniwym chłopakiem, który zawsze wynajdywał najróżniejsze preteksty, żeby nie pracować? Odpowiedź nadeszła ze strony mrukliwego proboszcza, który coraz częściej wzywał go do pomocy, byle tylko mieć koło siebie tego wesołego duszka. W ten sposób mały Pietro został „kościelnym Piotrusiem”. Lubił chłód, zapach kadzidła, promienie słońca wpadające przez kolorowe szybki witraży.

Najbardziej jednak podobał mu się głęboki i dudniący dźwięk wielkich organów, które zwykł uważać za głos Boga. Poczul powołanie, kiedy zrozumiał, że nie chciałby żyć w żadnym innym miejscu. Podczas następnych lat nauki Pierino zachował nienaruszoną miłość do bliźniego, Boga i do muzyki. Między te trzy pasje dzielił swój czas, opiekując się

ubogimi, czerpiąc nauki i wskazówki z życiorysów świętych oraz zgłębiając muzykę sakralną.

W wieku czterdziestu lat już od dekady był zastępcą proboszcza w San Ferdinando, niezbyt dużej, ale gęsto zaludnionej dzielnicy. Obejmowała ona eleganckie ulice i majestatyczną Galerię^[6] oraz rudery w Quartieri Spagnoli i labirynt zaułków nad ulicą Toledo. W centrum tego obszaru wznosiła się jeszcze jedna świątynia, która pogańsko nęciła prostą duszę don Pierina: Królewski Teatr San Carlo. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale to właśnie teatr był powodem, dla którego zawsze pokornie oświadczał w kurii, że nie byłby w stanie sprawować swej kapłańskiej posługi gdzie indziej. Uważał za dar od Boga to, że mógł oglądać przedstawienia, obcując z krystaliczną duszą opery, obserwować ludzkie pasje, przedstawiane tak pięknie i z taką siłą. Ileż było w tym Boga, w tych łzach, w śmiechu, który dostrzegał na twarzach widzów na parterze, w łóżach i na balkonie. Ileż ludzkiej miłości i boskiej gracji w tej muzyce, która prowadziła duszę za rękę tam, dokąd umysł nie umiał dotrzeć.

Dlatego właśnie don Pierino z radością pozostawał na stanowisku zastępcy starego proboszcza, don Tommasa, który nie ograniczał jego olbrzymiej energii. Uwielbiany przez miejscowych urwisów, którym pozwalał drwić ze swojej wagi i wzrostu, był nazywany „Zakonnikiem”, jak ten duszek z neapolitańskiej legendy. Dał się jednak poznać także dzięki zaangażowaniu podczas częstych epidemii, którym sprzyjały skandaliczne warunki higieniczne panujące w dzielnicy. Można mu było wybaczyć tę jedyną muzyczną słabość i podarować trzy godziny radości dwa razy w miesiącu. Umożliwił to Lucio Patrisso, dla don Pierina najważniejszy człowiek w parafialnym świecie. Ksiądz uczył trochę matematyki jego najstarszego syna, a portier wpuszczał go w dniach premiery od strony ogrodów. Jego miejscem było wąskie przejście za kulisami, z którego uczestniczył, niewidoczny, w przedstawieniu. Wspaniała okazja, z której don Pierino nie zrezygnowałby za żadne skarby.

Był tam oczywiście także 25 marca 1931 roku, kiedy zamordowano Arnalda Vezziiego.

Ricciardi nie lubił opery. Unikał zatłoczonych miejsc, tych kłębiących się dusz, uczuć, emocji. Nie tolerował tej zaraźliwej atmosfery, która sprawiała, że tłum całkowicie różnił się od osób, które go tworzyły. A tłum może stać się potworem.

Nie lubił zresztą teatralnego przedstawiania uczuć. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, że przeżywały tych, którzy ich doświadczali, zalewając i unosząc jak fala wszystko, co napotykały na swej drodze. Wiedział także, że nigdy nie miały tylko jednego smaku, że nigdy żadnego uczucia nie wyróżniał tylko najbardziej oczywisty, zewnętrzny aspekt. Że emocje, na dobre i na złe, miały tysiące twarzy, zawsze nieoczekiwanych i nieprzewidywalnych. Dlatego gardził tymi kolorowymi kostiumami, modulowanymi głosami, archaicznymi, uczonymi słowami w ustach biedaków, którzy w prawdziwym życiu istotnie umierali z głodu. Nie, zdecydowanie nie lubił opery. W teatrze nigdy nie był, ale znał atmosferę galowych przedstawień, nastrój uroczystego oczekiwania, który wyczuwało się, nawet tylko przechodząc koło budynku.

Po wyjściu z Galerii, kiedy na czele małego oddziału złożonego z Maionego i trzech strażników pokonał kilka marmurowych schodów prowadzących na ulicę, Ricciardi zobaczył znajomy widok. Imponujący budynek Pałacu Królewskiego, eleganckie arkady z podcieniami, a po prawej – światła placu Trieste e Trento, kawiarnie pełne życia i radości. Przytłumiony dźwięk muzyki i odgłosy śmiechów. Po lewej, za andegaweńskim zamkiem i drzewami na placu Municipio – szum morza w porcie.

Przestrzeń przed teatrem wyglądała dzisiaj jednak inaczej niż zwykle. Różnica była uderzająca.

W nienaturalnej ciszy setki osób tłoczyły się przed wejściem, nie zwracając uwagi na ostry wiatr hulający pod arkadami. Stali tam niezwykle elegancko ubrani mężczyźni i kobiety w długich jedwabnych sukniach, otulone płaszczami. Dłońmi w rękawiczkach przytrzymywały kapelusze, żeby nie porwał ich wiatr. Dzieci w łachmanach stawały na czubkach odmrożonych palców, pragnąc coś zobaczyć. Żadnego hałasu, żadnych

komentarzy, tylko skowyt wiatru. Nawet konie zaprzężone do czekających na ulicy powozów stały nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku. Od strony wózków z pieczonymi kasztanami i słodyczami nie dobiegały żadne nawoływania. Gazowe latarnie zdobiące fasadę teatru oświetlały tłum, ukazując zdziwione i żądne szczegółów twarze, futrzane kołnierze i powiewające na wietrze szale.

Przybycie ludzi z kwestury wywołało efekt kamienia rzuconego w wodę. Tłum rozstał się, aby ich przepuścić, a chór głosów dopytywał, co się stało, o jakie nieszczęście chodzi, dlaczego policja pojawia się tak późno, jak zwykle zresztą. Paru chłopców usiłowało bić brawo. W obszernym hallu, rzęsiście oświetlonym i nagrzanym przez światła i przepych, Ricciardiego otoczyli dziennikarze, pracownicy opery i widzowie. Wszyscy mówili jednocześnie i nie sposób było ich zrozumieć. Ani komisarz, ani Maione nie mieli żadnych złudzeń: naprawdę przydatne informacje wydobędą z dużą trudnością, walcząc z niechęcią rozmówców. Dlatego nie warto, a nawet ze wszelkich miar niewskazane było wsłuchiwać się w tę kakofonię głosów krzyczących pod wpływem chwilowej emocji.

Ricciardi dostrzegł małego spoconego człowieczka we fraku, który podskakiwał jak na sprężynie. Umundurowani pracownicy patrzyli na niego z niepokojem i komisarz pomyślał, że to pewnie dyrektor teatru.

– Panie inspektorze... to jest, panie komisarzu... co za tragedia... – bełkotał bez sensu. – Coś podobnego... tutaj, w San Carlo... przecież nigdy, przenigdy! Odkąd sięgam pamięcią...

– Proszę się uspokoić. Zajmiemy się tym. Pan jest...

– No jak to... jestem księżę Francesco Maria Spinelli, dyrektor Królewskiego Teatru San Carlo, nie rozpoznał mnie pan?

– Szczerze mówiąc, nie. Proszę nas poprowadzić, wyjdźmy z tego kotła – chłodno odpowiedział Ricciardi, tymczasem strażnicy razem z Maionem odsuwali tłoczących się wokół nich ludzi. Dyrektor przyjął odpowiedź jak policzek i zdenerwowanie ustąpiło miejsca obrazie. Dwóch kelnerów w liberiach powstrzymało śmiech, zmrożony spojrzeniem przełożonego. Księżę odwrócił się z majestatyczną gracją i zaczął wchodzić po

marmurowych schodach, pełnych tłoczących się ludzi, którzy rozstępowali się przed nim jak Morze Czerwone przed karłowatym Mojżeszem.

VI

Patrisso, pilnujący drzwi od strony ogrodu, rozejrzał się wokół podejrzliwie.

– Proszę się pospieszyć, don Pierino. Oby nikt nie widział, jeśli zobaczą, że wpuszczam księdza na premierę, to dopiero będę miał. Szybciej, niechże się ksiądz pospieszy.

Don Pierino był szczęśliwy jak dziecko w cukierni. Z niespodziewaną zwinnością, podkasawszy sutannę, wbiegł po głównych schodach, skręcił najpierw w prawo, a potem od razu w lewo, w korytarz, z którego wchodziło się do łóż. Następnie wspiał się po wąskich schodach prowadzących na scenę, zatrzymał się na małym podeście i wcisnął w niszę, z której mógł obserwować z jednej strony drzwi garderób i wejście na scenę dla aktorów, a z drugiej – większą część samej sceny. Musiał wyciągać szyję i stawać na palcach, ale widok był wyjątkowy. Mógł stąd podziwiać, zwrócony w stronę widowni, nie tylko śpiewaków, ale także, jeśliby zechciał, trwającą za kulisami pracę. Wstrzymując oddech, zaczął się koncentrować. To był jego wieczór.

Szczerze mówiąc, ta wyjątkowość nie była spowodowana repertuarem. *Rycerskość wieśniacza* i *Pajace* miały pewien urok, ale najważniejsze było to, że tego wieczoru znowu usłyszy głos Arnalda Vezziiego, największego tenora świata. Wykonywana dzisiaj przez niego partia Cania w *Pajacach* nie była najlepsza. Don Pierino wolał go w repertuarze Pucciniego, który pozwalał odcieniom jego głosu odnaleźć właściwe miejsce. Ale, myślał ksiądz, żadna partia nie mogła równać się z rolą Cania. Partytura opery Leoncavalla pozwalała Vezziememu występować praktycznie samemu, trzymać wszystkich w garści i nie pozwalać, aby ktoś zepchnął go w cień.

Głośne oklaski towarzyszyły wejściu orkiestry. Publiczność San Carlo kochała swoich „profesorów”, uważając ich za najlepszych w kraju.

Prowadził ich Mariano Pelosi, stary dyrygent o niezwykłych zdolnościach interpretacyjnych. Trzy uderzenia batutą w pulpit, obie ręce w górze. To był początek magii.

U szczytu marmurowych schodów, wyłożonych czerwonym dywanem, Ricciardi, nie zatrzymując się, szepnął Maionemu, żeby strażnicy zablokowali wszystkie wejścia. Nikt z obecnych nie może opuścić teatru. Dyrektor poprowadził ich bocznym korytarzem, następnie po wąskich schodach aż do podestu z jednymi drzwiami z lewej strony i dwojgiem na wprost. W głębi innego korytarza, po prawej, widać było parę otwartych drzwi.

– To – powiedział ksiązę, wskazując drzwi – pokój kierownika sceny. Naprzeciwko znajduje się garderoba dyrygenta. A tam... co za tragedia... w moim, w naszym wspaniałym teatrze...

Ricciardi starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Drzwi, wskazane przez dyrektora jako ostatnie, były wyważone. Na ziemi leżały kawałki drewna, a zamek został prawie całkowicie wyrwany. Na futrynie wyraźnie widać było ślady; drzwi wyważono od zewnątrz, czego można się było domyślać po pozycji klamki i zniszczonej zasuwie. Wokół zebrał się malowniczy tłum. Komisarz dostrzegł pajaców, wieśniaczki w ludowych strojach sycylijskich, kalabryjskich chłopów, Arlekina, Kolombinę. Poczł, że zaczyna go bardzo boleć głowa. W dodatku panowało tu nieznośne gorąco, a on miał na sobie gruby płaszcz.

– Kto wyważył drzwi? – zapytał.

– Ja – odezwał się z zakłopotaniem wysoki, potężny mężczyzna o rudych włosach. – Odpowiadam tu za scenę, nazywam się Giuseppe Lasio.

– Kto pana zawiadomił?

– My. Przyniosłyśmy kostium. Pukałyśmy przez pięć minut, wołałyśmy, ale nikt nie reagował.

Mówiła to potężna kobieta w średnim wieku, w niebieskim fartuchu. Na szyi miała zawieszona na wstążce wielkie nożyczki. Stojąca obok niej dziewczyna trzymała z trudem kostium pajaca, bardzo duży i kolorowy.

– Niech nikt się stąd nie rusza, kiedy będę w garderobie. Maione, zajmij się tym.

Maione dobrze wiedział, co ma zrobić; podszedł do wyważonych drzwi, zajrzał do środka, sprawdził, czy nikogo tam nie ma, i powiedział: – Proszę się odsunąć. Komisarzu, może pan wejść.

W połowie *Rycerskości wieśniaczej* Don Pierino był przyjemnie zaskoczony. Opera stanowiła tylko dodatek, przystawkę do *Pajaców*, z uwagi na obecność wielkiego Vezziogo. Ksiądz, jak wielu innych, nie mógł się już doczekać występu tego tenora, który dzisiaj przyćmi wszystkich. A jednak, ku jego zdziwieniu, śpiewacy *Rycerskości* radzili sobie bardzo dobrze. Tenor wykonujący partię Turiddu, sopran śpiewający partię Santuzzy, a zwłaszcza baryton Alfio, byli we wspaniałej formie, zdeterminowani, aby jak najlepiej wypaść w obecności tak wielkiego talentu. Także orkiestra stanęła na wysokości zadania i cały występ, obecnie, po muzycznym intermezzo, ocenić można było już nie jako znaczący, ale wręcz godny zapamiętania.

Don Pierina przejmowała poruszająca muzyka i nie zorientował się, że zajął część schodków prowadzących za kulisy. Kiedy poczuł, że ktoś go popchnął, odwrócił się zaskoczony.

– Proszę wybaczyć – szepnął z roztargnieniem wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, opatulony obszernym czarnym płaszczem. Miał biały szal i kapelusz z szerokim rondem.

– To ja przepraszam – odpowiedział don Pierino, cofając się pospiesznie na swoje miejsce. Bał się, że go odkryją, co mogłoby zaszkodzić biednemu Patrisowi. Mężczyzna jednak zdawał się nie zwracać uwagi na jego obecność i pokonawszy pozostałe stopnie, skierował się w stronę garderób. Don Pierino przyjrzał mu się uważnie. Czyżby to był sam... Istotnie, mężczyzna, rozejrzawszy się podejrzliwie dokoła, zatrzymał się na chwilę przed drzwiami opatrzonymi napisem „Arnaldo Vezzi”. Powiedział coś i szybko wślizgnął się do garderoby. Ksiądz o mało nie zemdlał; potracił największego tenora na całej planecie! Westchnął i ponownie zwrócił uwagę na scenę, gdzie Turiddu wznosił toast winem, *co dobry humor rodzi*^[7].

W garderobie było zimno, o tym Ricciardi przekonał się od razu. Przez uchylone okno wpadały podmuchy lodowatego powietrza i zapach wilgotnej trawy z królewskich ogrodów. Żarówki otaczające lustro silnym blaskiem oświetlały małe pomieszczenie. Wszędzie była krew. Zwłoki znajdowały się na krześle przed lustrem, pochylone w stronę toaletki i odwrócone plecami do drzwi. W rzeczywistości lustro nie istniało, całkowicie rozbite, z wyjątkiem górnego fragmentu poplamionego krwią. Wszędzie leżało szkło.

Trup opierał się na toalecie lewym policzkiem. Z jego gardła, po prawej stronie, wystawał duży kawałek szkła. Odbijało się w nim nieruchome oko i skrzywione usta, z których wypływała strużka śliny. Ricciardi usłyszał, jak cicho śpiewa:

Ja zemsty pragnę, ta pierś płomieniem pali...

Na widocznej stronie twarzy grubą warstwę makijażu złościły ślady łez. Komisarz odwrócił się i w kącie, między ramą potłuczonego lustra a ścianą, zobaczył obraz Arnalda Vezziego, który stał z lekko ugiętymi kolanami, pomalowaną twarzą i uśmiechem pajaca. W oczach błyszczały mu sztuczne łzy, po policzkach spływały prawdziwe. Wyciągał przed siebie otwartą prawą dłoń, jakby chciał kogoś odepchnąć. Z rozcięcia po prawej stronie szyi tryskała mu, pompowana przez umierające serce, gęsta krew.

Ricciardi spokojnie, długo przyglądał się lustru. Usta nadal układały słowa, a piersi nie poruszał już oddech. Komisarz ponownie spojrzął na trupa. Ostatni śpiew pajaca, tylko dla niego, który nawet nie rozumiał tej całej opery.

Odwrócił się w stronę drzwi i wyszedł.

VII

Don Pierino w ekstazie obserwował publiczność, która na stojąco oklaskiwała artystów *Rycerskości wieśniaczej*. Był wyjątkowo dumny, ponieważ korzystając z tej samej możliwości wejścia bocznymi drzwiami, widział poprzedniego dnia próby i przywiązał się do wykonawców. Nie było wśród nich żadnej gwiazdy, jedynie utalentowani młodzi ludzie i kilku skromnych i sprawnych profesjonalistów. U podstaw sukcesu, jaki odnieśli dzisiaj wieczoru, leżała współpraca i wzajemny szacunek.

Trupa składała się w większości z lokalnych artystów, zapychających dziury powstałe w trakcie sezonu na skutek chorób lub wypadków znanych wykonawców. Raz wystawili *Traviatę* w ciągu zaledwie tygodnia, gdyż odwołano *Jezioro łabędzie*, po tym jak primabalerina skręciła nogę w kostce. Tym razem, myślał don Pierino, naprawdę przeszli samych siebie.

Podczas gdy cieszył oczy ponownym pojawieniem się na scenie wszystkich wykonawców, którzy kłaniali się publiczności, za plecami usłyszał przenikliwy krzyk kobiety dochodzący z garderób.

Ksiądz był przyzwyczajony do wysłuchiwanie czyichś emocji w chłodnej ciemności konfesjonału, a długa i namiętna znajomość z operą nauczyła go rozróżniać stany duszy. Nie miał wątpliwości, że tym razem chodziło o przerażenie i strach. Odwrócił się i strwożony pobiegł tam, skąd dochodził krzyk. Przed garderobą Vezziego zgromadził się już mały tłum.

Ricciardi powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

– Teraz idę do tego biura – wskazał pokój kierownika sceny – a brygadier Maione będzie wpuszczał tych, których mu wskażę. Nikt nie może pójść do domu, dopóki nie skończymy. Nikt nie ma prawa wchodzić do tego pokoju, chyba że zostanie wezwany. Nie stójcie tu, przejdźcie gdzie indziej... na scenę, dopóki nie skończymy. Ponadto należy wyprosić z teatru tych

wszystkich, którzy nie mieli dostępu do tej strefy, publiczność i obsługę przy wejściach. Przedtem jednak policjanci spiszą dane wszystkich obecnych w teatrze.

Dyrektor opery był purpurowy z wściekłości i jękając się, stanął na palcach.

– To... niewyobrażalny afront. Tu mogą wejść wyłącznie ściśle określone osoby. Czy pan wie, kto był dzisiaj na sali? Chcecie spisać dane prefekta, książąt, dostojników państwowych... Wymagam i żądam poszanowania hierarchii!

– Moim zadaniem jest odkrycie zabójcy. Pańskim, dyrektorze, jest w chwili obecnej ułatwianie mi pracy. Odmienne zachowanie byłoby przestępstwem i podlegało ściganiu. Proszę zastosować się do moich poleceń.

Głos Ricciardiego zabrzmiał jak syknięcie, a zielone oczy świdrowały twarz dyrektora bez mrugnięcia powieką. Mały książę zdawał się jeszcze bardziej zmniejszać, a obcasy jego butów bezgłośnie wylądowały na podłodze. Pochylił głowę i wymamrotał: – Zaraz się tym zajmę. Ale zawiadomię o tym odpowiednie czynniki.

– Niech pan robi, co chce. Teraz proszę odejść.

Dyrektor Spinelli zeszywniał, starając się zademonstrować resztki utraconej godności. Odwrócił się i poszedł w stronę sceny, a w ślad za nim wszyscy, komentując cicho wydarzenia.

Gabinet kierownika sceny był bardzo mały, prawie całkowicie zajęty przez biurko, na którym w nieładzie leżały rysunki, notatki i scenariusze z odręcznymi dopiskami. Na ścianach wisiały plakaty z przedstawień. Po przeciwnych stronach biurka stały dwa krzesła. Światło i powietrze zapewniało pokoikowi umieszczone w górze okienko. Ricciardi porozmawiał najpierw z samym kierownikiem sceny, Giuseppem Lasio, rozczochranym mężczyzną, który wyważył drzwi do garderoby Vezziego.

– Jaka jest dokładnie pańska rola?

– Odpowiadam za scenę, czyli w praktyce za to, co jej dotyczy. Personel techniczny, wejścia i wyjścia aktorów, urządzenia. Część pozaartystyczna,

czyli tak naprawdę cała organizacja.

– Co się stało dzisiaj wieczorem? Proszę mi wszystko opowiedzieć, łącznie ze szczegółami, które wydają się panu nieistotne.

Lasio zmarszczył czoło pod burzą rudych włosów.

– Byliśmy właśnie po intermezzu *Rycerskości*, pilnowaliśmy wyjścia po toaście. Cały zespół jest wtedy na scenie. Dekoracje były gotowe, meble, tło też. Pani Lilla przyszła, żeby poprosić mnie...

– Pani Lilla?

– Letteria Galante, ale my mówimy na nią pani Lilla. Kieruje pracownią krawiecką w teatrze, dostarcza też kostiumy głównym wykonawcom. Widział ją pan, to ta... potężna. Sycylijka z pochodzenia. Bardzo dobra, świetna. No i przyszła do mnie, mówiąc: – Panie kierowniku, Vezzi nie otwiera drzwi. Pukałyśmy, wołałyśmy, ale nie odpowiada.

– My?

– Tak, była z tą dziewczyną z pracowni. Tam jest ich trzydzieści, nie znam wszystkich. Przyniosły kostium Pajaca, który sam pan potem widział w rękach tej małej. Zszedłem w pośpiechu, bo było bardzo mało czasu między końcem *Rycerskości* a początkiem *Pajaców*, a Vezzi nie zawsze jest... był... dokładny i punktualny. Czasami znikał i trzeba go było szukać po teatrze, albo nawet na zewnątrz. To była wielka postać, proszę pana, największa ze wszystkich, ale na scenie. Poza nią czasami trudny do opanowania, jeden z takich, którzy chadzają swoimi drogami, a inni muszą się do nich dostosować. Przywilej talentu.

– A dzisiaj wieczorem wychodził? Widział go pan, kiedy wychodził?

– Nie, ja nie. Ale ciągle biegam, więc być może nie zauważyłem. W każdym razie zszedłem do garderoby i zdałem sobie sprawę, że drzwi były zamknięte na klucz. To się nigdy nie zdarza. Śpiewacy, a Vezzi przede wszystkim, nie wstają podczas charakteryzacji, żeby otworzyć. Zdenerwowałem się.

– I co pan zrobił?

– Najpierw sam go zawołałem, potem pomyślałem, że Vezzi może źle się

poczuł, więc wyważyłem drzwi kopniakiem. Byłem na wojnie, jestem do pewnych sytuacji przyzwyczajony. Ale nigdy nie widziałem tyle krwi w jednym miejscu. Za mną weszła pani Lilla i zaczęła krzyczeć. Potem wszyscy biegali we wszystkie strony. Zawołałem jednego z robotników i posłałem po pana. Czy dobrze zrobiłem?

– Oczywiście. Czy po panu ktoś jeszcze wchodził do garderoby?

– Nie. Ja sam czekałem na pana w drzwiach. Byłem na wojnie, jak już mówiłem. Wiem, jak należy się zachować.

– Ostatnie pytanie. Garderoba była zamknięta na klucz, jak ustaliliśmy. Ale nie widziałem klucza ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Czy to pan go wyjął?

Lasio przeczesał dłońmi rude włosy, jeszcze bardziej je targając, usiłując sobie przypomnieć.

– Nie, panie komisarzu. Teraz kiedy mnie pan o to zapytał, klucza nie było z żadnej strony drzwi.

– Dziękuję. Proszę już wyjść, ale pozostać w teatrze, może będę potrzebował jeszcze innych informacji. Maione, wprowadź te dwie krawcowe.

Pani Lilla wpłynęła jak żagłowiec, wypełniając pokój swoim ciałem. Była blondynką o niebieskich, świdrujących oczach. Stojąca za nią dziewczyna przez kontrast wydawała się jeszcze mniejsza i chudsza, ubrana w fartuch przynajmniej o jeden rozmiar za duży. Sycylijka skrzyżowała ręce i wojowniczym tonem zwróciła się do Ricciardiego.

– Co to znaczy „nikt nie może opuścić teatru”? Co pan sobie myśli, że to nasza sprawka? My tu tylko pracujemy, a nie robimy takie ohydztwa. Jesteśmy uczciwymi ludźmi.

– Nikt nic nie mówi. Proszę usiąść i odpowiedzieć na moje pytania. Chcę usłyszeć, co się stało.

Kobieta usiadła ciężko, wzdychając, jak gdyby swoim wstępem pozbawiła się ciężaru z żołądka i mogła teraz już rozmawiać w bardziej cywilizowany sposób. A może sprawił to stanowczy ton komisarza.

– Kostiumy przyniosłyśmy wcześniej. Dużo wcześniej. Normalni śpiewacy przymierzają je, proszą o poprawki, jeśli są potrzebne, i tyle. Ten jednak zarządził dwadzieścia prób. Raz za krótki, raz za długi. Za szeroki, za wąski. Nie zapina się guzik pod szyją. Skaranie boskie! Pracujemy na czwartym piętrze, komisarzu. Jeśli zrobi nam pan ten zaszczyt, zapraszamy, sam pan się przekona, w jakich warunkach tam siedzimy, i to trzydzieści kobiet! Kiedy jest gorąco, nie ma czym oddychać, głównie przez węgiel do podgrzewania żelazek. Tam na górę nie dociera nawet świeże powietrze z ogrodów. Zimą z kolei musimy szyć w mitenkach, a i tak mimo tych wszystkich piecyków odmrażamy sobie palce. Ale nie skarżymy się, prawda, Maddalè? – zwróciła się do dziewczyny. – Ponieważ praca to praca, a my dobrze wykonujemy swoją pracę. San Carlo jest słynny na całym świecie, także z powodu kostiumów, a kostiumy to my. W każdym razie kiedy jest Vezzi, to ciągle musimy schodzić i wchodzić, cztery piętra, obładowane rzeczami. Ale, z Bożą pomocą, kostium Pajaca wreszcie został skończony, łącznie z ostatnią poprawką, dopiero wieczorem wszystko było gotowe. Chciałam zejść razem z Maddaleną, żeby zobaczyć, czy tym razem będzie zadowolony. No i zastałyśmy drzwi zamknięte.

Ricciardi pomyślał, że nie chciałby znaleźć się na miejscu tenora, w przypadku gdy kostium wymagałby jeszcze jakichś poprawek. Potem, myśląc o obecnym stanie Vezziego, doszedł do wniosku, że niepotrzebnie się martwił.

– Co zrobiłyście, kiedy się okazało, że drzwi rzeczywiście są zamknięte?

– Zapytałyśmy pana kierownika Lasia, co mamy robić. W przeciwnym razie wina spadłaby na nas, gdyby spektakl rozpoczął się z opóźnieniem. Lasio przyszedł i czekałyśmy pod drzwiami.

– A on?

– Pukał, wołał, a potem rozwalił drzwi kopniakiem. Co za siła! – powiedziała nagle zalotnie, a Ricciardi osłupiał z powodu tej nagłej zmiany.

– Potem zajrzałam tam i zobaczyłam... to wyglądało jak rzeź tuńczyków w mojej wsi... uciekłam stamtąd. I tyle.

– A panienka?

– Maddalena Esposito, do usług, panie komisarzu.

W przeciwieństwie do pani Lilli dziewczyna mówiła cicho i patrzyła w podłogę. Czysta i schludna w swoim niebieskim fartuchu, trzymała ręce na podolku, stojąc mocno na nogach. Była bardzo blada.

– Wszystko pani potwierdza?

– Tak jest, panie komisarzu. Mistrz nigdy nie był zadowolony, tyle razy poprawialiśmy mu ten kostium. Potem zesłam z panią Lillą i drzwi były zamknięte. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Dobrze, możecie już iść. Maione, czy przyszedł fotograf?

VIII

Policyjne badania polegały na sfotografowaniu ciała pod różnymi kątami. Dopiero później można było zabrać dowody rzeczowe, które przechowywano na potrzeby śledztwa. Ricciardi chciał być przy tym, żeby jeszcze raz dokładnie obejrzeć miejsce zbrodni i nie przeoczyć żadnego niezbędnego w dalszej pracy szczegółu. Po wyjściu z gabinetu kierownika sceny zobaczył fotografa, policyjnego technika i lekarza sądowego, którzy pocili się w płaszczach, czekając na wejście do garderoby. Przywitawszy ich skinieniem głowy, komisarz ponownie znalazł się pośród kawałków lustra, obok trupa i jego obrazu w swojej imaginacji.

Zimno w garderobie stawało się coraz dotkliwsze, w miarę jak wieczór robił się wilgotny, a powietrze wpadało przez uchylone okno.

Ricciardi wyjrzał przez nie i zauważył, że na dole, na wysokości nieprzekraczającej dwóch metrów, znajdował się trawnik Pałacu Królewskiego. Niewiarygodne, jak traci się poczucie odległości od ziemi, wchodząc i schodząc po schodach Opery. Kiedy odwrócił się w stronę pokoju, oślepił go błysk magnezji aparatu fotograficznego. Przetarł oczy, widząc jedynie obraz tenora powtarzającego swoją strofę. Dobrze wiedział, że to nie oczom zawdzięcza tę wizję. Kiedy wreszcie wzrok wrócił do normy, zauważył pewien szczegół, który wcześniej mu umknął. Na niskiej kanapie, obok wyważonych drzwi, leżał czarny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Na ziemi, między kanapą a stopami trupa, zobaczył biały wełniany szal. Coś było nie tak, ale co? Zrozumienie tego zajęło Ricciardiemu ułamek sekundy; leżący w wielkiej kałuży zakrzepniętej krwi szal był nieskazitelnie czysty. Komisarz energicznie podniósł płaszcz i kapelusz z kanapy i zobaczył, że poduszki były przesiąknięte krwią tenora. Wszystkie z wyjątkiem jednej, w biało-niebieskie paski. Czyściutkiej.

Lekarz sądowy kręcił się wokół zwłok, oglądając je i zapisując coś

pospiesznie w notesie z czarną okładką. Kiedy skończyły się błyski towarzyszące zdjęciom, z pomocą techników przesunął ciało na zakrwawiony dywan. Wełniany trykot, który Vezzi miał na sobie w chwili śmierci, także był cały we krwi. Ile tej krwi mieści się w ludzkim ciele? I ile duszy, myślał Ricciardi, słuchając śpiewu Pajaca stojącego w kącie ze wzniesioną ręką. Czy ta plama zniknie szybciej z dywanu, czy też echo arii uleci z mojej głowy?

Lekarz był poważnym i sumiennym specjalistą, którego Ricciardi podziwiał już przy innych okazjach. Pięćdziesięciopięciolatek, ze znaczącym doświadczeniem wojennym. Między rokiem szesnastym a osiemnastym był na Krasie^[8], został nawet odznaczony. Nazywał się Bruno Modo i był jednym z nielicznych, którym Ricciardi mówił po imieniu.

– I jak tam, Bruno, czego się dowiedziałeś?

– A zatem: rana od ostrza, przecięcie tętnicy szyjnej. Śmierć z powodu wykrwawienia, co do tego żadnych wątpliwości. Z drugiej strony... – i wskazał dokoła szerokim gestem. – Mały siniak na lewym policzku. Uderzenie, może pięścią. Na pierwszy rzut oka nic więcej, nie widzę żadnych innych obrażeń, skóry pod paznokciami... knykcie w porządku... skóra na głowie też... – mówił, lustrując zwłoki przez nasadzone na czubek nosa okulary. Co jakiś czas podnosił rękę Vezziego lub odgarniał mu włosy. Delikatnie, z szacunkiem. Dlatego Ricciardi lubił tego mężczyznę.

– Kiedy, według ciebie?

– Niedawno. Jakies dwie godziny temu, może nawet mniej. Ale powiem ci to później, w szpitalu.

Później, w szpitalu. Kiedy zostaną z ciebie nędzne resztki zszyte byle jak i wers śpiewanej w mroku romancy z opery, pomyślał Ricciardi. Przestałeś narzekać na kostium. Następny, ostatni już, uszyją na tobie bez żadnego poszanowania.

– Posłuchaj, Bruno, a sposób, to znaczy chciałem powiedzieć narzędzie – poprawił z grymasem swój lapsus, bo nazwisko lekarza znaczyło właśnie „sposób” – czy według ciebie mógł to być kawałek lustra?

– Nie mówiłbym o narzędziu, wydaje mi się niemożliwe użycie tak ostrego

szkła bez zranienia się, a tu nie widzę zresztą śladów krwi w miejscu, gdzie ktoś mógł go trzymać. Jestem bardziej niż przekonany, że musiał na to upaść całym swoim ciężarem. Popatrz, jaki jest gruby i ostry. Pasuje, może było i tak: wali pięścią i uderza w lustro. To potężny, silny mężczyzna.

Maione delikatnie włączył się do rozmowy.

– Jak to się stało, doktorze? W jaki sposób wpadł w to lustro?

– Nie widzę żadnych krwiaków. Ale to nic nie znaczy, może uderzył w nie łokciem albo ramieniem. Ma gruby trykot, który mógł osłabić uderzenie. Potem osunął się na krzesło i umarł. Z taką raną musiał skonać szybko, kwestia paru sekund. Zalał cały pokój.

Ricciardi spojrział przelotnie na obraz tenora stojącego na lekko ugiętych kolanach i z podniesioną ręką. To nią właśnie rozbiłeś lustro? Ale dlaczego płaczesz? Nie jesteś pajacem?

– Dobrze, jeśli tu już skończyliście, możemy przejść na scenę.

Wejście Ricciardiego i Maionego powitano chórem, bo i miejsce ku temu było jak najbardziej odpowiednie, ale chór tym razem zaciekle protestował. Jeden chciał się dowiedzieć, czy jest aresztowany, inny pomstował, że martwi się o niego rodzina, ktoś był głodny, komuś chciało się pić. Każdy pytał, dlaczego jest tu jeszcze trzymany. Ricciardi podniósł wolno rękę i zapadła cisza.

– Spokój. Zaraz was odeślę do domów. Najpierw jednak muszę was zobaczyć, muszę zrozumieć, kim jesteście. Ci wszyscy, którzy występują na scenie, niech przesuną się w prawo. Pracownicy techniczni i orkiestra – w lewo.

Zapanowało chwilowe zamieszanie, takiego układu choreograficznego nie przewidziano. Po kilku popchnięciach i poirytowanych pohukiwaniach powstały dwie pokaźne grupy. A właściwie trzy: pośrodku stał mężczyzna w stroju księdza.

– A pan? Niech się pan zdecyduje, przecież ma pan na sobie kostium sceniczny.

– No właśnie, komisarzu, to nie kostium... jestem don Pietro, zastępca

proboszcza z San Ferdinando.

– I co ksiądz tu robi? Ofiara nie żyła już, kiedy ją znaleziono. Kto tu księdza wezwał?

– To nie tak, panie komisarzu, szczerze mówiąc, sam się tu wślizgnąłem.

Wszyscy wybuchnęli odrobinę nerwowym śmiechem. Głos zabrał kierownik sceny, przeczesując dłonią gęste rude włosy.

– Komisarzu, ja to wytłumaczę, jeśli można.

– Proszę.

– Don Pietro to stary przyjaciel, tak trzeba powiedzieć. Uwielbia operę, jest jej wielkim miłośnikiem. Myśli, że nikt o tym nie wie, ale od dwóch lat, za moim pozwoleniem, Patrisso, pilnujący bocznego wejścia od ogrodów, wpuszcza go tu. Nikomu nie przeszkadza, staje na podeście koło wąskich schodów i cieszy się spektaklem. Przyzwyczailiśmy się, że go tu widzimy, bez niego wydaje się nam, że czegoś brakuje. Śpiewacy i członkowie orkiestry uważają, że przynosi im szczęście.

Aprobujący pomruk potwierdził słowa kierownika. Don Pierino, sam na środku sceny, którą tak kochał, był czerwony z dumy, zaskoczenia i zakłopotania.

– A zatem – powiedział Ricciardi – zna ksiądz operę i ten budynek też. Ale nie jest ani członkiem orkiestry, ani śpiewakiem, ani nawet tu nie pracuje. Zna wszystkich, ale nie zna nikogo. Dobrze – zwrócił się do pozostałych – nie możecie wyjeżdżać z miasta przez kilka dni. Jeśli ktoś będzie musiał wyjechać, powinien przyjść do kvestury i to zgłosić. Jeśli ktoś przeprowadzi się z jednego domu do drugiego, powinien przyjść do kvestury i to zgłosić. Jeśli ktoś sobie coś przypomni, powinien przyjść do kvestury i to zgłosić. A z księdzem muszę chwilę porozmawiać.

Ludzie chóralnie odetchnęli z ulgą i zaczęli się tłoczyć przy wyjściu. Tylko don Pierino pozostał na swoim miejscu. Wyglądał na upokorzonego i przejętego. Nie dlatego, że miałby się czegoś obawiać, ale pomyślał sobie, że w tych czasach nigdy nie było przyjemnie mieć do czynienia z policją. No i czuł się szczerze poruszony śmiercią Vezziego. Myślał z żalem o jego

głosie, tym subtelnym dowodzie miłości Boga do ludzi, darze dla miłośników opery, którego już nigdy nie usłyszy. Chyba że przez trzeszczącą tubę gramofonu stojącego u niego w pokoju.

IX

Komisarz podszedł do księdza, dwa kroki za nim podążał najstarszy brygadier. Don Pierino zorientował się, że korpulentny policjant ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze swego przełożonego, a równocześnie rozgląda się dokoła, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nic mu nie zagraża. Musiał być do niego bardzo przywiązany.

Ricciardi z kolei budził w nim osobliwe uczucia. Z daleka wydawał mu się człowiekiem bez żadnych cech szczególnych. Średniego wzrostu, w ubraniu średniej wartości. Ale don Pierino pochwycił jego spojrzenie, kiedy pojawił się na miejscu zbrodni. A to spojrzenie bardzo wiele mu powiedziało. Przyzwyczajonemu do szukania i znajdowania prawdy kryjącej się za wyrazem twarzy, proboszczowi zdało się, że oto staje przed kilkoma ludźmi naraz.

W spojrzeniu czaił się ból; stary, ale ciągle żywy. Ból, który był odwiecznym towarzyszem Ricciardiiego. Samotność. Inteligencja i odrobina ironii, sarkazmu w stosunku do mamroczącego blisko niego dyrektora. To była tylko chwila, ale don Pierino wyczuł skomplikowaną i doświadczoną przez los osobowość.

Teraz miał go przed sobą. Bez kapelusza, z kosmykiem czarnych włosów opadającym na ostry nos. Ręce w kieszeni płaszcza, którego nie zdjął mimo gorąca. No i oczy: zielone, prawie przezrocyste. Nigdy nie mrugał powiekami, podczas gdy czoło cały czas pozostawało lekko zmarszczone. Samotność i ból, ale także ironia.

– A zatem dzisiaj gra ksiądz nie na swoim terenie?

– Dlaczego, a czy ksiądz ma swój teren? Nigdy nie widziałem takiego terenu, na którym ksiądz nie okazałby się przydatny. Nie, dzisiaj nie pełniłem posługi, jeśli o to pan pytał. Ale, jak widać, jestem w stroju służbowym.

Ricciardi skrzywił się i pochylił głowę. Kiedy ją podniósł, czoło

wyglądziło się, ale wyraz twarzy nie uległ zmianie.

– Niektóre mundury wkłada się albo nie, wszystko jedno. Ale i tak ciągle się ma je na sobie. Ksiądz, ja. Ciągle w mundurze.

– Ważne, żeby mundurem nie wzbudzać strachu. Ludzie powinni poczuć się bezpiecznie na jego widok. A żeby nie wzbudzać strachu, nie trzeba się bać.

Komisarz lekko się wzdrygnął, jak gdyby ksiądz zniecka go spoliczkował. Pochylił głowę w bok i spojrzał na niego z uznaniem. Stojący dwa kroki za Ricciardim Maione przerzucił ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– A ksiądz nigdy się nie boi?

– Boję się prawie zawsze. Ale proszę o pomoc. Boga, ludzi. I wychodzę z tego.

– Moje gratulacje. Świetnie, to dla księdza dobrze. A teraz przejdźmy do spraw mniej przyjemnych. Ksiądz zna operę i to środowisko. Ja nie znam ani jednego, ani drugiego. Zawarłby ksiądz pakt z policjantem?

Znowu sarkazm. Bez zmrużenia oka. I nadal te kawałki zielonego szkła zamiast oczu.

– Ksiądz nie zawiera paktów, komisarzu. Nie jest właścicielem własnej szczerości. Nie donosi na innych. Nie śledzi żadnego nieszczęśnika.

– Rozumiem. Lepiej, żeby takiego nieszczęśnika, nawet niesłusznie, posłali do więzienia. I żeby prawdziwy winowajca pozostawał na wolności, aby móc popełnić kolejną zbrodnię. Ma ksiądz rację. A to znaczy, że poszukam pomocy gdzie indziej.

Maione zdumiał się, Ricciardi rzadko kiedy mówił tak długo. Nie zrozumiał dobrze rozmowy, ale pojął, że komisarz jeszcze bardziej się zasepił. Wyczuwał to po usztywnieniu jego pleców, sposobie, w jaki trzymał głowę. Ten mały, wyglądający na spokojnego ksiądz, kołyszący się na palcach, z rękami splecionymi na brzuchu, wprowadził go w zakłopotanie. Jak pies myśliwski, który nie może się doczekać, żeby pobiec śladem tropu, brygadier czuł, że tylko tracą czas. W każdym razie w domu czekał szwagier

i wcale mu się tam nie spieszyło.

– Nie, panie komisarzu – powiedział don Pierino. – Nie to chciałem powiedzieć. Udzielę panu każdej informacji, jakiej tylko będzie pan potrzebował, ale niech mnie pan nie prosi ani teraz, ani później, żebym pomógł kogoś oskarżyć. Pan reprezentuje sprawiedliwość ludzi. Ja – inną, tę, która umie przebaczać.

– Nie wejdę na teren ojca. I nie pozwolę, żeby ksiądz wszedł na mój. Czekam jutro rano o ósmej w kwesturze. Proszę się nie spóźnić.

Nie licząc na odpowiedź, komisarz odwrócił się i wyszedł. Maione przez chwilę przyglądał się księdzu uważnie, po czym podążył w ślad za Ricciardim.

Mimo że była już prawie jedenasta i że wyszedł bocznym wyjściem, na Ricciardiego czekał tłum ciekawskich i dziennikarzy, niezwracających uwagi na wiatr szalejący pod arkadami. Maione wyprzedził swego szefa i stanowczo odsunął tych, którzy stanęli mu na drodze i usiłowali wydobyć jakiś komentarz dla popołudniówek. Ricciardi nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem, przyzwyczajony, jak to on, do ignorowania wszystkich, którzy zwracali się do niego, zawsze jednak ich wysłuchiwał.

Podczas krótkiego spaceru do kwestury zamienili ze sobą tylko parę słów. Maione dobrze wiedział, że następnego dnia ruszy cała machina śledcza. Określą ostatecznie godziny ofiary i przesłuchają ewentualnych świadków. Brygadier znał sposób działania komisarza, który z maniakalną dokładnością poszukiwał możliwych motywów, sytuacji, słów mogących go naprowadzić na właściwą drogę. Czekwały ich ciężkie dni. Maione miał nadzieję, że przynajmniej o tej godzinie szwagier już wrócił do siebie.

Kiedy doszli do pałacu, przy którym mieściła się kwestura, komisarz pożegnał brygadiera skinieniem głowy i skręcił w górę, w ulicę Toledo. Szedł szybkim krokiem, popychany przez wiatr. Miasto, które w innych porach roku, o tej godzinie, rozbrzmiewało jeszcze muzyką i gwarem, tego wieczoru było już ciche. Na ulicach, w falującym świetle lamp zawieszonych na drutach elektrycznych, walały się kawałki papieru i resztki gazet. Odgłos jego kroków rozbrzmiewał na kamieniach chodnika, towarzysząc wyciu wiatru

w przedsionku jakiegoś zakładu lub w bramach starych kamienic. Trup z placu Carità ponownie zawiadomił go, że nie odda złodziejowi swoich rzeczy, cały czas tracąc krew i wypływający z głowy mózg. Ricciardi nie zwrócił na niego uwagi.

Zastanawiał się. Otwarte okno przy takim zimnie i w garderobie kogoś, kto musiał uważać na głos i przeciągi. To nie miało sensu. Czysty płaszcz na kanapie ubrudzonej krwią. To nie miało sensu. Nieskazitelnie biały szal na podłodze. To nie miało sensu. Pasiasta poduszka, jedyna niepoplamiona. To nie miało sensu. Zamknięte drzwi. To nie miało sensu. A jeżeli całość ma jednak jakiś sens? Dziecko na rogu ulicy Salvatora Rosy, a raczej jego biedny, pokiereszowany szkielet, zapytało, czy może zejść się pobawić. Obraz zaczynał zanikać, może wreszcie się rozplynie i pozwoli komisarzowi zasnąć. Oby nastąpiło to jak najszybciej.

Dotarł do domu.

X

Rosa Vaglio urodziła się razem z Włochami, ale nie zdała sobie z tego sprawy ani wtedy, ani później. Dla niej ojczyzną zawsze była rodzina, którą opiekowała się z pełną determinacją. Miała czternaście lat, kiedy zawitała do domu Ricciardiego di Malomonte. Była dziesiątym z dwanaściorga dzieci i baronowa wybrała ją bez chwili wahania.

Pamiętała ten dzień, jak gdyby to było wczoraj; wysoka, uśmiechnięta blondynka omawiała z ojcem zapłatę za nią. Potem dziewczynka przyjaźniła się z jej synem, dopóki nie wyjechał na studia do Neapolu, gdzie spędził wiele lat. Rosa miała wrodzoną inteligencję i szybko stała się głównym punktem odniesienia w wielkiej siedzibie rodowej w Fortino. Po śmierci starego barona, a potem baronowej, dalej zajmowała się wszystkim, jak gdyby w każdej chwili mogli wrócić z podróży. Powrócił tylko ich syn, już czterdziestoletni, z młodziutką żoną.

Wieczorem, 25 marca 1931 roku, krzątając się w kuchni, Rosa wzdychała z powodu kolejnego opóźnienia kolacji i uśmiechała się do tego wspomnienia sprzed lat. Niewysoka żona barona, pani Marta, miała już wtedy dwadzieścia lat. Ale wydawała się o wiele młodsza, szczupła, o ciemnych włosach i oczach tak zielonych, że zdawały się przewiercać duszę. I tak bardzo cierpiała.

Rosa często zastanawiała się, co było przyczyną tego cierpienia. Młoda baronowa miała wszystko, czego chciała, majątek, dobrobyt, kochającego męża. Ale podczas długich spacerów w Fortino, w których jej towarzyszyła, w ostrym zapachu kóz i chłopów, którzy przestawali pracować i zdejmowali czapki, czuła, że wszędzie podąża za nimi to cierpienie. Może baronowa Marta coś wspominała, może czegoś żałowała. Nie mówiła dużo, ale uśmiechała się do Rosy z czułością i czasem głaskała po twarzy. Jak gdyby to ona miała dwadzieścia lat więcej.

Rosa pamiętała ten październikowy poranek ostatniego roku minionego wieku, kiedy baronowa, haftując na tarasie, nagle powiedziała jej: „Roso, od jutra zaczynamy szyć wyprawkę”. Tak właśnie, prosto. Od tej pory stała się nianią Rosą i została nią przez całe życie.

– Wiesz przecież, że nie chcę, żebyś na mnie czekała. Już późno, powinnaś spać.

Ricciardi czuł ciepło domu przenikające powoli do jego wysmaganych zimnem kości. Zapach płonącego w piecu drewna, czosnku, fasoli, oliwy. Światło lampy z abażurem obok fotela, gazeta na jego oparciu. W pokoju flanelowy szlafrok, kapcie z miękkiej skóry i siatka na włosy. Moja niania, pomyślał.

– No pewnie, pójdę sobie spać i zostawię pana na czczo. A co ja niby nie wiem, że poszedłby pan głodny do łóżka? I ciągle ubierałby się pan w to samo, gdybym nie układała wszystkiego na łóżku? To nie jest normalne, trzydziestka na karku i żadnej kobiety koło siebie. I to w tych czasach, kiedy jeszcze chwila, a zaczną starych kawalerów do więzienia wsadzać. A tyle pięknych dziewcząt! Czego to panu brakuje? Przystojny, bogaty, młody, z takim rodowodem! A mnie trzeba będzie umieścić w jakimś przytułku i może wtedy zacznie pan wreszcie żyć jak trzeba.

No i powiedziała to. Siadając do stołu, bardzo się pilnował, żeby nie westchnąć, wywołałby tylko niekończący się monolog. A on miał spotkanie, na które już był bardzo spóźniony.

Rosa przyglądała mu się, kiedy jadł, jak zwykle łapczywie. Pochylony nad talerzem, szybko, w milczeniu pochłaniał jedzenie. Pomyślała, że tego też sobie odmawia, przyjemności delektowania się smakiem. On nigdy się nie delektował, ani jedzeniem, ani niczym innym. W jego przypadku cierpienie, które matka skrywała w sobie, było widoczne. Te same zielone oczy, to samo cierpienie. Rosa opiekowała się nim całe życie, podczas nocnych gorączek, samotności. W latach szkolnych czekała na niego, kiedy przyjeżdżał na wakacje, święta, w niedziele. Przygotowywała mu to, co lubił, nawet gdy jej o to nie prosił. Słyszała nawet jego myśli, mimo że ich nie znała. Była jego

rodziną, a on stał się sensem jej życia. Dałaby sobie uciąć rękę, żeby zobaczyć, jak się uśmiecha, chociaż raz. Chciała, żeby wreszcie zaczął być pogodny, nie tak oddalony od świata i ludzi, obserwujący wszystko z daleka, z rękami w kieszeni i kosmykiem na czole. Bez uśmiechu, bez słowa. Ale czego mu brakowało?

Wzruszyła się jak matka. Kiedy tak jadł, zatopiony w myślach, wydało się jej, że Luigi znowu jest dzieckiem. Zawsze bardzo lubił fasolę.

Ricciardi fasoli nie znosił, ale nie chciał sprawiać przykrości niani, zresztą tego wieczoru był głodny, może przez to zimno, które czuł w kościach. Znowu wrócił myślami do miejsca zbrodni. Jeśli ktoś przyniósł płaszcz i szalik do garderoby już po śmierci Vezziego, to kto? I dlaczego? Tylko Lasio, kierownik sceny, krawcowa Lilla i jej pomocnica przyznali, że widzieli garderobę już po zabójstwie. Zbierając sos chlebem, Ricciardi przypomniał sobie zachwyconą minę grubej Sycylijki na widok kierownika, może działali w zмовie? A ta mała, Esposito, też była z nimi? Nie, za dużo ludzi. I za dużo krwi; morderstwo nie było wcześniej zaplanowane, co do tego nie ma wątpliwości. A otwarte okno? A mała poduszka w paski? Tyle pytań, a „Zdarzenie” wcale mu nie pomagało. Często tak było: to, co słyszał z ust ofiary, mogło okazać się nieprawdą, wprowadzić go w błąd. To tylko emocje, przecucie, a nie jakiś racjonalny przekaz. Cierpienie, złość, nienawiść, także miłość.

Kieliszek czerwonego wina, potem następny. Po każdej kolejnej śmierci trudno mu było zasnąć. Odczuwał jakąś wibrację w klatce piersiowej, jakby wyczekiwanie. Może ogarniał go lęk przed śmiercią, przed chwilą ostateczną? Przed czym? – pomyślał. Dopóki żyjesz, śmierci nie ma, jeśli nadchodzi, to ty już tam nie jesteś. Jednak spotykasz ją, powiedział w wieku siedemnastu lat jezuita w szkole. Ale potem jest Bóg, odpowiedział zakonnik.

Bóg istnieje? Sącząc wino, Ricciardi wrócił myślami do tego starego księdza, którego spotkał dzisiaj w teatrze. Szybkie, mądre, błyskotliwe odpowiedzi. Wydawał się inteligentnym człowiekiem. Jeszcze jeden przekonany o tym, że Bóg istnieje. A gdzie według niego podziewa się ten

Bóg, kiedy widzi obraz cierpienia i słyszy ostatnie myśli zmarłych? Czy tylko on mógł uspokoić ten ból?

Ricciardi wstał od stołu, w przeciwnym razie niania przyglądałaby mu się przez całą noc, nie zbierając naczyń. Pocałował ją czule w czoło i poszedł do sypialni, gdzie miał umówione spotkanie.

XI

Kobieta o blond włosach szła wzdłuż murów na placu Carolina, w stronę ulicy Gennara Serry. Szła szybkim krokiem, popychana przez zimny wiatr wiejący od morza. W przeciwieństwie do nielicznych przechodniów, którzy spieszyli się do domowego ciepła, ona nie miała chęci znaleźć się znowu pod ostrzałem wbitych w nią oczu, drążących w poszukiwaniu jej najskrytszych uczuć.

Nauczyła się świetnie udawać. Nie mogła dopuścić, aby ludzie dowiedzieli się o wszystkim, co się stało. W słabym świetle lamp, idąc coraz wolniej, czuła ręce kochanka na swym ciele. Pamiętała jego twarz, ton głosu, krótki oddech. Ponownie myślała o tym, co sobie powiedzieli, o obietnicach i planach. Pytała siebie, jak to się mogło stać? A teraz jak ukryje przed wzrokiem swojego mężczyzny, że kocha innego, że ma z nim wyjechać?

Przesuwając dłonią po twarzy ukrytej pod zasłaniającym jej przepiękne oczy kapeluszem, zauważyła, że była wilgotna. Łzy. Płakała. Musiała wziąć się w garść, nie była daleko od domu. Widziała już ciemną sylwetkę kościoła Santa Maria degli Angeli na szczycie drogi do Pizzofalcone. Za chwilę stanie przed mężczyzną, który kochał ją tak bardzo, że poznawał jej uczucia, jeszcze zanim sama zdawała sobie z nich sprawę. Żałowała tego, co się stało. Cierpiała z powodu tego mężczyzny, z powodu zdrady. Musiała postępować tak, żeby nikt się nie zorientował, musiała wybronić go przed skandalem.

Przyspieszając kroku, ponownie zastanawiała się, co się wydarzy.

Jak co wieczór Ricciardi zamknął drzwi sypialni. Przed pójściem spać uchylił je, żeby słyszeć ciężki, acz pocieszająco regularny oddech Rosy. Włożył szlafrok i siatkę na włosy. Podszedł do okna, nie zapalając światła, i odsunął zasłony. Na kawałku widocznego z okna nieba, pogodnego i przejrzystego dzięki silnym wiatrom z północy, świeciły cztery gwiazdy.

Ale Ricciardi nie od gwiazd oczekiwał teraz oświecenia.

Światło, które chciał zobaczyć, pochodziło z małej lampy na stoliku, za oknem pomieszczenia dokładnie w domu naprzeciwko. Stolik stał obok fotela, w którym siedziała młoda kobieta pochłonięta wyszywaniem. Przytulny kącik w obszernej kuchni. Ricciardi wiedział, że ma na imię Enrica i jest najstarsza spośród pięciorga dzieci handlarza kapeluszami. To liczna rodzina: jedna siostra Enriki, mająca małe dziecko, mieszkała z mężem w tym samym mieszkaniu.

Młoda kobieta haftowała lewą ręką, skoncentrowana na pracy. Miała okulary w szylkretowej oprawce. Ricciardi wiedział o niej tylko to, że schylała nieco głowę, kiedy była czymś zajęta. Jej ruchy były płynne i pełne wdzięku, mimo że w ferworze dyskusji nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Była mańkutem. A ponadto podczas zabaw z braciszkiem lub siostrzeńcem niespodziewanie wybuchiała śmiechem. Czasem kiedy była sama i myślała, że nikt jej nie widzi, płakała.

Każdego wieczoru komisarz przynajmniej chwilę spędzał przy oknie, obserwując zza szyby życie Enriki. To były jedyne momenty wytchnienia, jakie ofiarował swej rozdartej duszy. Obserwował kobietę podczas kolacji, pogodną i miłą, w towarzystwie rodziny, kiedy siedziała po lewej stronie matki. Kiedy słuchała radia, uważna i skupiona, albo płyty gramofonowej, całkowicie tą czynnością pochłonięta i lekko uśmiechnięta. Albo kiedy czytała z pochyloną głową, śliniąc palec przed przewróceniem strony. Widywał ją podczas dyskusji, spokojną i uparcie broniącą swoich racji. Nigdy z nią nie rozmawiał, ale nikt, tego był pewien, nie znał jej lepiej niż on.

Nigdy z nią nie rozmawiał. Ani nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Pewnej niedzieli, wyręczając nianię, zszedł kupić warzywa od obwoźnego handlarza, który przyjeżdżał z Capodimonte. Zapłacił i odwrócił się z brokułami pod pachą, stając z nią twarzą w twarz. Jeszcze teraz przechodziły go dreszcze na samą myśl o tej niezwykłej mieszance przyjemności, zakłopotania, radości i przerażenia, które wtedy odczuwał. Setki razy, zasypiając lub zaraz po przebudzeniu, widział głęboką czerń jej

oczu. Uciekł wtedy, czując pulsowanie w uszach. Nie odwracał się, gubiąc brokuły po drodze, z przymkniętymi powiekami, żeby tylko nie utracić widoku tych długich nóg i rodzącego się uśmiechu, który, tak przynajmniej sądził, zauważył. I jak mógłbym z tobą porozmawiać? Co mógłbym ci dać oprócz skazania cię na oglądanie mnie wiecznie wykończonego?

W wąskim rąbku światła nieświadoma niczego Enrica nadal haftowała.

Przed zaśnięciem Ricciardi wrócił myślami do Pajaca i jego desperackiej ostatniej pieśni.

Ja zemsty pragnę...

Co zmusza umierającego człowieka do śpiewu? Może ćwiczył przed wejściem na scenę? Powtarzał rolę? Dlaczego płakał? Komisarz dobrze zapamiętał ślad po łzie na umalowanym policzku.

A może płacz wyrażał jakieś uczucia związane z operą? Ale jakie? Co w tym przedstawieniu było tak wyjątkowego? Dlaczego, gdy na scenie śpiewano już od godziny, solista jeszcze malował się w garderobie? Musi to lepiej zrozumieć. Wejść w życie Vezziego i w jego intrygujący zawód oparty na fikcji. Poprosi o pomoc tego księdza.

Podczas gdy wiatr poruszał okiennicami, Ricciardi zapadł w dziwny sen, w którym czyjaś lewa ręka wyszywała przed płaczącym Pajacem.

XII

Nazajutrz rano zimny wiatr wcale nie osłabł. Po niebie gnały czarne, ciężkie chmurzyska, pozwalając jednak, aby słońce rozświetlało kawałki miasta jak reflektorami wycelowanymi na chybił trafił, żeby ukazać jakieś nieznaczące szczegóły. Idąc do kwestury, Ricciardi widział mężczyzn ściągniętych własne kapelusze, bose dzieci bawiące się w żaglówki szmatami, które służyły im za okrycie, niezwracających uwagi na zimno i opatulonych żebraków, szukających spokoju w bramach kamienic, skąd przeganiali ich nietolerancyjni dozorczy.

Ricciardi pomyślał, jak bardzo miasto zmienia się w zależności od pogody. Przy zimnym wietrze i w niepewnym świetle stare, tętniące życiem domy przypominały ciemne jaskinie, a place budowy – pomniki wznoszone samotności i porzuceniu.

Po przyjsciu do biura natknął się w drzwiach na woźnego wicekwestora Garza, swego szefa. Człowieczek, trochę z powodu zimna, a trochę ze zdenerwowania, dreptał w miejscu i zacierał ręce.

– O, panie komisarzu, nareszcie, a ja już tu prawie zamarzę... Pan Garzo prosi pana do siebie, natychmiast.

Woźny nazywał się Ponte. Był jednym z tych, którzy traktowali Ricciardiego z wielkim respektem i z pewnym zabobonnym strachem. Zawsze starał się unikać jego wzroku i nie wchodzić mu w drogę. Także i teraz patrzył trochę pod nogi, a trochę w niebo, na boki, rzucając od czasu do czasu szybkie spojrzenia na rozmówcę. Komisarz zirytował się zarówno z powodu takiego ponaglania, jak i niemożności zrozumienia, o co mogło chodzić.

– O tej godzinie? Zazwyczaj to tylko ja siedzę na tym piętrze do dziesiątej. Dobrze, zdejmę płaszcz i przyjdę.

– Komisarzu, bardzo pana proszę, pan wicekwestor powiedział: „Chcę go

natychmiast widzieć w swoim gabinecie”. Siedzi tu już od wpół do ósmej! Bardzo pana proszę, zmyje mi głowę!

– Powiedziałem, że najpierw się rozbiorę. Musicie poczekać, i pan, i wicekwesor. Proszę się odsunąć.

Wobec tak ostrego tonu Ponte odskoczył na bok. Ale widać było, że jest mu bardzo przykro. Ricciardi spokojnie wszedł do swojego pokoju, powiesił płaszcz w szafie z ciemnego drewna, przeczesał włosy i ruszył za wzburzoną woźnym.

Angelo Garzo był karierowiczem. Przez całe życie postępował tak nie tylko w przypadku pracy. W przededniu czterdziestki przebierał nogami, aby przyznano mu kwesturę, nawet jedną z tych mniej ważnych.

Sądził, że spełnia wszystkie warunki: ma dobrą prezencję, świetne kontakty, modelową rodzinę, partyjną legitymację. I jest oddany pracy. Brał udział we wszystkich inicjatywach politycznych, starając się zadowolić zwierzchników i mocną ręką trzymać podwładnych. Uważał, że ma zdolności organizacyjne, ochoczo bywał wszędzie, gdzie trzeba się pokazać i z kim trzeba. Średnio towarzyski, acz, wedle własnej oceny, wystarczająco sympatyczny. W rzeczywistości jednak był nic niewart.

Droga, która doprowadziła go do obecnej pozycji, była usłana donosami, sprytem, służalczą w stosunku do zwierzchników i przede wszystkim wybrukowana zręcznie wykorzystanymi umiejętnościami podwładnych.

Z takim właśnie nastawieniem przyjął komisarza Ricciardiego, kiedy ten pojawił się wreszcie w drzwiach razem z woźnym.

– Mój drogi, najdroższy Ricciardi! Czekam na pana z niepokojem! Proszę, proszę. – Wszedł zza biurka, które było idealnie puste, z wyjątkiem kartki papieru, dokładnie na samym środku. Potem zwrócił się ostro do Pontego, sycząc: – Przecież powiedziałem, że ma tu przyjść natychmiast! Wynoś się.

Mimo że gabinet Garza był podobnej wielkości co pokój Ricciardiego, wyglądał całkowicie inaczej. Panował tu perfekcyjny porządek, nie było stosów raportów i starych teczek, wielką bibliotekę za plecami zapełniały poważne księgi poświęcone prawu i prawom, najwyraźniej nigdy nieczytane. Na szerokim oparciu fotela z brązowej skóry, na wysokości głowy, leżał

miękki zielony materiał. Przed biurkiem stały dwa krzesła z siedziskami z czerwonej skóry i małymi poduszkami. Na niskiej, otwartej szafce, w której widać było kryształową karafkę i cztery kieliszki do likieru, królował wielki wazon. Ściany, obok dwóch obowiązkowych portretów, ozdabiał także list pochwalny od kwestury w Avellino, który Garzo bezprawnie sobie przywłaszczył. Na biurku, oprócz podkładki i noża do papieru w zielonej oprawie, stało zdjęcie nieładnej, ale uśmiechniętej kobiety z dwojgiem dzieci w marynarskich strojach.

Z tego całego luksusu Ricciardi zazdrościł kwestorowi jedynie fotografii.

Na korytarzach szeptano, że żona Garza jest kuzynką prefekta Salerno i że od tego małżeństwa zależy w dużej mierze jego kariera. W każdym razie, pomyślał Ricciardi, masz w swoim życiu radość. W moim jest tylko haftująca ręka, obserwowana ze zbyt dużej odległości.

Garzo przemówił ustawionym, przekonującym głosem, pomagając sobie płynną gestykulacją:

– Proszę, niech pan siada. Wiem, co może pan sobie myśleć, Ricciardi. Brak panu pochwał przełożonego, docenienia pańskiej pracy, która nie zawsze jest właściwie oceniana, nie zawsze podkreślane jest pańskie zaangażowanie. Wiem także dobrze, że przy okazji błyskawicznego i błyskotliwego rozwiązania sprawy Carosina oczekiwał pan pochwały od pana kwestora, który jednak z tej okazji wołał wyrazić wdzięczność całej brygadzie poprzez moją skromną osobę. Ale, i zawsze musi to pan mieć na uwadze, darzę pana wielkim szacunkiem. I jeśli nadarzyłaby się odpowiednia okazja, umiałbym udowodnić, jak bardzo cenię współpracę z panem.

Ricciardi słuchał ponuro, z rękami w ciągłym ruchu. Zdawał sobie sprawę, ile fałszu kryły słowa Garza, który uważał go za zagrożenie własnej pozycji. Wicekwestor bardzo chętnie pozbyłby się tego dziwnego, milczącego komisarza, bez żadnych przyjaciół i skłonności do zwierzeń, który, z tego co mówiono, nie miał preferencji ani szczególnych inklinacji seksualnych mogących obnażyć jego słabości. Niestety był bardzo zdolnym pracownikiem, rozwiązującym w sposób niemal nadprzyrodzony pozornie niezwykle skomplikowane przypadki, do których on, Garzo, nie umiałby

nawet podejść. Zupełnie jak gdyby prawdą było to, o czym szeptano, że komisarz zawarł pakt z diabłem, który zwierzał mu się z własnych poczynań. Garzo był przekonany, że aby tak dobrze zrozumieć zbrodnię, trzeba było być po trosze zbrodniarzem. I dlatego właśnie on, człowiek porządny, nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

– O czym chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytał Ricciardi.

Garzo poczuł się prawie dotknięty ostrymi słowami komisarza, ale tylko przez chwilę. Ponownie zaczął mu schlebiać uspokajającym tonem.

– Oczywiście ma pan rację, nie mamy czasu do stracenia. Jesteśmy ludźmi czynu. A więc wczoraj wieczorem w San Carlo. Nie mogłem tam być z powodu niezwykle ważnych spraw zawodowych, nigdy nie mam czasu na rozrywkę. Dowiedziałem się o pańskim natychmiastowym przybyciu, moje gratulacje, pan też pracuje o tak późnej porze. Razem z pańskim walecznym brygadierem, jakże on się nazywa? Maione, tak. I jak poszło? Wiem, że był pan dość... stanowczy, że tak to ujmę. Czasami, sam to dobrze wiem, nie ma innego wyjścia. Ale, na miłość boską, był tam pan prefekt, księżę d'Avalos, rodziny Colonnów, Santa Severinich... czy nie można było nie spisywać ich danych? Pan, Ricciardi, czasami jest zbyt... bezpośredni. Mówię to dla pana dobra, przydałoby się więcej dyplomacji, przynajmniej w stosunku do tych, którzy się liczą. Były skargi na pana. Także ze strony dyrektora Spinellego. Pederasta, ale ma ustosunkowanych przyjaciół.

Ricciardiemu nie drgnął ani jeden mięsień. Wysłuchał wszystkiego w milczeniu, nie mrugnawszy nawet okiem.

– Mogę przekazać sprawę innym. Ja pracuję w ten sposób, zresztą, o ile dobrze pamiętam, zgodnie z procedurami.

– Ależ oczywiście! Nawet mi się nie śni, żeby przydzielać komuś innemu tę sprawę. Nikt nie może poprowadzić jej lepiej. Dlatego tak wcześniej pana dzisiaj szukałem. Na czym stoimy?

– Zaczynamy dzisiaj rano. Ponownie przeprowadzimy wizję lokalną, przesłuchamy świadków. Będziemy pracować pełną parą.

– Świetnie, właśnie o to mi chodziło, pełną parą! Będę z panem szczery, Ricciardi. To poważna sprawa, o wiele poważniejsza, niż możemy sobie

wyobrazić. Ten śpiewak... Vezzi... w swojej dziedzinie był, jak się wydaje, najlepszy. Miłośnicy opery uwielbiali go, był prawdziwą dumą narodową. A w czasach takich jak te, kiedy duma narodowa jest wartością najwyższą... Podobno sam Duce podziwiał go i chodził na jego przedstawienia w Rzymie. Mówią, że jest tak samo, a może i jeszcze zdolniejszy niż Caruso. A fakt, że to stało się tutaj, w naszym mieście, wprowadził władze w osłupienie. Ale, powiedzmy sobie szczerze, to także okazja dla pana. Jeżeli udałoby się nam odkryć winnego tak szybko i kompetentnie jak zwykle, jak to tylko pan potrafi... to zwróciłoby na mnie, to znaczy na nas, uwagę najwyższych władz państwowych. Rozumie pan?

– Rozumiem, że jest trup, panie kwestorze. Ofiara morderstwa. A zabójca cieszy się wolnością w naszym mieście. Nie wiem, ile to nam zajmie czasu, ale jak zwykle zrobimy to wszystko co zazwyczaj. Nie tracąc czasu. Jeśli go nie zaczniemy tracić.

Tym razem Garzo nie mógł nie zauważyć zimnego sarkazmu w słowach komisarza.

– Niech pan posłucha, Ricciardi – powiedział, marszcząc czoło. – Nie pozwolę na taki brak szacunku. Poprosiłem tu pana, żeby poinformować, jak ważne jest to dochodzenie, przede wszystkim dla pańskiego dobra. Nie zawaham się, i musi pan to wiedzieć, przypisać panu porażki, jeśli sprawa zakończy się porażką. Nie będę ryzykował swojej kariery dla pańskich błędów. Jeżeli będzie pan działał sprawnie, to wszyscy będą zadowoleni. Nie uda się panu – wtedy to pan zapłaci. Widzi pan to? – zapytał, pokazując leżącą na biurku kartkę. – Ten telefonogram przyszedł z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zobowiązuje nas do informowania ich nawet o najmniejszych postępach w śledztwie. Nawet najmniejszych, rozumie mnie pan, Ricciardi? Proszę mnie o wszystkim informować na bieżąco. Pan kwestor z kolei będzie przekazywał te informacje do Rzymu. Wszystkie pozostałe sprawy, którymi zajmował się pan do tej pory, zostają zawieszane.

Nareszcie Ricciardi rozpoznał prawdziwego Garza.

– Jak zwykle, panie kwestorze. Będę postępował jak dotychczas. Z największą uwagą.

– Nie mam co do tego wątpliwości, Ricciardi. Może pan odejść.
Za drzwiami woźny Ponte starannie unikał jego wzroku.

XIII

Don Pierino odprawił mszę o siódmej. Lubił to. Lubił widzieć ludzi, którzy poszukują Boga, zanim wyruszą na wojnę z kolejnym dniem. O tej godzinie nie istniały żadne bariery społeczne. W ławkach siedzieli mężczyźni i kobiety, ubrani różnie, choć odczuwający tę samą potrzebę.

Tego ranka pogoda była dziwna, ale piękna. Wiatr głośno wył w wąskiej nawie głównej, a światło przepuszczane przez witraże co rusz zmieniało swą intensywność, jak gdyby chciało dać do zrozumienia, że obecni nie zasłużyli na nie, że powinni na owo światło zapracować, jak na płody ziemi i chleb powszedni.

Po skończonej mszy don Pierino włożył zniszczony płaszcz i przytrzymując ręką kapelusz, poszedł do pobliskiej kwestury na spotkanie z komisarzem. Od poprzedniego wieczoru dużo myślał o jego przenikliwym spojrzeniu i o tym, co w nim zobaczył.

Wrodzone zainteresowanie bliźnim i księżowska praktyka wzbogaciły go o zdolność rozpoznawania uczuć ukrytych za wyrazem twarzy, a nie tylko w podyktowanych przez okoliczności słowach. Dlatego mały ksiądz nauczył się prowadzić równoległe dwa dialogi, jeden ustami, a drugi oczami. Oferując pomoc tym, którzy jej potrzebowali, ale nie znajdowali siły, by o nią poprosić.

Oczy komisarza, te niesamowite zielone oczy, były jak otwarte w czasie burzy okno.

Don Pierino pamiętał, jak zaraz po otrzymaniu święceń pomagał w starym szpitalu w regionie Irpinia, gdzie w jednym pomieszczeniu zamykano dzieci chore na choroby zakaźne. Drzwi tego pokoju miały szklaną szybę, do której ciągle przyklejał się chłopczyk chory na cholere. W oczach tego dziecka, które patrzyło na zabawy mniej pechowych rówieśników, mogących razem spędzać czas, wyczytywał podobną desperację. Mały, zaparowany ślad

oddechu na szybie był jak potwierdzenie wyroku skazującego na pozostanie z dala od życia innych.

Maszerując pod wiatr, ksiądz odkrył, że w sumie spotkanie z tym policjantem desperatem, którego inteligencja tak go zaciekała, nie było dla niego nieprzyjemne.

Ricciardi powitał don Pierina w drzwiach gabinetu mocnym i krótkim uściskiem dłoni, nawet nie markując należnemu duchownej sukience pocałunku w rękę. Wskazał miejsce przed biurkiem, na którym, jak zauważył proboszcz, nie było zdjęć ani przedmiotów mogących powiedzieć coś o życiu osoby przy nim pracującej. Leżał tam tylko dziwny przycisk do papieru, kawałek szerniałego i na wpół stopionego żelaza, z którego wystawało stylizowane metalowe pióro, nadając całości bardziej przyjazny wygląd.

– Jakie to dziwne – powiedział ksiądz, gładząc przycisk.

– Kawałek granatu, pochodzi z czasów wojny.

– Był pan na wojnie?

– Nie, byłem jedynym synem matki wdowy. Ale przywiózł mi to stary przyjaciel, ten granat omal go nie zabił, chciał mieć jakąś pamiątkę. Chyba nawet tak się mówi, że co nas nie zabije, to nas wzmocni?

– Tak, jest takie powiedzenie. Ale wzmocnia także pomoc. Pomoc ze strony innych, no i Boga.

– Jeśli istnieje, ojczyźnie, tylko wtedy. I co ma mi ksiądz do powiedzenia o wczorajszym zdarzeniu? Jakies przemyślenia, opinia na temat tego, co się stało? A może wie ksiądz, kto mógłby to zrobić?

– Nie, komisarzu, nie mogę wyrazić żadnej opinii, nawet chcąc pomóc. No i w dodatku taki głos! Jak można choć wyobrazić sobie, że zgasi się go na zawsze? To dar dla nas wszystkich, dar od Wszechmogącego!

– Dlaczego? Ten Vezzi był taki wspaniały?

– On nie był wspaniały. Był nieziemski. Lubię wyobrażać sobie, że anioły właśnie takim głosem jak jego wychwalają Pana w raju. Gdyby tak było, nikt nie bałby się śmierci. Słyszałem go dwa razy, w *Trubadurze* Verdiego i w *Łucji z Lammermooru* Donizettiego; oczywiście śpiewał partię Manrica

w pierwszej i Edgarda w drugiej operze. Gdyby pan mógł to usłyszeć! Ten głos wyrywał serce z piersi, unosił ku niebu, zanurzał je w księżycu i gwiazdach i zwracał błyszczące i odnowione. Kiedy kończył śpiewać, miałem twarz mokrą od łez, nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że płakałem. Wczoraj, gdy widziałem go z tak bliska, serce biło mi jak oszalałe.

Ricciardi słuchał księdza, obserwując go sponad splecionych na wysokości ust dłoni. Czuł dziecięcy entuzjazm i zastanawiał się, jak fikcja operowa może wywoływać tak silne emocje. Nawet trochę zazdrościł, bo sam nigdy nie zaznał równie błogiego i głębokiego stanu duszy.

– A jak śpiewał tym razem?

– Teraz nie śpiewał. To była premiera, pierwsze przedstawienie. Jeszcze nie wszedł na scenę.

– To dlaczego przedstawienie już trwało? Kto zatem śpiewał?

– No tak, rozumiem pańskie zdumienie, zaraz wszystko wytłumaczę. Zazwyczaj wystawia się tylko jedną operę, w trzech lub więcej aktach. W tym przypadku jednak, jako że chodziło o krótkie opery, wystawiono dwie: *Rycerskość wieśniaczka* Mascagniego i *Pajace* Leoncavalla. Obydwie pochodzą z tego samego okresu, pierwsza z roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego, a druga z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego, jeśli dobrze pamiętam.

– A Vezzi śpiewał tylko w jednej?

– Tak, w *Pajacach*. Jako Canio, główny bohater. To trudna rola, czytałem, że był w niej jeszcze lepszy niż zwykle.

– Czyli to druga opera.

– Tak właśnie, druga. W ten sposób zazwyczaj się je wystawia, najpierw *Rycerskość*, a potem *Pajaców*, operę bardziej wciągającą i kolorową, a zatem łatwiej przyciągającą uwagę publiczności. Osobiście, z muzycznego punktu widzenia, wolę *Rycerskość*, która ma fantastyczne intermezzo. Ale w *Pajacach* też jest parę pięknych arii, właśnie w partii Cania. Vezzi nigdy na przykład nie śpiewał partii Turiddu w *Rycerskości*.

Ricciardi słuchał niezwykle uważnie. Wyglądniały, pochłaniał te

informacje, dopasowując je do zdarzeń, które mogły mieć miejsce w wieczór morderstwa.

– Ale, z wyjątkiem ról głównych, występuje ten sam zespół?

– Może tak być, choć zazwyczaj nie jest. Vezzi na przykład miał zespół stworzony specjalnie dla niego, podczas gdy *Rycerskość* zaśpiewała obsada często występująca w San Carlo. Na ogół wypadają tak sobie, ani dobrze, ani źle. Tym razem jednak byli wspaniali, co za fantastyczna niespodzianka! Mimo że z pewnością ten wieczór nie będzie zapamiętany z powodu ich występu.

– Czyli próby przebiegały oddzielnie? Oba zespoły nigdy się nie spotkały?

– Nie, trudno zobaczyć razem oba zespoły, z wyjątkiem kilku prób z orkiestrą, podczas których omawia się i powtarza rozpoczęcie poszczególnych scen. Także podczas przedstawień, jak wczoraj wieczorem, między dwoma występami jest wystarczająco dużo czasu, żeby artyści nie wchodzili sobie w drogę. Wielu z nich zna się między sobą. To przecież to samo środowisko.

– No właśnie, a orkiestra? Gra w obu przedstawieniach?

– Oczywiście, to orkiestra teatru, z własnym dyrygentem. Duża klasa, nie tylko zawodowo. Nazywa się Pelosi, maestro Mariano Pelosi. W swoim czasie wrócono mu niezwykłą karierę, jak Toscaniniemu. Potem jednak się zatrzymał. W każdym razie jest świetnym dyrygentem, a San Carlo jednym z najlepszych teatrów na świecie.

– A te dwie opery? Może mi ksiądz je streścić?

– Tematyka obu oper jest zbliżona, chociaż wiele je różni. *Rycerskość wieśniaczka* oparto na dziele Vergi, osadzonym na Sycylii, w wielkanocny poranek. Ma tylko jeden akt i to intermezzo, o którym już panu mówiłem. Turiddu, tenor, jest zaręczony z Santuzzą, ale nadal kocha Lolę, swoją przyjaciółkę od zawsze, która jednak jest żoną Alfia, barytona, woźnicy. Mamy więc dwie pary, jedną starą miłość i dwie nowe. Santuzza, z rozpacz i zazdrości, mówi Alfiowi o romansie jego żony. W finałowym pojedynku Alfio zabija Turiddu. Najpiękniejsze są tam partie kobiece, tak sądzę: Loli, Santuzzy i Lucii, matki Turiddu. Z kolei akcja *Pajaców* rozgrywa się

w Kalabrii. Opera trwa mniej więcej tyle ile *Rycerskość*. Trupa komediantów przyjeżdża do miasteczka. Na jej czele stoi Canio, tenor, którego partię miał śpiewać Vezzi. To człowiek chmurny, ponury, mimo że gra pajaca, w rzeczywistości jest nieprzytomny z zazdrości o żonę Neddę, podczas przedstawień Kolombinę. Nedda zdradza go z Silviem, bogatym młodzieńcem z tego miasteczka. Na koniec w pięknej dramatycznej scenie przechodzi się od fikcji do rzeczywistości: Canio zabija zarówno Neddę, jak i jej kochanka, zdarłszy z siebie kostium. Piękno tej opery, oprócz muzyki, polega na przenikaniu się prawdy i fikcji. Ludzie nie rozumieją, czy mają do czynienia z grą, czy z prawdziwym życiem, dopóki nie poleje się krew. Czyli tematyka jest taka sama: zazdrość, miłość i śmierć. Jak to się często dzieje niestety także w codziennym życiu, nie sądzi pan?

– Może i tak. Jednak codzienne życie ma również inne problemy. Na przykład głód. W waszych operach nigdy nie ma głodu? Gdyby ksiądz wiedział, jak często głód popycha do zbrodni. Ale wróćmy do Vezziego. Jaki on był poza sceną, może coś ksiądz wie? Lubiany?

– Nie mam pojęcia. Zazwyczaj kiedy mogę, i dzięki uprzejmości Patrissa, mojego parafianina, który pracuje jako portier przy bocznym wejściu od ogrodów, lubię oglądać próby, zwłaszcza te generalne, już w kostiumach. Ale tym razem próba *Pajaców* odbyła się za zamkniętymi, i to szczelnie, drzwiami. Vezzi otoczony jest wielkim szacunkiem, mówi się, że jest podobno ulubionym tenorem Mussoliniego.

– Też to słyszałem. No dobrze, dziękuję księdzu. Jeśli będę chciał jeszcze się czegoś dowiedzieć, mogę księdza niepokoić? Jak już mówiłem, nie za bardzo się w tym wszystkim rozeznaję.

– Oczywiście, komisarzu. Proszę mi jednak pozwolić coś powiedzieć: nie byłoby źle, gdyby posłuchał pan trochę muzyki operowej. Dobrze by to panu zrobiło, warto zobaczyć, jak piękne może być uczucie i jego wyrażanie.

Don Pierino ujrzał cień głębokiego cierpienia w zielonych oczach komisarza. Nie wspomnienie, raczej stan psychiczny. Jak gdyby tylko na chwilę policjant otworzył mu okno wychodzące na tajemniczy teren jego duszy.

– Znam uczucia. I mogę mieć ich dość. Dziękuję, może już ksiądz iść.
W drzwiach don Pierino spotkał wchodzącego właśnie Maionego.

– Dzień dobry, już po wykładzie na temat opery?

– Dzień dobry, coś tam opowiedziałem, ale myślę, że komisarz nigdy nie będzie wiernym widzem w San Carlo. W razie potrzeby jestem w parafii.

Maione, przywitawszy się prawie po wojskowemu z Ricciardim, usiadł.

– No więc tak, komisarzu, zebraliśmy zeznania z wczorajszego wieczoru, to lista obecnych na scenie w *Rycerskości wieśniaczej* i członków orkiestry. Pan Modo, który dzisiaj czeka na nas w szpitalu, ale dopiero od południa, już powiedział, że Vezzi nie mógł umrzeć wcześniej niż godzinę przed jego znalezieniem, czyli pierwsza opera już trwała. To powinno wykluczyć i śpiewaków z *Rycerskości*, i członków orkiestry, mam rację? Jak i gdzie przemieszczali się podczas przedstawienia? A to z kolei lista tych z *Pajaców*, których według mnie musimy dokładnie sprawdzić.

– Wszystkich musimy dokładnie sprawdzić. A personel techniczny?

– Widzieliśmy wczoraj, niewielu z nich miało dostęp do garderób. To zazwyczaj obszar dla nielicznych, a już kiedy zjeżdża Vezzi, to, jak mówił mi portier, robi się z tego luksusowy hotel. Podobno jeśli ktoś pojawiał się w portierni, Vezzi żądał, aby tylko on mógł decydować, czy go wpuścić, czy nie. Tak więc możemy wyłączyć obsługę widowni i kelnerów, przynajmniej tyle.

Ricciardi dobrze wiedział, że Maione sprawdził dokładnie wszystkie informacje, zanim pojawił się tutaj. I wiedział, że mógł tym wiadomościom zaufać.

– Kto dzisiaj rano jest w San Carlo?

– Dyrektor z pewnością, zachowuje się jak szalowiec, wczoraj skakał w prawo i w lewo, popłakiwał, strasznie przeszkadzał. Był na nas wściekły, groził, że odsunie pana od śledztwa. No i orkiestra; mówili, że mają próby codziennie, tak jest zapisane w kontrakcie. Zamknęliśmy tylko tę część z garderobami, ogrody Pałacu Królewskiego i boczne wejście, mogą więc sobie spokojnie pracować między sceną a salą. Odezwali się ci od Vezziego,

impresario, niejaki Marelli, to ktoś z północy. Dzwonił także w imieniu żony zmarłego, eksśpiewaczki z Pesaro, Livii Lucani. Powiedziałem, żeby zadzwonił później. W każdym razie już jadą do Neapolu, wyruszyli w nocy i wieczorem będą na dworcu.

– Kiedy tylko przyjadą, chcę z nimi porozmawiać. Teraz idziemy do teatru.

XIV

W wyziębionym jak zwykle korytarzu czekał Ponte, woźny od Garza. Kiedy tylko zobaczył Ricciardiego i Maionego, podszedł do nich.

– Panie komisarzu, wicekwestor chciałby, żeby zajrzał pan do niego na chwilę...

– Nie mogę. Może kiedy wrócę. Prowadzę śledztwo, nie mam czasu do stracenia, działam zgodnie z otrzymanymi od niego poleceniami. Proszę go pozdrowić.

I ruszyli po schodach, pozostawiając woźnego zmrożonego w każdym znaczeniu tego słowa. Teraz on musiał stawić czoło gniewowi wicekwestora.

Ricciardi nie miał zamiaru się rozpraszać. Dobrze wiedział, że rozwiązanie śledztwa było kwestią czasu, jako że szanse na znalezienie winnego malały z każdą minutą. Doświadczony komisarz, z którym pracował, utrzymywał, że czterdzieści osiem godzin po zbrodni nie można odkryć mordercy, chyba że sam się zgłosi. I tak rzeczywiście się zdarzało w tych niewielu przypadkach, kiedy głos sumienia stawał się ogłuszający i wtrącał duszę morderców prosto do piekła. Częściej, o wiele częściej przeważała chęć uniknięcia piekła na ziemi, to znaczy kary wymierzonej przez ludzi.

Parę lat temu pewien recydywista, aresztowany pod zarzutem kradzieży, podczas zatrzymania zachowywał się spokojnie i milczał. W pewnej chwili nagle wyciągnął pistolet jednemu z towarzyszących mu strażników i strzelił sobie w skroń. Ta sama kula zabiła też policjanta idącego z drugiej strony.

Ricciardi miesiącami widywał obydwu w rogu dziedzińca. Aresztowany krzyczał, że nie wróci więcej do piekła więzienia, strażnik wołał żonę i syna. I jeden, i drugi z dziurami w skroniach i czarną krwią wypływającą z otworów po kuli.

Na zewnątrz miasto wirowało na wietrze. Gwałtowne podmuchy

uniemożliwiały przechodniom poruszanie się po niezabudowanych fragmentach ulic i placach, dlatego wszyscy sunęli wzdłuż murów. Ciężkie tramwaje wydawały się kołysać pod wpływem uderzeń, woźnice powożący niewieloma już powozami kulili się na siedzeniach, z zaciśniętym w dłoni bitem. Chwiały się korony drzew, łamały gałęzie, a zielone liście opadały, imitując przedwczesną jesień, tak bardzo jeszcze odległą.

Ricciardi i Maione dotarli do San Carlo w wirze podartych gazet i zerwanych z głów przechodniów kapeluszy. Jak zwykle brygadier maszerował krok za komisarzem, który szedł z gołą głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Myślał o tym, co usłyszał od księdza o treści obu oper. Tak ci się podobają twoje zamaskowane myśli, ojczy? Ale co jest pięknego w ludziach, którzy zabijają się nożem, nie przestając śpiewać? Pokazałbym ci to, gdybym mógł. Wiesz, po jakim czasie można zobaczyć jeszcze takie pchnięcie? Nie ma nic pięknego w człowieku, który wykrzykuje swoją nienawiść codziennie przez wiele miesięcy, z wnętrznościami wypływającymi bez przerwy z rozplatanego brzucha.

Atmosfera w teatrze była inna niż poprzedniego wieczoru. Pogaszone światła, wszystko posprzątane. Wystawne wejście było zimne i ciche. Młody dziennikarz, wciśnięty w fotel i owinięty w gruby płaszcz, podskoczył jak na sprężynie.

– Dzień dobry, pan jest komisarzem Ricciardim? Jestem Luise z „Il Mattino”. Mogę pana o coś spytać?

– Nie. Ale może iść pan do kwestury, tam wicekwestor Garzo z radością udzieli panu odpowiedzi.

– Szczerze mówiąc, mój szef, pan Capece, powiedział, że mam rozmawiać tylko z panem, czyli z osobą prowadzącą bezpośrednio śledztwo.

– Młody człowieku, bardzo proszę, niech mi pan nie każe tracić czasu. Mam coś do zrobienia, dlatego nie odpowiem na pańskie pytania, proszę być tak miły i dać mi spokój.

Garderoba Vezziego, z wyjątkiem usuniętych zwłok, wyglądała jak poprzedniego wieczoru. Zaschnięta już krew zaplamiała dywan, kanapę i ściany. Ricciardi spojrział na powtarzającego swoją arię tenora, stojącego

w rogu, z wyciągniętą ręką i spływającymi po policzkach łzami.

Komisarz, z założonymi rękami i opadającym na czoło kosmykiem, zastanawiał się, co tenor chciał zatrzymać tym gestem. I dlaczego potem usiadł, z twarzą w lustrze i długim odłamkiem w tętnicy. Ricciardi podszedł do kanapy, obejrzał płaszcz. Zakładając, że znalazł się tu już po śmierci tenora, pomyślał, kto i dlaczego przyniósł go z powrotem? Morderca, któremu udaje się oddalić z miejsca zbrodni, tak szybko nie wraca, jeśli nie jest do tego zmuszony. Widział, ile kręci się tu ludzi, ale nie wiedział, kto mógł swobodnie poruszać się po tym korytarzu. Wzdychając, Ricciardi zawołał Maionego. Nadszedł czas poznać bliżej mężczyznę, który śpiewał w kącie, podczas gdy krew buchała mu z gardła.

Sekretarz Vezziego był najwyraźniej zdruzgotany. Stefano Bassi, bo tak się nazywał, nie umiał myśleć o swoim życiu bez mistrza.

– Nie ma pan pojęcia, komisarzu. Nie ma pan pojęcia, kim dla mnie był maestro. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. I to w tak okrutny sposób.

Sekretarz mówił drżącym głosem i chaotycznie, wykręcając ręce. Był zadbanym, szczupłym, przyjemnie wyglądającym mężczyzną. Zazwyczaj wzorowo przykładny, teraz jednak, pozbawiony swego punktu odniesienia, nie wiedział, od czego zacząć. Poprawił na nosie okulary w złotej oprawce.

– Nie rozstawałem się z nim ani na chwilę. Ale to przekłete przyzwyczajenie malowania się i ubierania samemu... To był jakiś przesąd. Mania maestra, tak to sam nazywał. Już nigdy nie usłyszę go, jak się śmieje ani nawet jak śpiewa tym swoim anielskim głosem. Nie mogę w to uwierzyć.

– Gdzie pan był wczoraj podczas przedstawienia *Rycerskości wieśniaczej*? Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Byłem na widowni razem z dyrektorem, może pan to łatwo sprawdzić. Nie ruszyłem się przez cały czas. Niezli byli, swoją drogą. Zwłaszcza baryton śpiewający partię Alfia. Mistrza pożegnaliśmy wcześniej, kiedy poszedł do garderoby. Mawiał, że nikt poza sceną nie może oglądać go w kostiumie, że to przynosi pecha. Był dość, jak by to powiedzieć, apodyktyczny. Nie można mu było się sprzeciwiać. Vezzi to jedna z tych osób, które idą prosto własną drogą, nigdzie nie skręcając. Umiał być... twardy. Ale jeśli się go zadowalało,

znikając w odpowiedniej chwili, wtedy był szefem idealnym.

– Znikając w odpowiedniej chwili? To znaczy?

– Często prosił, żeby zostawić go samego, chciał robić to, na co miał ochotę. Był artystą, wie pan? Wielkim artystą, największym w swojej dziedzinie. Sam Duce...

– ...uważał go za najlepszego ze wszystkich, za dumę narodową, wiem, wiem. A wczoraj? Zauważył pan może, że był w złym humorze albo inny niż zwykle?

Bassi zachichotał nerwowo.

– W złym humorze? Widać, że nigdy go pan nie poznał. Maestro zawsze był w złym humorze. Uważał cały świat za gorszy od siebie i niegodny, żeby stanąć między nim a miejscem, do którego zmierzał. Odganiał ruchem ręki jak muchę każdego, kto znalazł się na jego drodze. Tak samo zrobił wczoraj wieczorem, kiedy szedł do garderoby godzinę przed rozpoczęciem *Pajaców*. Lubił sam się malować, nie wiem dlaczego. Może go to odprężyło. Według mnie nie uważał żadnego charakteryzatora za godnego dotknięcia jego twarzy.

– Ciekawa postać. Długo pan dla niego pracował?

– Od półtora roku. Myślę, że ja najdłużej z nim wytrzymałem. Mój poprzednik wylądował w szpitalu ze złamanym nosem... Mnie wiodło się lepiej, bo częściowo z powodu charakteru, a trochę z konieczności wiele jestem w stanie wytrzymać. Zresztą maestro świetnie mi płacił. I co ja teraz zrobię?

– Czy według pana miał jakichś wrogów? Kogoś, kto mógłby życzyć mu śmierci? Pieniądze, kobiety, cokolwiek.

– Chce pan wiedzieć, czy ktoś doznał od niego jakiejś niesprawiedliwości i czy maestro kogoś szczególnie gnębił? No cóż, dnia by nie starczyło na zrobienie takiej listy. Ale żeby zabić... Wie pan, komisarzu, operowy świat jest specyficzny. Z artystów żyje bardzo dużo osób. Impresariowie, wytwórnicy płytowe, właściciele teatrów, ludzie tacy jak ja. Kiedy w dodatku mamy do czynienia z wielkim artystą, takim, którego wielbią rzesze ludzi,

który zapęnia sale, to wtedy, proszę mi wierzyć, nikt nie życzy mu śmierci ani tym bardziej starości, choroby czy szaleństwa. Wszyscy troskliwie się nim zajmujemy i chętnie znosimy humory albo, od czasu do czasu, zniewagi.

– A poza środowiskiem?

Bassi znowu poprawił sobie okulary na nosie.

– Nic w życiu maestra nie było poza środowiskiem. Kiedy ktoś jest tak wielki i wie o tym, nie może spotykać się z nikim spoza środowiska. Przez te półtora roku chyba nigdy nie widziałem, żeby rozmawiał z kimś, kto nie ma czegoś wspólnego z operą.

– Od kiedy jesteście w mieście?

– Tym razem? Od trzech dni. Tyle żeby przygotować przedstawienie, maestro bierze udział tylko w próbie generalnej, i to bez kostiumu, on w normalnym ubraniu, a reszta już przebrana. Tak sobie życzy. Przyjechaliśmy z Rzymu, gdzie zawarliśmy umowę w sprawie tournée po Ameryce, które miało się odbyć jesienią. Co my teraz zrobimy, to ja naprawdę nie wiem. Muszę porozmawiać z panem Marellim, impresariem maestra. Przyjedzie pociągiem dzisiaj wieczorem.

– Tak, wiem. Też muszę z nim porozmawiać. Może pan iść, ale proszę nie opuszczać hotelu, jeszcze będę pana potrzebował.

XV

– To jasne, komisarzu – powiedział Maione po wyjściu Bassiego – ten cały maestro musiał być niezłym łajdakiem. Może i był zdolny, nawet bardzo zdolny, ale łajdak to był z niego straszny. Słyszałem wczoraj, na scenie, gdzie wszystkich zebraliśmy, że na próbie generalnej pojawił się z dwugodzinnym opóźnieniem, a ponieważ powiedział, że chce próbować najpierw swoją operę, wszyscy na niego czekali. Kiedy dyrygent pozwolił sobie na skargę, wyzywał go na cały głos przez dziesięć minut, strasznie go upokorzył. Chce pan rozmawiać z dyrygentem?

Ricciardi przytaknął z roztargnieniem. Zarówno Bassi, jak i don Pierino powiedzieli coś, co go zafrapowało, ale teraz nie pamiętał już tego szczegółu. Co to było? Przypomni sobie.

Dyrygent, maestro Mariano Pelosi, był alkoholikiem. Ricciardi od razu to zauważył, jeszcze zanim usiadł przed biurkiem w małym gabinecie kierownika sceny.

Odkrył to po siatce naczynek na nosie, po wodnistych, pustych oczach, lekkim wahaniu podczas rozmowy i po delikatnym drżeniu rąk. Widział już wielu takich jak on, wiecznie szukających powodów swego cierpienia: wino, schronienie przed słabościami, ale także bodziec do skrajnych rozwiązań. W winie łatwo było znaleźć siłę do popełnienia zbrodni, zniszczenia barier, zwalczania własnych frustracji.

– Wszyscy jesteśmy poruszeni, panie komisarzu. Teatr to miejsce radości i uczuć, w teatrze ludzie powinni znaleźć schronienie przed szaleństwami codziennego życia. A tyle ich ostatnio mamy, nie sądzi pan? No więc nie spodziewasz się, że to szaleństwo objawi się o krok od sceny. Zupełnie jak w *Pajacach*, kiedy Canio zabija Neddę i Silvia na scenie, a ludzie na początku nie rozumieją, czy to rzeczywistość, czy fikcja.

– A pana kontakty z Vezzim, maestro? Mówi się, że podczas próby

generalnej mieliście, że tak powiem, scysję.

– Tworząc Vezziego, Bóg się zabawił, panie komisarzu. Zabawił się, obdarzając wielkim talentem nędznego człowieka. Naprawdę nędznego. Na scenie był wspaniały, przez czterdzieści lat pracy nie widziałem ani takiego głosu, ani takiego wyglądu. A widziałem wiele, proszę mi wierzyć. Sam Caruso, nawet on, nie miał takiej skali, takiej siły głosu jak Vezzi. A do tego dochodziła ta jego umiejętność zachowania się na scenie, zdolności aktorskie. Wydawało się niemożliwe, że on udaje. Kontrast między nim a innymi śpiewakami był nieraz tak uderzający, że orkiestra zaczynała się mylić. No właśnie, jego talent pozbawiał innych wiary we własne siły, sprawiał, że tracili pewność siebie. Koledzy, muzycy, sam dyrygent. I ja też.

– A zatem, co się zdarzyło na próbie?

– Ano właśnie, ta próba. Byliśmy gotowi prawie od dwóch godzin. Mogliśmy i powinniśmy próbować *Rycerskość*, ponieważ taka jest właściwa kolejność, ale Vezzi zażądał, aby zacząć od jego opery, bo nie chciał czekać. Próba generalna, nie wiem, czy pan to wie, komisarzu, jest identyczna z normalnym przedstawieniem, zespół występuje w kostiumach. Vezzi nie chciał włożyć swojego przed premierą, miał taką obsesję. To już wprowadzało zamieszanie, bo pośród innych przebranych wydaje się intruzem. Wtedy też gwałtownie skarcił zarówno Bartina, barytona śpiewającego partię Tonia, jak i Siloty, węgierską sopranistkę w roli Neddy. No i to spóźnienie... Muszę brać lekarstwa o ściśle określonej godzinie, a wtedy siedziałem zamknięty razem z moimi muzykami w kanale, bardzo, bardzo zdenerwowany. No więc pojawił się, nikogo nie przepaszając, spokojny, jak gdyby przyszedł za wcześnie. Nie mogłem się opanować. Ale nawet wtedy, z całym szacunkiem... mógł być moim synem, zważywszy na jego wiek. A tymczasem on... zaczął krzyczeć, że jestem starym sklerotykiem, przegranym...

Opowiadając to, Pelosi wzruszył się. Drżały mu wargi, a zaciskające się mięśnie szczęki usiłowały powstrzymać łzy. Na próżno jednak, bo ciężkie krople spływały po szorstkich policzkach dyrygenta. Maione zakasłał, czując się niezręcznie. Ricciardi natomiast patrzył na niego bez żadnego wyrazu, jak

gdyby w ogóle nie zorientował się, w jakim stanie jest staruszek.

– A pan? Jak pan się czuł, zaatakowany przy wszystkich, mając w dodatku rację?

– W życiu wszystkich, panie komisarzu, są rozdroża. Droga rozdwaja się, jedna prowadzi w dobrą, a druga w złą stronę. Niestety w momencie wyboru o tym nie wiemy. Wierzmy, że możemy wrócić, kiedy tylko zechcemy. Ale nie wraca się, nigdy. Ja wszedłem na swoją złą drogę lata temu, zbyt dawno, abym każdego dnia nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiem, inni też to wiedzą. Ale muzyka jest moim życiem, jedyną rzeczą, którą umiem robić. Staram się więc robić to jak najlepiej i nie wciągać innych w moje błędy. Vezzi był wielkim śpiewakiem i na jego obecności wszyscy mieliśmy szanse zarobić. Jego wyzwiska zraniły mnie, to prawda. Myślę, że był geniuszem, a jednocześnie człowiekiem głęboko egoistycznym i złym, jak to się często zdarza u geniuszy. Ale, już to pan sprawdzał, nie ruszyłem się przez cały wieczór z kanału orkiestry. To nie ja jestem waszym mordercą.

Kiedy Pelosi wyszedł, Maione powiedział: – Im więcej osób wysłuchuję, tym bardziej jestem przekonany, że ten Vezzi był łajdakiem. Zastanawiam się, panie komisarzu, jak to jest pracować dla kogoś, kto wzbudza w tobie obrzydzenie. Pan też nie jest za bardzo komunikatywny, szczerze mówiąc. Ale wiemy, co pan myśli. Prawie zawsze. W każdym razie nie jest możliwe, aby ktoś, kto był na scenie, łącznie z orkiestrą, mógł zabić.

Ricciardi zdawał się podążać za swoimi myślami.

– Reasumując – powiedział – Vezzi wykrwawia się na śmierć albo zabija go odłamek wbity w tętnicę. Znajdujemy go siedzącego w garderobie, z twarzą w lustrze. Wszędzie jest krew, z wyjątkiem płaszcza, szala, kapelusza i jednej poduszki na kanapie. Otwarte okno, zamknięte drzwi. A wiemy, że dla śpiewaka największym zmartwieniem są przeciągi, zwłaszcza przed wyjściem na scenę. Wszyscy związani na dobre i na złe z Vezzim siedzą na sali, nikt się stamtąd nie ruszył. Wszyscy go nienawidzą, ale nikt nie miał interesu w tym, żeby wyrządzić mu krzywdę. Wspaniały rebus.

– Ten płaszcz, szal i kapelusz, to mi się wydaje ważne. Czyli ktoś wszedł

w ubraniu, a potem uciekł przez okno, tak pan sądzi? Po zabiciu Vezziego?

– Nie, ubrania byłyby brudne. Zresztą w garderobie jest mała szafa i półka na kapelusze. Vezzi był pedantem, to widać po tym, w jakim porządku trzymał swoje rzeczy. Malował się sam, wiemy, jak wyglądały jego przybory toaletowe w łazience. Ktoś wyjął płaszcz i kapelusz z szafy i potem zostawił na kanapie. Ale dlaczego? I z jakiego powodu cała kanapa jest we krwi, z wyjątkiem małej poduszki? Nie, coś tu nie pasuje. Brak jeszcze czegoś, co musimy znaleźć.

Ricciardi nie powiedział, że kolejnym elementem były łyży na policzku Pajaca, który, z wyciągniętą ręką, śpiewał swoją partię.

– Musisz coś zrobić, Maione. Idź do hotelu, gdzie mieszkał Vezzi, porozmawiaj z sekretarzem, z tym Bassim. Dowiedz się, jak Vezzi wyszedł wczoraj ubrany, czy ktoś zauważył coś nietypowego, czy wcześniej dokądś wychodził. I zapytaj też, o której wyszedł w wieczór próby generalnej. Chcę wiedzieć, dlaczego się spóźnił. Ja tu jeszcze posiedzę.

Przed drzwiami gabinetu kierownika sceny, razem z nim, stał dyrektor, książe Spinelli. Pominąwszy podniecenie i podskakiwanie, identyczne jak poprzedniego wieczoru, zachowywał się teraz zgoła inaczej. Najprawdopodobniej musiał zdać sobie sprawę z nieskuteczności swych starań o odsunięcie komisarza od śledztwa. Nadal jednak wysławiał się nader pompatycznie.

– Dzień dobry, komisarzu. Nie chciałem panu przeszkadzać, dopóki był pan pogrążony w swych przesłuchaniach. Pragnę tylko powiedzieć, że pozostaję do pańskiej całkowitej dyspozycji, a razem ze mną wszyscy pracownicy opery. Poinformowano nas o wadze, jaką przykłada się do zdemaskowania tego podłego mordercy, i naszym zamiarem pozostaje ścisła współpraca z panem.

Ricciardi spojrział na niego zimno. Wydawało mu się, że widzi go, jak napauszony i obrażony robił dobrą minę do złej gry, kiedy musiał przyjmować wytyczne z góry.

– Nie mam wątpliwości, książe. Żadnej. Proszę o terminarz ze wszystkimi przedstawieniami z ostatniego okresu, powiedzmy, od kiedy rozpoczęły się

prace nad tymi operami do dzisiaj. Chcę też poznać daty wizyt Vezziego w teatrze. Proszę mi powiedzieć, które wejście znajduje się najbliżej garderób?

Lasio przeczesał ręką rude włosy, był jednym z tych mężczyzn, którzy zdawali się jacyś wygnieci, może z powodu jasnej karnacji i piegów albo niesfornej fryzury. Nosił koszulę ze sztywnym kołnierzykiem o zaokrąglonych rogach i poluzowany krawat. Nie miał marynarki, a kamizelka pozostawała rozpięta.

– Z pewnością to drugie, które wychodzi na ulicę w pobliżu ogrodów. Stamtąd wystarczy wejść po schodach i już jesteśmy w pobliżu garderób, schody są wąskie i na w pół ukryte, ale to prosta droga. Używa jej personel pracujący na scenie, jeśli chcą wyjść na chwilę z teatru podczas przedstawienia.

– Ktoś pilnuje tych drzwi?

– Nie podczas przedstawienia. Gasimy światło w przejściu, żeby mieć wszystkich pracowników przy głównym wejściu, i zamykamy bramę. Ale z boku są drzwi.

Ricciardi zastanawiał się gorączkowo.

– Kto z obsługi może podczas przedstawienia wchodzić do garderób oprócz aktorów?

– W normalnej sytuacji nikt. Z wyjątkiem ewentualnej obsługi medycznej, no i krawcowych, przynoszących kostiumy do poprawek. Zarządziłem, aby kręciło się tam możliwie jak najmniej osób. Im więcej, tym łatwiej o błąd w wejściu na scenę. Nie ma nic gorszego niż zbyt wczesne lub zbyt późne wejście, proszę mi wierzyć.

– Rozumiem. A gdzie jest pracownia krawiecka?

Włączył się dyrektor teatru.

– Na czwartym piętrze, panie komisarzu. Jest winda towarowa, służąca do szybkiego dowozu kostiumów do garderób. W niektórych operach mamy dziesiątki kostiumów, które wykonawcy zmieniają w każdym akcie. Pamiętam, jak kiedyś...

– Tak, tak, mogę to sobie wyobrazić – uciął Ricciardi. – Chciałbym zobaczyć pracownię. Pracują teraz?

– Oczywiście, ciągle pracują. – Dyrektor znowu przybrał obrażoną minę, jak gdyby ktoś go spoliczkował, ale był już bardziej ostrożny niż poprzedniego wieczoru. Ciągnął dalej: – W każdym razie personel z przyjemnością będzie z panem współpracował.

XVI

Do pracowni krawieckiej na czwartym piętrze wchodziło się po wąskich schodach lub wjeżdżało windą towarową. Ricciardi chciał sprawdzić obie drogi, najpierw podróżując postępującą kabiną, zawieszoną na skrzypiących linach, a potem schodząc po stromych schodach. Z balkoniku rozciągał się fantastyczny widok na scenę i kanał orkiestry. Ciężka kurtyna uniemożliwiała obserwację całej widowni. Na końcu długiego korytarza znajdowały się drzwi, a za nimi kompletnie inny świat.

Pomieszczenie wyglądało jak fabryka marzeń. Jedwabie i brokaty, materiały wyszywane złotem i srebrem, we wszystkich kolorach, od czerwieni do indygo, od żółci do błękitu czy zieleni. Nakrycia głowy z różnych epok, leżące obok siebie na szerokich półkach: cylindry, hełmy wikingów i Rzymian, skomplikowane fryzury egipskie, tiule, kwefy, delikatne balowe pantofelki i ciężkie żołnierskie buciorzy. Między tymi przedmiotami krążyło wiele kobiet, wszystkie ubrane tak samo jak pani Lilla: niebieski fartuch z ciężkimi nożyczkami zawieszonymi na wstążce na szyi, a związane włosy częściowo ukryte pod białym czepkiem. Umiejętnie poruszały się w tym pozornym bałaganie, tnąc, szyjąc i prasując. Na zewnątrz wył wiatr, a okna wpuszczały co jakiś czas światło słońca poprzecinanego pędzącymi po niebie chmurami.

Ricciardi w szarym płaszczu i ze swoją ciemną karnacją w tej eksplozji kolorów tworzył ponurą plamę. Bez chwili wytchnienia myszkował po wielkim pomieszczeniu, a dyrektor opery podskakiwał u jego boku. Pani Lilla wyszła im naprzeciw, podenerwowana i obcesowa. To było jej królestwo i nie tolerowała żadnych ingerencji z zewnątrz. Bojownicze nastawienie sprawiało, że wyglądała jeszcze bardziej masywnie.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? Mamy opóźnienie w pracy, musimy przerobić wszystkie kostiumy Vezziego, tak żeby pasowały na jego następcę.

Dyrektor wystąpił krok do przodu.

– Dzień dobry. Bardzo proszę, żeby pani razem ze swoimi pracownikami poświęciła czas komisarzowi Ricciardiemu, który potrzebuje was podczas śledztwa. To jest teraz główne zadanie.

Pani Lilla wzruszyła ramionami.

– Oby pan pamiętał o tym, jeśli kostiumy na dzisiejsze przedstawienie nie będą gotowe. Co chce pan wiedzieć?

Ricciardi odezwał się do niej bez przywitania i nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza.

– Jak dzielicie się pracą? Ktoś zajmuje się na przykład niektórymi śpiewakami?

– Nie, każda z nas specjalizuje się w czymś innym, jedna szyje, druga kroi. Wszystkie umiemy zrobić wszystko, ta pracownia jest dumą opery. Ale każda z nas umie coś lepiej od innych i ja to wykorzystuję.

– Tak więc Vezzi nie miał żadnej krawcowej, która zajmowałaby się tylko nim?

– Niech Bóg broni! Vezzi doprowadzał dziewczęta do szalu, gdyby miała się zajmować nim tylko jedna, to od razu bym panu powiedziała, kto go zabił! Nie, nie, do przymiarki poszły wczoraj Maria i Addolorata. Chodziło o kostium Pajaca, bo te, w których miał śpiewać Canio, były już gotowe. Potem pracę przejęła Lucia, ona jest najlepsza w wykończeniach, i Maddalena, poznał ją pan już. Zeszła razem ze mną oddać kostium. Maddalena robiła ostatnie poprawki, jest młoda, ale coraz lepsza.

– Gdzie są te dziewczęta? Mogę się z nimi zobaczyć?

– Tak, tylko proszę nie zabierać nam zbyt wiele czasu. Są tam, w głębi.

Ricciardi podszedł do szerokiego stołu, przy którym siedziały młode szwaczki. Pracowały ze spuszczonej oczami nad rozłożonym na blacie kostiumem Pajaca. W fartuchach i z nożyczkami w dłoniach wydawały się nie do odróżnienia. Komisarz z trudem rozpoznał bladą dziewczynę, którą widział poprzedniego dnia wieczorem, prawie chwiejącą się pod ciężarem kostiumu.

– Dzień dobry, jak idzie praca?

Pracownice zamruczały zgodnym chórem, ale odpowiedziała pani Lilla.

– To straszna robota. Vezzi był wysoki i gruby, jego następca jest szczupły i niski, nie rozumiem, skąd on bierze ten głos. Musimy od początku wszystko uszyć.

Ricciardi ponownie zwrócił się do dziewcząt.

– Czy któraś z was zobaczyła lub wyczuła coś dziwnego w zachowaniu Vezziego? Jakież słowa, przedmiot, zmianę nastroju?

Jedna z czterech pracownic, brunetka o żywych oczach, popatrzyła na Ricciardiego.

– Nastrój Vezziego nigdy się nie zmieniał, panie komisarzu, był zawsze wściekły jak osa. Co najwyżej mógł kogoś klepnąć po tyłku. Albo też zachowywać się, jakbyśmy były niewidzialne.

– Uważaj, co mówisz, Mario! – powiedziała pani Lilla. Ale widać było, że ją to bawi. Ricciardi zrozumiał, że w ten sposób do niczego nie dojdzie.

– Gdyby coś wam przyszło do głowy, dajcie znać, przyjdźcie do kwestury albo powiedzcie pani Lilli.

Tymczasem pojawił się kierownik sceny. Jego wejście wywołało spektakularną zmianę zachowania pani Lilli, która zaczerwieniła się i nerwowo poprawiała warkocz.

Lasio zwrócił się do Ricciardiego:

– Komisarzu, przy głównym wejściu ktoś na pana czeka. Mówi, że nazywa się Modo, jest lekarzem sądowym. Dzień dobry, pani Lillo!

Kobieta odpowiedziała uprzejmym, aksamitnym głosem, odległym o wiele mil od gburowatego syku, którym posługiwała się do tej pory.

– Dzień dobry, drogi kierowniku. Panowie, jesteśmy do waszej dyspozycji, wracajcie, kiedy tylko chcecie.

XVII

Przed głównym wejściem stał doktor Modo, który palił, starając się zasłonić drzwiami przed zimnym wiatrem. Kiedy zobaczył Ricciardiego, powiedział ironicznie:

– Z samego rana w teatrze? Pracuję.

Komisarz skrzywił się.

– Witaj, doktorku, co cię tu sprowadza? Już nie mogłeś beze mnie wytrzymać?

– Może mi postawisz obiad?

– Za dużo wymagasz. Zamierzałem zjeść tylko pizzę, z tego wózka co zawsze. Wydaje mi się, że *sfogliatella*^[9] i kawa w Gambrinusie to sprawiedliwy kompromis.

– Rozrzutnyś pan. A mówią, że jesteś bardzo bogaty. No dobrze, zadowolę się i tym, byle tylko nie stać już na zimnie.

Szli w milczeniu, pokonując dwieście metrów dzielące ich od kawiarni. Doktor przytrzymał kapelusz i otulał się postawionym kołnierzem, a Ricciardi maszerował z rękami w kieszeni i potarganymi przez wiatr włosami. Zastanawiał się nad informacjami zebranymi tego ranka. Miał wrażenie, że trzymał w ręku kawałki drewnianej lalki, tylko nie wiedział, jak je poskładać. Wydawało mu się, że do czegoś nie przyłożył należytej wagi. Ale co to było?

Weszli, zacierając ręce, i usiedli przy ulubionym stoliku Ricciardiego, koło okna wychodzącego na ulicę Chiaia. Lekarz prychnął, zdejmując kapelusz, płaszcz i ściągając rękawiczki.

– Nie pamiętam takiej pogody pod koniec marca! Ty jesteś wieśniakiem z gór, ja urodziłem się nad morzem i jako dziecko skakałem ze skał w Marechiaro o tej porze roku. Nawet w Alpach, podczas wojny, nie było tak

zimno w marcu.

– Nie narzekaj, lepiej się zakonserwujesz. Jak te twoje trupy.

– Chwileczkę, a może ja słyszę głosy, jak Joanna d’Arc? Chyba właśnie usłyszałem jakiś żart, ale czy ty nie jesteś komisarzem Ricciardim? Ponurym komisarzem Ricciardim, człowiekiem, który nigdy się nie uśmiecha?

– Istotnie się nie uśmiecham. No i co masz mi do powiedzenia? Ubiegłeś mnie, przyszedłbym do ciebie po południu.

Modo zrobił zbolałą minę.

– Wiesz, nigdy dotąd tak na mnie nie naciskano, żebym się spieszył, dzwonią nawet z ministerstwa z Rzymu. Czy to papieża zamordowali? Twój przyjaciel Garzo, jak zwykle uroczy, przysłał mi tego swojego woźnego, Pontego, i to dwa razy w ciągu jednego ranka. W razie jakichś nowych informacji po badaniach i autopsji miałem natychmiast zawiadomić o tym kwesturę.

– A są jakieś nowe wiadomości?

– Nie wiem. Nie jestem pewien. Powiedziałbym, że podtrzymuję te uwagi, którymi podzieliłem się z tobą wczoraj wieczorem. Jest tylko coś dziwnego, może bardziej to moje odczucie, ale jednak.

Podszedł kelner. Ricciardi zamówił dwa ciastka i dwie kawy.

– To znaczy? Czy w twoim fachu można mieć jakieś odczucia? Nie obowiązuje was tylko rygor nauki?

– Wreszcie cię rozpoznaję! Sarkastyczny komisarz Ricciardi, gotów wyrzucić naukę do góry nogami. Ale nauka może pomóc twoim odczuciom, może je potwierdzić albo im zaprzeczyć.

Wrócił kelner, niosąc zamówienie; wygłodniały lekarz rzucił się na smakołyk. Szpakowate wąsy stały się białe od pokrywającego delikatne ciasto cukru. Każdemu kęsowi towarzyszył pomruk zachwytu.

– Ach... zapytaj mnie, co podoba mi się w tym mieście, a ja ci odpowiem: *sfogliatella!* Nie morze i nie słońce, tylko ona.

Ricciardi, który tym właśnie, na przemian z pizzą, żywił się cały czas, usiłował skierować uwagę lekarza na Vezzięgo.

– A można wiedzieć, co sobie pomyślałeś? Rozumiem, że jesteś stary i ostatnio miewasz problemy z koncentracją.

– W wieku pięćdziesięciu pięciu lat jestem bardziej przytomny niż dwaj dwudziestosiedmioletni lekarze. A zatem pamiętaj, że powiedziałem ci już wtedy o siniaku na policzku. Mówiliśmy o uderzeniu pięścią.

Ricciardi przytaknął skinięciem głowy.

– Uderzenie, i to silne, istotnie miało miejsce. Pękła kość jarzmowa, nic poważnego, ale to zawsze złamanie.

– No i co?

– No i to, że niemożliwe, aby wysięk był tak mały. Masz pojęcie, w jak krótkim czasie robi się siniak? I to po takim uderzeniu? Powinien mieć guł pod okiem, a miał tylko mały krwiak.

– Co to znaczy?

– Znaczy, już wiem, że i ty zrozumiałeś, że nasz wielki tenor, przyjaciel faszystowskich ministrów, niech go szlag trafi, kiedy oberwał w twarz, był już martwy albo pozostało mu zaledwie kilka sekund oddechu. Czarne serce nie pompowało już prawie nic.

– Zobaczysz, Bruno, że przez te antyfaszystowskie komentarze któregoś dnia nieźle oberwiesz, zobaczysz!

Z ustami pełnymi kremu i kawy, której nie przestawał popijać, nawet gdy mówił, doktor Modo uśmiechnął się złośliwie.

– Ale ja mam przyjaciół w policji!

– No dobra już. Czyli był martwy lub właśnie umierał. To dlaczego go uderzono, skoro nie żył?

Ricciardi spojrział w oczy lekarza, który wpatrywał się w szybę. Za nią stało dziecko bez lewej ręki i ze śladami kół powozu na małej pokiereszowanej piersi. W wyciągniętej w ich kierunku ręce trzymało garść łachmanów: *To jest moja córka. Karmię ją i myję.* Komisarz westchnął.

– Coś nie tak? – zapytał Modo, widząc niespodziewane cierpienie malujące się na twarzy Ricciardiego.

– Trochę mnie głowa boli.

I morze rozpaczy, to przywiązanie do życia, które już cię nie chce, ten moment, w którym ręce chwytają się jakiegoś oparcia, zanim ciało runie w pustkę. *To jest moja córka. Karmię ją i myję.* Umrzeć, może po to, żeby zebrać tę garstkę łachmanów, które nie wiadomo jak upadły na drogę, pod koła powozu. Cierpienie. Ten wielki ból.

– Dziwny jesteś, Ricciardi. Najdziwniejszy ze wszystkich, każdy ci to powie. Wiesz, że ludzie boją się twojego milczenia, twojej determinacji. Jak gdybyś chciał się zemścić. Ale za co?

– Posłuchaj mnie, doktorze, chętnie z tobą rozmawiam. Jesteś zdolny, uczciwy, jeden z tych, którzy jeśli mają coś więcej do dania, to dają, a to w dzisiejszych czasach niemało. Ale nie pytaj mnie o nic, jeśli chcesz, żebym nadal z tobą rozmawiał, proszę cię.

– Przepraszam. Pracując jednak razem, człowiek się przyzwyczaja. Czasem widać cierpienie na twojej twarzy. A ja wiem, co to cierpienie, uwierz mi.

Wcale nie wiesz, pomyślał Ricciardi. Znasz ból, ale nie cierpienie, ono nadchodzi później i zakaża powietrze, którym oddychasz. Zostawia słodkawy odór, który ciągle czujesz. To gnijąca dusza.

– Dziękuję, doktorze. Bez ciebie już dawno bym się zabił. Dam znać, kiedy coś się wydarzy w śledztwie. Ale powiedz mi tylko – dodał Ricciardi, wstając – dlaczego mówisz to mnie, a nie Pontemu, temu woźnemu?

– Bo twój przyjaciel Garzo nosi czarne ubrania, właśnie dlatego. A ty masz tylko czarny humor. Zapłać rachunek przed wyjściem, umowa jest umową.

Przed gabinetem Ricciardiego czekali Maione i Ponte. Poprosił do siebie pierwszego, ignorując woźnego. Wszedł do pokoju, a za nim brygadier, który zdjął płaszcz. Maione chciał zamknąć drzwi, jednak Ponte wsadził przez nie głowę.

– Proszę o wybaczenie, ale nie mogę narazić się przełożonemu. Pan wicekwesor Garzo powiedział, żeby przyszedł pan do niego, kiedy tylko się pan tu pojawi. Nawet nie poszedł na obiad!

– Jeśli mu tak zależy na rozmowie z komisarzem, to dlaczego sam tu nie przyjdzie? – zapytał sarkastycznie Maione.

– Oszalał pan? On wychodzi z biura tylko do pana kwestora! Bardzo pana proszę, komisarzu, niech mnie pan nie naraża na przykrości.

– Mam teraz coś do zrobienia. Prowadzę śledztwo, jak wicekwestor wie lub powinien wiedzieć. Jeśli ma dla mnie jakieś przydatne informacje, to niech mi je prześle. Jeśli nie, niech napisze, że mam iść do niego, zamiast pracować. Sam mi powiedział, że nie mogę robić niczego innego.

Ponte westchnął głęboko.

– Dobrze, panie komisarzu, powtórzę. Zrobię to i niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Zostawiam pana w spokoju.

Kiedy woźny odszedł, Maione usiadł i wyjął notatnik.

– A więc tak: Vezzi zatrzymał się w Vesuvio, nad brzegiem morza, tam gdzie zawsze, za każdym razem, gdy przyjeżdża do Neapolu. Przyjechali o dwudziestej pierwszej pociągiem, on i Bassi, jego sekretarz. Personel hotelu nie cierpiał go, mówią, że wydzierał się na wszystkich, ze wszystkiego był niezadowolony i tak dalej. Ale nie wydarzyło się nic szczególnego, nie było żadnej awantury, po której ktoś mógłby zrobić mu to, co zrobiono. Próba generalna była wyznaczona na szóstą w poniedziałek dwudziestego trzeciego. Vezzi wyszedł o czwartej i wrócił prosto z próby, wieczorem. Portier dobrze go pamięta, bo zapytał, czy potrzebuje dorożki, a on odpowiedział, żeby lepiej zajął się swoimi sprawami. Wczoraj z kolei wyszedł o szóstej, żeby pójść do teatru, miał długi czarny płaszcz, ten, który znamy, kapelusz z szerokim rondem, biały szal, którym osłaniał twarz przed wiatrem. Portier życzył mu powodzenia, on pokazał mu obraźliwy gest i spojrzał na niego krzywo. To wszystko. Aha, à propos, morze podeszło prawie pod sam hotel, takie jest wzburzone.

Ricciardi słuchał uważnie, trzymając splecione ręce na wysokości ust.

– O której przyjeżdżają impresario i żona Vezziego?

– Za dwie godziny na stację Mergellina – powiedział Maione, patrząc na zegarek.

– Sprowadź mi tu Bassiego, muszę coś zrozumieć.

XVIII

Sekretarz Vezziego pojawił się jak zwykle schludny i elegancki. Był świeżo ogolony, z przedziałkiem na środku, w okularach w złotych oprawkach, które co chwila poprawiał nerwowym gestem.

– Czy mam się martwić, panie komisarzu? Jestem może podejrzany? Przypominam, że spędziłem wieczór obok pana dyrektora, w pierwszym rzędzie.

Ricciardi wzdrygnął się z niechęcią, jak gdyby odpędzał nieznośnego insekta.

– Nie, panie Bassi. Raczej nie. Chciałbym jednak coś zrozumieć. Powiedział pan, że aby zadowolić Vezziego, „współpracownik musiał umieć zniknąć w odpowiednim momencie, pozostawiając go samego”. Proszę mi wytłumaczyć, co to konkretnie znaczy?

Bassi wydawał się zaskoczony. Poprawił okulary na nosie palcem wskazującym prawej ręki.

– Konkretnie? No cóż, konkretnie to znaczy, że maestro oczekiwał... dyskrecji, o to chodzi. Trzeba to było zrozumieć, jeszcze zanim zaczął mówić, jak w przypadku wszystkich wielkich osobowości.

– Zadałem panu konkretne pytanie. Proszę mi wierzyć, nie jesteśmy w klasztorze, tutaj mówi się wszystko. Wiem, że miał pan coś na myśli, i żądam, aby mi to pan wytłumaczył.

Bassiego momentalnie opuściła pewność siebie. Potem zaczął mówić cichym głosem:

– Maestro miał swoje słabości. A któż ich nie ma? Chciał, żeby go doceniano, wszędzie i w każdej sytuacji. No i podobały mu się kobiety, zwłaszcza te należące już do innych. Często myślałem, że nie znosi tego, że jakaś kobieta może woleć kogoś innego. Wszystko jedno kogo. No więc ją

uwodził. Albo przynajmniej próbował, ale zazwyczaj mu się udawało.

– Nie był żonaty? Przecież żona właśnie tutaj jedzie?

– Niby był. Żona jest typem kobiety... była śpiewaczką, jak pan wie, kontraltem. Przestała śpiewać, kiedy się pobrali, dziesięć lat temu. Potem, po śmierci dziecka na dyfteryt pięć lat temu, właściwie przestali ze sobą rozmawiać. Każde prowadziło swoje własne życie. Ale, rozumie pan to, komisarzu, maestro był osobistym przyjacielem Duce. Nie można zniszczyć rodziny, a zatem, jedynie dla formalności, pozostali małżeństwem. Ale tylko formalnie.

– Rozumiem. Czyli Vezzi nie oszczędzał się tutaj, w Neapolu? Jak się ostatnio zachowywał? Coś zrobił, poszedł dokądś?

– Nie wiem, panie komisarzu. Kiedy... był zajęty, po prostu zegnał się ze mną. Mówił: „Nie potrzebuję już pana, zobaczymy się o siódmej, ósmej, dziewiątej”, i tak dalej. Rozumiałem i trzymałem się od niego z daleka. I tak było ciągle coś do roboty, więc...

– W ostatnich dniach też go pan zostawiał?

– Tak, w poniedziałek, w dzień próby generalnej.

– Coś panu powiedział?

– To było dziwne, zapytał mnie, gdzie staje tramwaj numer siedem.

Po wyjściu Bassiego Ricciardi zapytał Maionego, jaką trasą kursuje tramwaj numer siedem. Brygadier wyszedł na parę minut. Kiedy wrócił, jak zwykle zasypał szefa informacjami.

– No więc tak, panie komisarzu: są dwa tramwaje numer siedem. Czerwona siódemka odjeżdża z placu Plebiscito i jedzie do placu Vanvitelli, na wzgórzu nad dzielnicą Vomero. Czarna siódemka odjeżdża z placu Dantego i też jedzie na Vomero, ale kończy bieg na placu San Martino. Powiedział mi to Antonelli, który zna cały miejski transport, wbrew potocznej opinii, że ci z archiwum nic nie robią od rana do wieczora. A tę czarną siódemkę nazywają „tramwajem ubogich kochanków”, bo jedzie do lasku z widokiem na miasto, gdzie podobno spotykają się pary. Z kolei czerwoną jeżdżą ci, którzy pracują w centrum, a mieszkają w nowych

domach. Którym mógł pojechać Vezzi?

– Z pewnością czarną siódmką.

Ricciardi postanowił wypełnić czas przed przyjazdem żony Vezziego i jego impresaria, przeprowadzając szybką wizję lokalną na trasie czarnej siódmki.

Tak naprawdę, musiał przyznać, był to pretekst, aby uniknąć przedstawienia Garzowi wiszącego ciągle nad nim raportu. Nie chciał przekazywać tylko ledwo zarysowanych lub niekompletnych teorii, ale nie mógł też zmyślać, że jest na tropie wytypowanego już mordercy. Dlatego powiedział Maionemu, żeby został na posterunku, w razie gdyby ktoś chciał dobrowolnie złożyć zeznanie, i ruszył w kierunku placu Dantego.

Wiatr już się uspokajał, na niebie przybywało chmur, może zacznie padać. Wczesnym popołudniem ulica była pełna ludzi i pojazdów. Nazywała się via Roma, czyli ulica Rzymska, już od sześćdziesięciu lat, ale dla neapolitańczyków nadal pozostawała ulicą Toledo, jak w czasach rządów Hiszpanów, kiedy ją zbudowano. Była też pulsującą granicą pomiędzy dwiema duszami miasta, na przemian brana w posiadanie lub nawiedzana przez jedną lub drugą. Nawoływania sprzedawców przesywały powietrze, po chodnikach ścigali się bosonodzy chłopcy. Żebracy siedzieli pod murami domów, blisko wejść do kościołów. Po lewej stronie liczne zaułki przecinały ulicę, ukazując zapuszczoną i ruchliwą dzielnicę Quartieri Spagnoli.

Idąc, Ricciardi cały czas myślał, dlaczego tramwajem? Dorożka lub jedna z pięćdziesięciu miejskich taksówek to byłoby najbardziej logiczne rozwiązanie. Albo nawet kolejka szynowa, piękna i nowoczesna, uruchomiona trzy lata temu. Była prawdziwym powodem zaludniania nowej dzielnicy, w której stronę burżuazja spoglądała z coraz większym zainteresowaniem. Ale co do reszty, w Vomero nadal znajdowały się pola uprawne, stada owiec, kóz i gospodarstwa. No i kilka pięknych willi arystokracji, która lubiła spędzać wilegiaturę na świeżym powietrzu. Jedynym powodem, dla którego Vezzi mógł wybrać tramwaj, była chęć zachowania anonimowości, żeby nikt go nie rozpoznał. Ale dlaczego? Bo celem tenora nie była zwykła przechadzka dla zdrowia. Ani nawet wizyta

u któregoś z jego utytułowanych znajomych.

Przystanek tramwajowy na placu Dantego znajdował się dokładnie u stóp drogi prowadzącej w górę do Vomero. Ricciardi kupił bilet i usiadł przy oknie. Na ulicy, koło Port' Alba, widział mafiosa zasztyletowanego podczas bójki. Od razu aresztowali winnego, młodego chłopaka, który starał się zaistnieć w swoim środowisku, a tymczasem przez trzydzieści lat będzie gnął w więzieniu. Zmarły, duży i gruby, śmiał się na całe gardło, i to w dosłownym znaczeniu tego słowa, jako że poderżnięto mu je od ucha do ucha. Przez ranę widać było potok krwi i powietrze z ostatniego oddechu. Wyśmiewał swego zabójcę i jego brak odwagi: fatalna pomyłka? Tramwaj szarpnął i ruszył.

Wzdłuż pnącej się w górę drogi domy pojawiały się coraz rzadziej. Ricciardi zauważył jednak wiele placów budowy. Miasto rozrastało się, wchłaniając także wsie. Zeszłoroczne trzęsienie ziemi dało asumpt do niezbędnej odbudowy. Część domów zawaliła się, były też ofiary, chociaż najbardziej ucierpiała daleka Irpinia. Teraz tutaj powstawały nowe domy i ulice. Nowe dzielnice do kontrolowania, nowe bogactwa, nowe przestępstwa i zbrodnie, pomyślał z westchnieniem komisarz.

Zimny wiatr wiał coraz silniej, w miarę jak tramwaj wspinał się na wzgórze. Ricciardi wyraźnie widział falującą roślinność, która stawała się coraz gęstsza. Drzewa, krzaki, splachetki uprawianej ziemi, ścieżki prowadzące na pola, co jakiś czas otoczone palmami wille. Po bokach drogi, na której ułożono szyny, pojawiały się też baraki, przed którymi dzieci bawiły się, a kobiety prały.

Chłopiec z psem i dwiema kozami przywiązany sznurkiem sprzedawał chleb i ser grupie murarzy z pobliskiej budowy, którzy mieli przerwę obiadową. Jeden z nich, trochę oddalony od innych, trzymał głowę pochyloną w nienaturalny sposób. Komisarz odwrócił wzrok. Tysięczny wypadek przy pracy, o którym nikt niczego nigdy się nie dowie.

Tramwaj dojechał do pętli, na nowy plac przed wojskowym więzieniem. Ricciardi podszedł do konduktora i zapytał, czy w najbliższej okolicy jest może jakiś hotel. Otrzymałszy odpowiedź, poszedł w stronę niskiego

budynku nieopodal. Wisząca na nim polakierowana na zielono metalowa tablica informowała, że mieści się tu pensjonat Belvedere.

Właścicielka początkowo zachowywała się nieufnie, kiedy jednak się przedstawił, przypomniała sobie korpulentnego pana mówiącego „z obcym, północnym akcentem”, który pojawił się tu wieczorem dwudziestego trzeciego. W swoim pokoju przebywał trzy godziny, jakaś kobieta złożyła mu wizytę. Ta kobieta przyjechała osobno, nie byli razem. Tak, powiedziała „w swoim pokoju”, bo ten pan wynajął go na trzy miesiące, zapłacił z góry. Może pan komisarz chce go obejrzyć?

Ricciardi znalazł się w czystym pokoju ze wspaniałym widokiem z okna. Nie było w nim żadnego osobistego przedmiotu, oprócz pędzla do golenia, mydła i brzytwy koło umywalki w rogu pomieszczenia. Ani śladu obecności kobiety, puste szuflady i szafa, z wyjątkiem nowego szlafroka, najwyraźniej nigdy nieużywanego. Wziął go, jak gdyby chciał sprawdzić, ile waży. Na ramieniu znalazł włos w kolorze blond.

Wychodząc, komisarz powiedział właścicielce, że pokój jest wolny, ponieważ wynajmujący go gość nie wróci. Kobieta nie ukrywała niezadowolenia.

– A miałam nadzieję, że wynajmie go ponownie. Chociaż nic nie odpowiedział, kiedy go zapytałam. Wyszedł w pośpiechu.

– Jak to ponownie? To nie wynajął go na trzy miesiące, od poniedziałku, dwudziestego trzeciego?

– Nie, panie komisarzu. Trzy miesiące od dwudziestego grudnia, wtedy byli tu po raz pierwszy. Jeszcze trwały prace na placu.

– A ta pani, która go odwiedziła, zawsze ta sama?

– Tak, komisarzu. Ta sama. Można się było domyślić, że była młoda, przyjeżdżała osobno.

– Umiałaby ją pani opisać?

– Szczerze mówiąc, nie. Miała kapelusz, szal, gruby płaszcz. Nigdy nie widziałam jej twarzy, nie odpowiadała nawet na przywitanie, nie słyszałam jej głosu. Szkoda jednak, on wydawał się zadowolony, i jakie napiwki mi

zostawiał!

Ta informacja rzucała nowe światło na wydarzenia, pomyślał Ricciardi, idąc ulicą w stronę placu z widokiem na miasto. Vezzi przyjechał do Neapolu w grudniu, mówił o tym też Bassi. To był ten nurtujący go element, którego początkowo nie zauważył. Ale coś jeszcze było w słowach don Pierina, czego do końca nie zrozumiał. Ale co?

Tramwaj miał odjechać nie wcześniej niż za kwadrans. Komisarz postanowił obejrzeć taras widokowy. Miasto leżało u jego stóp, pod coraz bardziej napęczniałym od deszczu niebem. Teraz, kiedy zapalały się pierwsze światła, nie wyglądało na wstrząsane emocjami lub namiętnościami. Ale Ricciardi dobrze wiedział, ile warstw kryło się pod tym pozornym spokojem. Żadna zbrodnia, tylko bezpieczeństwo i dobrobyt, który zawdzięczamy reżimowi, tak to na mocy prawa postanowiono. Ale umarli czuwali na ulicach, w domach, domagając się pokoju i sprawiedliwości.

Podszedł do balustrady, pod nim kręte schodki ulicy Pedamentina prowadziły do alei Vittoria Emanuele. Długa i miła droga wzdłuż porośniętego bujną roślinnością zbocza. Wiszące lampy, oświetlające schody, kołysały się na wietrze. Ale późne popołudniowe światło pozwalało jeszcze zobaczyć niewielki park z ławkami, miejsce spotkań zakochanych, którzy nie mogli pozwolić sobie na wynajęcie pokoju na trzy miesiące ani nawet na trzy godziny.

Ricciardi ujrzał dwie pary siedzące na ławkach. Marynarz usiłował objąć odpychającą go ze śmiechem dziewczynę, a elegancki młodzieniec, może student, trzymał za rękę rozmarzoną kobietę. Ricciardi przesunął wzrok. Kilka kroków od marynarza zobaczył siedzącego na ziemi mężczyznę, który przyciskał ręce do brzucha, jak gdyby sam siebie obejmując. Z ust wypływała mu żółtawa piana, bulgocząca w zetknięciu z powietrzem. Miał szklane oczy. Nawet z tej odległości komisarz słyszał jego słowa: *Bez ciebie nie ma życia. Bez ciebie nie ma życia. Bez ciebie nie ma życia...* otruł się, pomyślał. Barbituranami, kwasem, wybielaczem? Jakże to ma znaczenie?

Niedaleko za nim, na drzewie, wisiała kobieta na kawałku materiału, może szalu. Wyglądała jak spóźniony zimowy owoc, jak kiść winogron, która

przeżyła winobranie i jeszcze nie uschła. Oczy wychodzące z orbit, potwornie spuchnięty siny język zwisający z obrzmiałych ust. Szyja wyciągnięta przez bezwładne ciało, luźno zwisające ręce i nogi. Cały czas powtarzała: *Dlaczego, mój kochany? Dlaczego?* Miejsce zakochanych, pomyślał Ricciardi. Widział też inne takie miejsca, „zamieszkane” w podobny sposób. Ludzie szukali spokoju tam, gdzie byli szczęśliwi, nie wiedząc, że spokoju nie odnajdą nawet w śmierci.

Kiedy tak obserwował żywych i umarłych, przypomniła mu się reklama środka na wzmocnienie, którą często widywał w gazecie. Przed leczeniem i po leczeniu, pomyślał.

Przed miłością i po miłości.

Dzwonek tramwaju przeciął powietrze. Ricciardi odwrócił się i zaczął powoli iść w górę.

XIX

Kościół Santa Maria degli Angeli był lodowaty. W nawie i wewnątrz kopuły, przez którą wpadało nieogrzewające nikogo słońce, nieustannie słychać było wycie wiatru. Na ławkach przed ołtarzem kilka staruszek recytowało modlitwy, przekręcając słowa w zapomnianym języku i błagając Boga i świętych o łaskawość.

W głębi, w półcieniu ukrywała się kobieta. Czarny szal narzucony na blond włosy i twarz, pochylona głowa. Ukrywała swoją urodę, ciało, błękitne oczy. Chciała się pomodlić, ale brakowało jej odwagi.

Podniosła wzrok na przedstawiające raj, zaatakowane przez wilgoć freski zdobiące kopułę. Raj zrujnowany, w rozsypce. Raj wyśniony, namalowany żywymi kolorami, a potem utracony. Miała wrażenie, że to jej historia. Wyobrażała sobie nowe życie, nową miłość. Wokół siebie widziała piękne figury z życia Maryi. Czystość, niewinność. A ona jednak...

Nie weszła tu błagać o wybaczenie, nie żałowała zdrady. Przyszła tu, żeby pomyśleć, jak mogła, po tym, gdy była tak bliska raju, nie trafić do piekła.

Dokładnie dwadzieścia cztery godziny po morderstwie Vezziiego Ricciardi wrócił do kwestury. Jak się tego spodziewał, pod drzwiami jego gabinetu czekali Maione i Ponte. Napięcie wisiało w powietrzu, z pewnością tych dwóch musiało się ze sobą już poróżnić. Brygadier miał oczy nabiegłe krwią, a woźnemu drżały usta.

– Nareszcie, panie komisarzu, już sam nie wiem, co mam mówić wicekwestorowi. Ten pana brygadier jest na mnie zły, ale ja pana ochraniam, ile mogę, chociaż...

– Co ty ochraniasz, lizusie jeden! Masz nas zostawić w spokoju i dać popracować, zrozumiałeś? Mamy niby co pięć minut zdawać relację z postępów w śledztwie?

Ricciardi uważał za słuszne się wtrącić.

– Daj spokój, Maione, ja się tym zajmę. Wyjdź po impresaria i żonę, zaraz przyjadą. Ponte, proszę mnie zaprowadzić do Garza.

Wicekwesor nie wstał, żeby się przywitać z Ricciardim. Nawet nie poprosił go, żeby usiadł.

– No i jak, Ricciardi, zapytam tylko ten jeden raz. Na jakim jesteście etapie?

Jesteście. A nie jesteśmy.

– Prowadzę dochodzenie. Gdybym miał jakieś informacje, to oczywiście natychmiast bym je panu przekazał. Chyba tak się umawialiśmy?

– To nie pan tu jest od zadawania pytań! – wybuchnął Garzo. – Czy może pan sobie wyobrazić, jakim naciskom mnie tu poddają? Co godzina bombardują nas telefonogramami z Rzymu. Gazety piszą tylko o tym. Dzwonili z „Il Mattino”, gorąco protestując przeciwko temu, jak potraktował pan ich dziennikarza, niejakiego Luisego, dzisiaj rano w teatrze. Oni się zemszczą, Ricciardi, zdaje pan sobie z tego sprawę czy nie? Od „błyskotliwego śledczego” do „błądzącego w mroku” droga jest bardzo krótka. Co ja mam powiedzieć kwesorowi? A co on ma powiedzieć tym z Rzymu? Biuro Duce jest w kontakcie z komisarzem miasta, bardziej zajmują się śmiercią Vezziego niż tym trzęsieniem ziemi z zeszłego roku. Musi pan, powtarzam, musi, dać mi jakieś informacje.

– Nie mówię, co mi ślina na język przyniesie, panie kwesorze. Nigdy. Jeśli coś powiem, to znaczy, że jestem tego pewien.

Cierpliwość Garza wyczerpywała się.

– Ale ja nie wiem, co im powiedzieć! Proszę, niech pan mnie zrozumie. Nie mogę pokazać, że nic nie wiem.

– Proszę powiedzieć, że prawdopodobnie chodzi o zabójstwo w afekcie. Czyż za każdym zabójstwem nie stoją jakieś uczucia? Niech pan tak powie, jakkolwiek to się skończy, i tak będzie pan miał rację.

Garzo się rozpromienił.

– Ma pan rację, Ricciardi. Świetnie, doskonale! To ich na trochę uspokoi.

Ale bardzo proszę, niech mnie pan nie trzyma w niepewności. Jeśli coś jeszcze pan odkryje, proszę natychmiast mnie o tym poinformować.

– Oczywiście, ma pan moje słowo. Ale proszę trzymać ode mnie z daleka dziennikarzy i Pontego.

– Oczywiście. Owocnej pracy, Ricciardi.

Wracając do biura, komisarz starał się uporządkować wszystko w głowie. Vezzi przyjechał do Neapolu z Bassim służbowo, tuż przed Bożym Narodzeniem. Zatrzymał się na kilka dni, wynajął pokój w pensjonacie Belvedere. Także w dniu próby generalnej tam był, z tego powodu właśnie spóźnił się do teatru. Długi jasny włos na szlafroku. A więc kobieta, kobieta, którą należało starannie ukrywać.

Można było przypuszczać, że wiele osób chciało widzieć go martwym lub chociaż zemścić się z różnych powodów. Na przykład dyrygent. Albo sam Bassi, ustawicznie upokarzany. A także barytony, sopran i kelnerzy.

Ricciardi zdawał sobie jednak sprawę z tego, że ludzie teatru z trudnością daliby taki upust miłości własnej, dbając przede wszystkim o swój interes. Tacy ludzie są przyzwyczajeni do grania, do fikcji. Nie mógł sobie wyobrazić żadnego śpiewaka lub muzyka, który obmyśla tak okrutne zabicie i dokonuje zbrodni. Zresztą wszystko w tym przypadku wskazywało na działanie w afekcie: ślady walki, rozbite lustro, ta cała krew. Cokolwiek tam się stało, nie była to zbrodnia z premedytacją. A tenor był sam w garderobie, zanim został zabity, malował się i przebierał. Taką miał manię. No to kto to zrobił? Ricciardi wiedział, że musi poszukać pary odwiecznych wrogów: głodu i miłości. Jedno z nich lub oboje; u podstawy śmierci leżą głód i miłość.

W drzwiach pojawił się Maione.

– Komisarzu, impresario i żona są w saloniku, kogo mam tu poprosić najpierw?

Mario Marelli był człowiekiem interesów, widać to było po ubraniu, sposobie mówienia, gestykulacji. A nawet po rysach twarzy, kwadratowej, męskiej szczęce, imponującym nosie i błękitnych, przejrzystych oczach pod

gęstymi brwiami. Miał świetnie ostrzyżone włosy, błyszczące od brylantyny i lekko posiwiałe na skroniach. Od białej, nieskazitelnie czystej koszuli z zaokrąglonym kołnierzykiem odbijał się ciemny, dobrze zawiązany krawat. Spod dwurzędowej marynarki w prążki wystawały guziki kamizelki, a z kieszeni złoty łańcuszek od zegarka.

– Komisarzu, nie będę tu marnował czasu, mówiąc, jak bardzo to przeżywam. Vezzi był złym człowiekiem, z pewnością zdał już pan sobie z tego sprawę, a jeśli nie, to ja wszystko opowiem. Podczas tych dziesięciu lat, kiedy pracowałem dla niego, nie poznałem nikogo, kto by go lubił... z wyjątkiem najwyższych władz z Rzymu oczywiście... W lizaniu stóp rządzącym był wyjątkowo biegły.

– Dlaczego nie był pan z nim w Neapolu?

– Przyjechałem na próby przed świętami. Wtedy właśnie uzgadnia się wszystkie szczegóły kontraktu, płatności i inne klauzule... Potem, kiedy ma miejsce przedstawienie, obecność impresaria nie jest wymagana. W istocie im mniej czasu spędzałem z tym degeneratem, tym lepiej dla mnie. Tak więc unikałem wspólnych wyjazdów.

– Kiedy byliście tu przed świętami, zapamiętał pan coś szczególnego? Vezzi oddalał się na jakiś czas?

– Vezzi? Ciągle go nie było. Może niedokładnie to panu wytłumaczyłem; zostawiał mi część związaną z kontraktem, rozmowy z dyrektcją, orkiestrą, reżyserem. On myślał tylko o tym, co dotyczyło jego samego. Pracownia krawiecka szyjąca mu kostiumy, garderoba, malowanie. Interesowały go tylko ubrania, charakteryzacja i śpiew. Reszta świata miała krążyć wokół niego. Byliśmy tu wtedy cztery dni, ja widziałem go może ze trzy razy przez kilka minut. Aha, raz chyba jedliśmy wspólnie obiad w tej słynnej restauracji w Piedigrotta. Pamiętam, bo dwukrotnie odsyłał rybę, według niego nie była dobrze przyrządzona. Do tej pory pamiętam wyraz twarzy właściciela. Co za łajdak.

– Jakie są powody pana rozzalenia? Wydaje mi się, że stosunki między wami były szczególnie napięte, a zatem nie tylko zawodowe.

– Nie można było utrzymywać z nim dobrych stosunków. Właściwie

jedynym sposobem na utrzymywanie ich było leżenie u jego stóp i wspieranie we wszystkim. Jestem w stanie to znieść, takie sytuacje już mi się zresztą zdarzały, ale w pewnych okolicznościach po prostu nie sposób dłużej znosić takiego zachowania.

Ricciardi pochylił się lekko do przodu.

– Na przykład? – zapytał.

– Na przykład kiedy w Berlinie upił się i pojawił u Kanclerza z godzinnym opóźnieniem. Albo kiedy nakryto go w hotelu z trzynastoletnią dziewczynką, córką właściciela. Albo kiedy w szale, który on zwykł nazywać opóźnionym atakiem, rozwalil skrzypce warte pięćdziesiąt tysięcy lirów o podłogę, wyrwawszy je uprzednio jednemu z muzyków, w Wiedniu. Mam wyliczać dalej?

– To jak dogadywaliście się w sprawach zawodowych? Na jakiej podstawie?

– To proste: on był geniuszem. Absolutnym geniuszem. Oprócz niesamowitego głosu miał zdolność wcielania się w postać. I to niezwykle głęboko wnikał w duszę postaci, której rolę śpiewał, całkowicie się z nią identyfikując, utożsamiając. Mam swoją teorię na ten temat, według mnie udawało się to, bo on sam nie miał duszy. Pisał zatem na czystej tablicy i nie miał żadnych uczuć do ukrycia. Jak wąż.

– A zatem?

– A zatem nie było lepszego tenora od niego. Reprezentowanie go polegało jedynie na kierowaniu ruchem. Mielibyśmy dziesięć lat zapelnionych rolami, gdyby tylko chciał.

Ricciardi zmarszczył czoło, zaskoczony.

– Czyli dla pana jego śmierć to poważna strata. Pozbawiła pana cennej pracy. Chociażby z tego powodu powinien być pan rozżalony.

– Nie, panie komisarzu. Jeśli nie dowiedzieliście się jeszcze od tego imbecyla, jego sekretarza, to ja panu powiem: Vezzi postanowił nie korzystać już więcej z mojego wsparcia. Powiedział, bardzo elegancko, jak to miał w zwyczaju, że mógł wytargować te same honoraria i jeszcze zaoszczędzić

dziesięć procent. I, muszę niestety to przyznać, miał rację.

– Czyli po prostu zwolnił pana.

– Tak. Ale od następnego sezonu. W tym do samego końca miałem go jeszcze reprezentować. Zażalenia, skargi prawne, mandaty przychodziły niestety wciąż do mojego biura.

Ricciardi nie za dobrze wszystko zrozumiał.

– Ale kwestie artystyczne, opery, w których miał śpiewać, daty, to wszystko ustalał z panem?

– Kto, Vezzi? Widać, że go pan nie znał – powiedział gorzko Marelli. – Oczywiście tak być powinno i tak jest w przypadku wszystkich innych artystów, którymi się zajmuję. Ale nie z Arnaldem. On robił to, co chciał, i w chwili, kiedy coś wpadało mu do głowy. Chyba że potem zmieniał zdanie i postanawiał coś zupełnie przeciwnego, pozostawiając w zawieszeniu dziesiątki osób i ich pracę. Coś panu powiem, komisarzu, najbardziej żałuję, że nie zobaczę następnego sezonu, w którym Vezzi radziłby sobie sam. Jestem pewien, proszę mi wierzyć na słowo, że przez wszystkie kary i odszkodowania zapłaciłby przynajmniej dwa razy więcej, niżby zarobił. Tylko ja wiem, ile kosztuje łatanie po nim tych wszystkich dziur.

– To dlaczego zgodził się pan z nim pracować, skoro był tak trudną osobą?

– Zna się pan na operze, komisarzu? Nie? To proszę pozwolić, że coś panu wytłumaczę. Moje pokolenie, powiedzmy ci, którzy są teraz po czterdziestce, pozostaną na zawsze związani z operą. Tak jak nasi rodzice i nasi dziadkowie. Związani z pasją, radością i cierpieniem, które odnajdywali na scenie, z balkonów, parteru, czy ci szczęśliwcy z łóż. To była i jest okazja do spotkania, sposób na rozpoznanie znanych, fascynujących melodii. Ale wszystko się zmienia: radio, muzyka taneczna. Jazz, muzyka amerykańskich Murzynów. I przede wszystkim kino. Miał pan już okazję oglądać film dźwiękowy? Macie chyba dwie sale w Neapolu. W Mediolanie są już cztery, a w Rzymie nawet sześć. Kino dźwiękowe jest we Włoszech mniej więcej od roku. Ludzie dzisiaj chcą coś robić, nie słuchać. Nie wystarczy już usiąść, oglądać spektakl, co najwyżej bijąc brawo lub gwizdząc. Ludzie chcą tańczyć, podśpiewywać, pogwizdywać. Być na środku sceny, oglądać

całujących się bohaterów, i to z bliska. Albo pójść na stadion i patrzeć na dwudziestu dwóch gości w krótkich spodenkach. Ile miejsca pozostanie w przyszłości operze? Coraz mniej, mówię to panu. Coraz mniej. I dlatego właśnie tacy jak Vezzi, póki są, wymagają opieki. Rodzą się raz na jakieś sto lat. Za każdym razem kiedy śpiewa, Vezzi zapełnia cały teatr. Nawet jeśli śpiewa sto razy to samo, to ludzie sto razy idą go posłuchać. A dlaczego? Bo ludzie za każdym razem słyszą coś nowego, coś odmiennego. Inny czar. A zatem lepszy już Vezzi ze swoimi awanturami, wadami, złośliwościami i upokorzeniami, na jakie naraża ludzi, niż tysiąc zdolnych i sumiennych profesjonalistów, szanujących pracę innych, ale pozbawionych talentu. Oni zawsze zapełnią sale najwyżej do połowy, mówi to panu Marelli. A Marelli ma doświadczenie, panie komisarzu.

Ricciardi przytaknął, krzywiąc usta. Już to kiedyś słyszał.

– Kto w takim razie według pana mógł go zabić?

Marelli zaśmiał się, ale nie radośnie.

– Każdy, każdy, kto tylko miał okazję zobaczyć, choćby przez chwilę, jego wredną duszyczkę. Ja sam chciałem go udusić przynajmniej tysiąc razy. Ale kto udusiłby kurę znoszącą złote jajka? Żaden człowiek interesów.

– À propos, dwudziestego piątego, pan...

– ...byłem w La Scali, na *Traviacie*. Śpiewało w niej dwóch moich artystów. Świetne chłopaki, prawdziwi zawodowcy. Nigdy sami nie zapełnią teatru, ale w przyszłym roku nadal będą ze mną.

XX

Jeszcze jeden. Marelli też, pomyślał Ricciardi, kiedy znalazł się sam w gabinecie, miał najlepszy powód, żeby zgłaszać pretensje do Vezzi. A zarazem żeby utrzymać go przy życiu przynajmniej do końca sezonu. Jak to jest, kiedy żyjesz otoczony przez ludzi, którzy cię nienawidzą, ale od ciebie zależą. Może uważasz się za złośliwe bóstwo, przed którym wierni składają ofiary, bojąc się piorunów albo suszy. A może czujesz się samotny, jeszcze bardziej samotny.

W każdym razie Marelli miał łatwe do sprawdzenia alibi: teatr. Komisarz zanotował coś i poprosił Maionego.

– Sprawdź obecność Marellego w La Scali dwudziestego piątego. Zatelegrafuj do kwestury w Mediolanie. Pani Vezzi jest?

– Tak, komisarzu. Nie podniosła woalki ani na chwilę, nic nie powiedziała. Siedzi wyprostowana. Trochę mnie to krępuje, szczerze mówiąc. Mam ją tu wprowadzić?

– Tak, a ty, jeśli chcesz, możesz iść do domu, na dzisiaj chyba już skończyliśmy.

– Dobrze, panie komisarzu. W razie czego zaczekam jeszcze, dopóki nie skończy pan rozmowy, może coś będzie potrzebne.

Ricciardi, noblesse oblige, czekał na panią Vezzi na progu gabinetu. Miał zatem okazję zobaczyć, jak idzie korytarzem z saloniku, w którym czekała. Wysoka, ubrana na czarno, w płaszczu z futrzanym kołnierzem i kapeluszu z woalką zasłaniającą twarz. Można się było domyślić, że miała pełną i kształną figurę, ale jej krok był sprężysty i pewny, w żadnym razie nie ciężki. Pani Vezzi poruszała się miękko, choć nerwowo, jak gdyby w każdej chwili miała rzucić się do biegu.

Stała przed nim. Komisarz wyczuł jej spojrzenie pod woalką skrywającą

rysy twarzy. Odsunął się, żeby ją przepuścić, podstawił krzesło, a kiedy usiadła, okrążył biurko i sam zajął miejsce. Egzotyczny, korzenny zapach wypełnił pokój.

Powolnym, zdecydowanym gestem kobieta uniosła ręce i zdjęła kapelusz. Twarz o regularnych rysach i jasnej karnacji zdobił delikatny makijaż, podkreślający pełne usta, wielkie czarne oczy i lekko wydłużony nos. Miłą, proporcjonalną twarz czynił jeszcze bardziej przyjemną dołeczek w brodzie. Pani Livia Lucani, obecnie wdowa Vezzi, była piękna i zdawała sobie z tego sprawę. Patrzyła z ciekawością na komisarza, tak bardzo różniącego się od osoby, którą spodziewała się tu spotkać.

Ricciardi, splótny ręce, obserwował ją z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Zastanawiał się, co kryje się za jej wyniosłym sposobem bycia. Może duma, echo jakiegoś cierpienia. Ale nie świeżego, nie tego wywołanego śmiercią męża. To coś wiązało się raczej z przeszłością. Ricciardi często wolał zmarłych, mówili zawsze to samo, ale przynajmniej mówili. Żywi z kolei patrzyli na niego, a on nie wiedział, co myślą. Zwłaszcza kobiety.

Po kilku chwilach, chociaż jemu wydawało się, że minęło więcej czasu, Ricciardi przemówił:

– Przede wszystkim proszę przyjąć kondolencje, moje i całej kvestury. Chciałbym, żeby wiedziała pani, iż zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby ukarać osobę odpowiedzialną za tę zbrodnię.

– Dziękuję, komisarzu. Bardzo dziękuję. Jestem tego pewna.

Livia miała głęboki, modulowany głos. Ricciardi pomyślał, że to naturalne, była przecież śpiewaczką. W każdym razie zaskoczył go ten głos, tak niski, a jednocześnie delikatny, niezwykle kobiecy.

– Musi mi pani wybaczyć, że zadam kilka pytań. Posłużą mi do tego, o czym wcześniej wspominałem. Ale gdyby odpowiedzi miały okazać się dla pani zbyt bolesne, jeśli jest pani zmęczona podróżą lub po prostu ból, który pani odczuwa... w żadnym razie nie chciałbym się wydać natarczywy. Wystarczy powiedzieć i przełożymy spotkanie.

– Nie, panie komisarzu. Moja podróż wcale nie była męcząca, a jesteśmy,

gdzie jesteśmy, i nie można już nic więcej zrobić. Czy będę musiała... go zobaczyć? Zobaczyć mojego męża?

W sposobie mówienia kobiety wyczuł strach. Z pewnością nie miłość ani żal.

– Obawiam się, że tak. Musi go pani zidentyfikować jako najbliższa rodzina, takie jest prawo. Tutaj go nie ma, jest w szpitalu, będę tam pani jutro rano towarzyszył.

– Jak to się stało? To znaczy... nic mi nie powiedzieli. W jaki sposób został zraniony? Czy ciało jest... zniekształcone?

Strach. Obawa, że nie da rady stawić czoła masakrze. Ricciardi znał to uczucie, często miał z nim do czynienia. Jak gdyby ciosy nie zostały zadane przez innego człowieka. O czym mam pani opowiedzieć? O ostatniej pieśni miłości, która zamienia się w nienawiść? Czy o krwi wypływającej strugami z przeciętej arterii?

– Nie, jest tylko jedna rana, ta śmiertelna, ale nie na twarzy. Może przypadkowa, niezrobiona celowo. Może w wyniku jakiejś szarpaniny, jeszcze nie wiemy. Ale ciało nie jest zmasakrowane.

Livia podniosła do twarzy drżącą dłoń ubraną w rękawiczkę. Nie chciała płakać i nie będzie płakać. Łzy wyczerpały się jej lata temu. Ale obawiała się, że widok zwłok mężczyzny, którego kiedyś, może za bardzo, kochała, okaże się ponad jej siły. Jednocześnie nie mogła powstrzymać ciekawości, jaką budził w niej ten siedzący naprzeciwko mężczyzna. Mężczyzna z zielonymi oczami, tak dziwnymi w tej ciemnej twarzy. Wydłużony nos, lekko drżące nozdrza, brwi, zakrzywione pośrodku, sprawiały wrażenie, że ich właściciel się dąsa. Subtelne cienkie wargi, instynktownie zaciśnięta szczęka, kosmyk włosów na twarzy przydający lekkości dość ponuremu wyglądowi. Przypominał jej nieoprawiony szmaragd, zimny i obojętny, ale pociągający i atrakcyjny.

Ricciardi pozornie nie zwracał uwagi na uporczywość, z jaką obserwowała go kobieta, i sam na nią patrzył, starając się odkryć emocje. Jeśli u podstaw zbrodni tkwią głód i miłość lub obie te rzeczy naraz, to kobieta, tak piękna kobieta, mogła być przyczyną owego motywu. Nawet na odległość mogła

sprowokować rozczarowanie, zazdrość i wywołać odpowiednią reakcję. Ricciardi nieraz już widział takie rzeczy i był przekonany, że wiele podobnych reakcji jeszcze zobaczy.

Ta kobieta zdolna była każdego doprowadzić do szaleństwa. W jej czarnych, głębokich i wyrazistych oczach Ricciardi widział wielką energię i głęboką inteligencję, jak też świadomość własnej urody. Mieszanka potężniejsza niż jakikolwiek ładunek wybuchowy.

– Od kiedy nie widziała pani męża?

– Chyba od trzech miesięcy. Mniej więcej od Bożego Narodzenia.

Ricciardi przyglądał się jej.

– To nie wydaje się panu normalne? Wiem. Ale ja nigdy nie miałam normalnej rodziny. Z Arnaldem to nie było możliwe. On... powinien być sam, taka jest prawda. W rzeczywistości nasze małżeństwo tylko jemu było potrzebne. Jego karierze. Zwłaszcza w tych czasach. Nie można robić kariery, być osobą znaną, bez wspaniałej rodziny. Dlatego trzeba się ożenić. I zorganizować fantastyczny publiczny ślub.

– A pani? Jakie pani miała z tego korzyści?

Livia sprawiała wrażenie, że nie wyczuwa sarkazmu w głosie komisarza. Zdawała się pogrążona we wspomnieniach.

– Korzyści? Korzyść z małżeństwa z geniuszem, największym naszych czasów. Z człowiekiem, którego się kocha. Lub wydaje się, że kocha. Albo którego się kochało. Pan jest żonaty, komisarzu?

– Nie. Ja nie. Jak to jest być żonatym? Proszę mi wytłumaczyć.

– Nie wiem. Podczas tych wszystkich lat nie pamiętam, abym kiedykolwiek poczuła, że należy do mnie. Oczywiście mieliśmy dom, meble, przyjęcia. Ważne osobistości, partia, dostojnicy, obrazy, rzeźby. Nagrody. Podróże, zdjęcia do prasy, błyski magnezji. Nawet samoloty. Wagony sypialne. Uśmiechy. Ale tylko poza domem. W domu siedziałam sama i czekałam. Na co?

– A on? W tym samym czasie?

Livia wspominała swoją samotność.

– On jeździł. Protestowałam, kiedy wracał, prosiłam o wyjaśnienia. „Jak śmiesz? Siedź na swoim miejscu. Ja żyję, jestem wielkim Vezzim. Pozwól mi żyć, pozwól mi wyjeżdżać”. A miłość...

– A miłość?

– Miłość się kończy. Obejmujące cię ręce zamieniają się w odpychające cię kraty. Twarz, którą głaskałaś spojrzeniem, staje się symbolem twojego końca. Także końcem aspiracji, kariery. Byłam dobrą śpiewaczką, wie pan, komisarzu? Naprawdę dobrą. Śpiewałam w Nowym Jorku, w Londynie. Także tutaj, w San Carlo, w dwudziestym drugim, we *Włoszce w Algierze*. Potem złożyłam karierę na ołtarzu boga Vezziogo. Nie wiem, dlaczego ożenił się właśnie ze mną, dlaczego to mnie wybrał. Zastanawiałam się nad tym setki, tysiące razy podczas tych wszystkich lat. Mógł mieć, kogo tylko chciał, arystokratki, spadkobierczynie olbrzymich majątków, ale wybrał mnie. Kiedy nas przedstawiono, byłam zaręczona z pewnym księciem z Florencji, ale Arnaldo nawet się nie zorientował. Zaczął mnie adorować, zasypując różami, listami, wiadomościami, zachowywał się jak szalony. Potem widywałam go jeszcze w takim stanie, taki już był. Kiedy czegoś chciał, czegokolwiek, nie sypiał, nie żył, dopóki tego nie dostał. Tak też zachowywał się w stosunku do mnie.

Ricciardi słuchał w skupieniu. Szukał w słowach Livii ziarna zemsty, ale go nie znajdował.

– Nie czuła pani żalu albo złości z powodu takiego życia? Nie czuje się pani okradziona z czegoś, co do niej należało?

Kobieta zorientowała się, że patrzy w te zielone oczy. Zatopiła się w nich na dłuższą chwilę. Ujrzała tam cierpienie, rozpoznała je.

– Pan kogoś utracił, komisarzu? Czy stracił pan kiedyś kogoś kochanego?

Ricciardi zamilkł na chwilę i zobaczył mężczyznę z San Martino, z żółtawą pianą na ustach. Rękami obejmował brzuch i ciągle powtarzał: *Bez ciebie nie ma życia*, podczas gdy powieszona kobieta zapytywała: *Dlaczego?*

– Powiedzmy, że znam to uczucie, widziałem wiele przypadków podczas mojej pracy i wiem, czym jest ta strata.

– Skoro pan wie, to z pewnością wie pan również, że zaczyna stale nam towarzyszyć. Człowiek się przyzwyczaja, jeśli udało mu się przeżyć. Ja się przyzwyczaiłam. Sześć lat temu urodziłam syna. Wydawało mi się, że odkryłam radość życia i utraconą miłość. Ale nie było mi to pisane. Ten sam Bóg, który skazał mnie na dożywotnie więzienie, odebrał mi radość, którą od niego właśnie otrzymałam. Lepiej być niewidomym od urodzenia czy stać się nim? Nie znać kolorów czy przynajmniej móc je pamiętać? Zapytywałam się o to tysiące razy. Przez te wszystkie lata te same pytania.

– Co się stało dziecku?

– Umarło po roku na dyfteryt. Arnaldo mi tego nie wybaczył, jak gdybym to ja je zabiła. „Nie nadajesz się nawet na matkę”, powiedział. Syn był mu potrzebny, tak jak żona, a może nawet bardziej. Sukcesja i w dodatku ciągłość rodu. No i dowód męskości, znaczenie nasienia ofiarowanego partii, ojczyźnie. Co za głupoty! Nie uważa pan, że to głupie? A może jest pan z tych, którzy wierzą w te rzeczy?

– Nie, nie jestem. A potem? Co się stało potem? Nie zbliżyliście się już do siebie?

Livia westchnęła, przesuwając dłoń po ściągniętych włosach.

– Nie. Ale nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. W każdym razie jeśli dziecko łączy, to jego utrata może definitywnie rozdzielić. Zakładając, że nasze małżeństwo kiedykolwiek istniało.

Zamilkła, podążając za jakąś myślą. Potem zwróciła się do Ricciardiego.

– Widział pan kiedyś ducha, komisarzu?

– Kto wie. Może, czasami. Ale może wszyscy je widzimy.

– Ja żyję z duchem mojego synka. Jest ze mną, rozmawiam z nim. Czasami wydaje mi się, że go widzę, czuję go w moich ramionach, czuję jego ciężar.

– A pani mąż? Co stało się później?

– Ostatecznie poszedł swoją drogą. Nawet nie starał się zachować pozorów. Widywali się przy oficjalnych okazjach, kilka razy byłam na jego występach. On miał swoje życie, a ja swoje. Bez żalu, już nie.

Ricciardi zmarszczył brwi.

– Każde miało własne życie?

Livia dumnie uniosła głowę.

– Jestem kobietą śmiertelnie zranioną, ale jeszcze żywą. Chciałam poczuć się doceniana, sprawdzić, czy mogę jeszcze otrzymać bukiet róż, list miłosny. A zresztą dlaczego miałabym pozostać wierna? Komu? Człowiekowi, który miesiącami nie pojawiał się w domu? Który nie wahał się mnie poniżyć, pokazując się publicznie z innymi kobietami? Powinien był pan zobaczyć te współczujące twarze naszych przyjaciół, naszych ważnych znajomych. Może po cichu liczyłam na to, że jego też zranię.

– Proszę mi darować. Nie chciałem pani obrazić. Pytałem tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy ktoś mógł chcieć się pozbyć pani męża. Być może po to, żeby łatwiej do pani dotrzeć.

– Nie, komisarzu. Od miesięcy z nikim nie utrzymuję już żadnych znajomości. Może to pan łatwo sprawdzić. Spędziłam cały tydzień w Pesaro, u moich rodziców. Sama. Jak zwykle.

Żegnając się z Ricciardim, zanim opuściła woalkę, Livia niespodziewanie odwróciła się i uśmiechnęła. Jej uśmiech był świetlisty i piękny.

– Zatrzymałam się w Excelsiorze, komisarzu. Jeśli będzie mnie pan potrzebował albo chciał czegoś więcej się dowiedzieć, proszę po mnie posłać. W każdym razie jutro rano będę tu, żeby pojechać do szpitala na rozpoznanie.

XXI

Ricciardi zobaczył, że Maione jeszcze nie poszedł; poprosił go zatem, żeby odprowadził Livię do hotelu. Poleciał mu także sprawdzić w kwesturze w Pesaro, czy kobieta cały czas tam przebywała i czy rzeczywiście była sama.

Potem postanowił wrócić do domu. Było zimno.

Idąc przez miasto, starał się uporządkować wszystkie elementy pozyskane podczas długiego dnia przesłuchań. Czuł znajomy dyskomfort, kiedy to zapomina się coś zrobić albo coś się gubi lub nie bierze pod uwagę jednego aspektu jakiejś sprawy. Ktoś powiedział coś niezwykle ważnego, a on nie zdołał tego wychwycić i wykorzystać. Ale kto? I co?

Wiatr przybrał na sile. Na pustej ulicy jedynymi dźwiękami były obluźowane żaluzje, stukot końskich podków na szerokich kamieniach i wycie w bramach. Niania przygotowała kolację i czekała na niego, szyjąc coś dla jakiegoś dalekiego krewnego w Fortino. Kiedy zobaczyła Ricciardiego, jak zwykle zaczęła głośno wyrażać swój niepokój.

– Coś nowego, tak? Jakieś zabójstwo? Od razu widać, zmienia się panu twarz. To jakaś obsesja. Kiedy jest praca, to się pracuje. Ale kiedy ktoś siedzi we własnym domu, powinien myśleć o swoich własnych sprawach, a pan nie, ciągle tylko o tych zabitych nieboszczykach, krwi i nożach. Dlaczego nie pomyśli pan o założeniu rodziny? Wprowadzają nowy podatek, będą go płacić ci, którzy nie mają żony. I co wtedy, zapłaci pan? Czego panu brakuje? Mógłby pan wziąć sobie najpiękniejszą kobietę z Neapolu, jest pan przystojny i bogaty. No i jeszcze młody. Myśli pan, że zawsze będzie młody? Mnie to się wydaje, jakby to było wczoraj, dopiero co byłam ładną dziewczyną, a teraz już stare próchno ze mnie. A całe życie spędziłam u czyjego boku? Ano obok takiego, co to nie chce mieć dzieci! Nawet odrobiny satysfakcji dla mnie starej. Do tego trzeba odwagi!

Ricciardi, odprężony złożonym z narzekań tłem dźwiękowym autorstwa niani Rosy, nie przestawał jeść i rozmyślać. Nakreślił osobowość Vezziego, co do tego nie miał wątpliwości. Człowiek ponury, straszny, kondensacja tego najgorszego, co mogło zmieścić się w jednym człowieku. Obdarzony niezwykłym talentem i emanującym od niego urokiem. Ale na kim ćwiczył ten wdzięk? Na osobach ze środowiska, z którego praktycznie nie wychodził. A jednak miał piękną i na początku zakochaną w nim żonę. Jak to możliwe, że nie rozumiał dramatu kobiety, która straciła swoje dziecko? Była piękna, naprawdę piękna, co do tego nie miał wątpliwości. On też, zazwyczaj niezwracający większej uwagi na te rzeczy, tym razem się zorientował. Livia miała w sobie coś z kota. I nie było to nic łagodnego.

– Kobieta spokojna, pogodna. Taka, że kiedy ja umrę, co mi się widzi, że niedługo nastąpi, bo tak mnie te biedne kości bolą, będzie mogła zająć się panem. Tylko ja wiem, ile się trzeba napracować, żeby utrzymać ten dom. Bez przerwy pranie, prasowanie, wieszanie, przyszywanie guzików, co je pan ciągle gubi. No i kolację trzeba przygotować, a i tak wystygnie, bo nigdy nie przychodzi pan wcześniej wieczorami. Co to za życie?

Czy można posunąć się do morderstwa z powodu kobiety? Widział już takie rzeczy w przypadku kobiet, które nie miały oczu Livii i nie pachniały tak jak ona. Kto mógł wejść do korytarza prowadzącego do garderób podczas przedstawienia? Ktoś z zewnątrz przyciągnąłby od razu uwagę wszystkich, ale ktoś stamtąd, z teatru, pozostałby niezauważony. Wejść i wyjść z garderoby. Ale jak? Ricciardi ucałował Rosę w czoło i poszedł do pokoju.

Poruszone wiatrem morze wyło, roztrzaskując się o skały. Z okna pokoju na trzecim piętrze hotelu Excelsior widać było wysokie fontanny szarej w nocy piany i tańczące na falach łodzie rybaków, zacumowane daleko od brzegu. W mroku swego pokoju Livia paliła, obserwując krajobraz ożywiany przez burzę.

Nie musiała siedzieć sama. Marelli, impresario Arnalda, zaprosił ją na kolację. Wspomniał, że teraz mogłaby wrócić do śpiewania, że nazwisko Vezziego nie stanowi już przeszkody, wręcz przeciwnie, jest świetną

reklamą. Powiedział, że nie ma już bariery w postaci cienia wielkiego tenora. Teraz już nie. Słowo klucz brzmiało „teraz”. Teraz była wolna.

Ale czy czuła się wolna? Czy będzie widywać kolejnego ducha? Czuć jego oddech i dłonie. Głos Arnalda. Człowieka, jakim był na początku i jakim stał się na koniec. Może nie mogło się skończyć inaczej w przypadku takiej osoby jak on? Bała się zobaczyć jego zwłoki, bo mogło się okazać, że to wcale nie on.

Nie wiedziała, dlaczego rozmawiała o tym z komisarzem. Od tak dawna, pomyślała, zaciągając się, z nikim nie rozmawiała. Nawet z rodzicami, zawsze pomocnymi i oddanymi, którzy od śmierci Carletta nazywali ją „biedną Livią”. Z nimi od lat już nie rozmawiała o Arnaldzie. Nawet o niego nie pytali, z pewnością wyczuli wszystko. A tu, przed nieznanym, w tak ciężkiej chwili, wyznała własne uczucia, te najgłębiej ukryte.

Livia pomyślała o tym, co wyczuła w Ricciardim: przyzwyczajenie do cierpienia. Cierpienia innych, które stało się jego własnym i zarazem permanentnym stanem duszy. Nie starała się ukryć przed sobą, że ten zimny, mrukliwy mężczyzna ją pociąga. Nie przyjęła zaproszenia Marellego na kolację, skorzysta innym razem. Jej kariera tyle czekała, że może poczekać jeszcze jeden wieczór.

W ciemności ponownie pomyślała o tych zielonych oczach. Na zewnątrz słychać było lament wiatru i morza.

W ciepłej, oświetlonej kuchni Enrica sprzątała po kolacji zjedzonej razem z rodziną. W pomieszczeniu panował normalny o tej porze nieporządek, jak gdyby przemaszerował tędy batalion wygłodniałych lancknechtów.

Z innych pokoi dobiegały krzyki rodzeństwa, płacz siostrzeńca, dyskusja rodziców i siostry ze szwagrem. Enrica nawet lubiła te wieczorne porządki. Wyrażał się w nich jej przyjazny i uparty charakter. Wszystko na swoim miejscu, uporządkowane cierpliwie i z determinacją.

Nie chciała, żeby jej pomagano, i uprzejmie odrzucała propozycje chorej na artretyzm matki i młodszej siostry, zajętej dzieckiem. Wystarczyło, że nikt jej nie pogania i nie wchodzi do kuchni. To było jej małe królestwo. Cała

Enrica. Spokojna, uśmiechnięta, cicha i konsekwentna. Nie odwracając się, rzuciła okiem w stronę okna. Jeszcze nic.

Tego wieczoru głosy dorosłych były dość podniesione. Polityka, pomyślała. Ciągłe polityka. W miarę upływu lat reżim się umacniał, a poglądy ludzi coraz bardziej się różniły. Ojciec Enriki, liberał, był przekonany, że stopniowo tracą wolność, że coraz trudniej tym, którzy mają odmienne niż większość zdanie, wyrazić opinię, nie posuwając się do aktów przemocy. Uważał, że gospodarka wyhamowała i zaczynała kuleć, o czym świadczyło to, że córka i zięć z dzieckiem zmuszeni byli mieszkać u nich zamiast we własnym mieszkaniu.

Szwagier Enriki, sprzedawca w sklepie teścia, entuzjastyczny członek partii faszystowskiej, odpowiadał jednak, że takie gadanie jest czystym defetyzmem. Trzeba ufać wyborom Duce i jego ludzi, którzy działali na rzecz dobra ojczyzny. Trzeba być gotowym do pewnych poświęceń, żeby w przyszłości stać się numerem jeden na świecie. Bo to właśnie było pisane Włochom już od czasów rzymskich. Mieli dominować dla dobra ludzkości, czuć się dumni, że są Włochami, i z ufnością akceptować wyrzeczenia. Kiedy się to spełni, nadejdzie pomyślność i dobrobyt.

Enrica nie znosiła tych kłótni, wierzyła jednak, że mężczyźni się lubią i że nawet tę dzisiejszą dyskusję zakończy kieliszek koniaku wypity przy radioodbiorniku. Ona sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Wydawało jej się, że ojciec ma rację, ale czuła, że to nie czyni go szczęśliwym. Zerknęła przez okno. Nadal nic.

Rozumiała, że jest powodem zmartwień rodziców. Wyczuwała to coraz częściej po pieszczotach matki, westchnieniach ojca. Młodsza siostra wyszła za mąż rok temu, po pięcioletnim narzeczeństwie. Enrica od dawna odrzucała zaproszenia koleżanek, które w sobotnie wieczory chciały zabrać ją na tańce. Nie była ładna. Wysoka, w okularach krótkowidza, o dość niezgrabnych ruchach i zbyt długich nogach. Za to przepięknie się uśmiechała, przechylając głowę na bok i spuszczać wzrok. Paru chłopców pytało o nią siostrę i koleżanki. Grzecznie, cichym, acz stanowczym tonem, odrzucała zaproszenia, nikogo nie obrażając. Lubiła czytać i haftować. I słuchać

muzyki w radiu, takiej romantycznej, która skłania do marzeń. Czasami chodziła do kina, parę miesięcy temu widziała nawet jeden film dźwiękowy. Zachwyciła się i popłakała. Wzruszony ojciec trochę się z niej naśmiewał. Wstawiła talerz do kredensu obok okna. Wyjrzała. Nadal nic.

Prawdę zachowywała dla siebie. Nie chciała nikomu opowiadać, że nie może przecież przyjmować zalotów młodych. Wyśmialiby ją, mówiąc, że jak zwykle jest naiwną marzycielką, że rzeczywistość to coś zupełnie innego. Rzeczywistość zaś była taka, że miała obecnie dwadzieścia cztery lata i nadal żyła sama. Że niepotrzebnie haftowała wyprawę, która, z dużym prawdopodobieństwem, nigdy się jej nie przyda. Że skoro pragnęła rodziny z dziećmi i domem, powinna prowadzić życie towarzyskie i nie tracić czasu.

Ale musiałaby uzupełnić to o inną opowieść. O oknie naprzeciwko i o zasłonach rozsuwających się każdego wieczoru, choć niedokładnie o tej samej godzinie. I o tym zdarzeniu przy wózku handlarza warzywami, kiedy zobaczyła tuż przed sobą najbardziej zdesperowane oczy, jakie widziała w życiu. O tym, jak co wieczór czuje ten wzrok na sobie, całymi godzinami, zimą poprzez szybę i bez żadnych barier latem, kiedy zapach morza dociera aż do Santa Teresa, przynoszony przez ciepły wiatr z południa. No i o tym, że owo spojrzenie skrywało wszystko: obietnicę, marzenie, nawet gorący uścisk.

Impulsywnie odwróciła się w stronę okna. Zasłony w mieszkaniu naprzeciwko były odsunięte. Czerwieniąc się, Enrica cicho szepnęła:

– Dobry wieczór, kochany.

Ricciardi obserwował, jak Enrica robi porządki. Napawał się jej powolnymi, metodycznymi, dokładnymi ruchami. Był pewien, że nie jest daleko od rozwiązania, albo przynajmniej od drogi, która go do niego zaprowadzi. Jedno zdanie, jedno jedyne zdanie, które usłyszał, które zachował w pamięci. A teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Enrica uważnie wkładała talerze do zlewu, od najmniejszego do największego.

A może tak uporządkujmy informacje: od najmniejszej do największej. Te ważne dobrze pamiętał, nie ma potrzeby zastanawiać się nad nimi. Pomyślmy

o tych pozornie nieważnych.

Enrica wycierała ścierką stół.

Wyczyścimy dokładnie rzeczy, które zostały powiedziane. Z kim rozmawiałem jako pierwszym?

Enrica ustawiała krzesła wokół kuchennego stołu.

Don Pierino, który opowiedział mi treść oper.

Enrica składała obrus po uprzednim strzepnięciu.

Ksiądz mówił mu także o Vezzim, o jego talencie. Nawet głos mu drżał.

Enrica zmiatała okruszki z podłogi.

Pamiętał wzruszenie don Pierina, choć proboszcz nie był na próbie generalnej, ale dokładnie o tym wszystkim opowiedział.

Enrica skończyła porządki i rozglądała się zadowolona.

Don Pierino powiedział, że słyszał jego głos na płytach i podczas innych przedstawień. Ale nie tym razem.

Enrica wzięła pudełko z robótką, zaraz przesunie fotel blisko okna i zapali lampę. To była najpiękniejsza chwila dnia dla Ricciardiego. Teraz widział ją, kiedy siedziała, haftując lewą ręką, z lekko pochyloną na bok głową. Ten widok sprawiał, że drżało mu serce.

Don Pierino powiedział mu: „Wczoraj, gdy widziałem go z tak bliska, serce biło mi jak oszalałe”.

W mroku sypialni wydarzyło się coś niezwykłego: ponury komisarz Ricciardi, w szlafroku i siatce na włosach, uśmiechnął się i powiedział cicho:

– Dziękuję. Dobranoc, kochana.

XXII

Po konsekracji don Pierino podniósł hostię. Ten gest, bardziej niż inny, sprawiał, że czuł się wyjątkowo blisko Boga, był łącznikiem pomiędzy Nim a światem ludzi. Był tym, który weźmie kawałeczek raju, aby dać go wiernym. Dlatego właśnie został księdzem.

Uklękawszy przed ołtarzem, położył głowę na białym płótnie przykrywającym marmur. Na zewnątrz wiatr wykrzykiwał swoje żale, zdawał się głosem jakiegoś stworzenia.

Podnosząc się, don Pierino zobaczył w półmroku, jaki o siódmej spowijał kościół, znajomą sylwetkę w głębi świątyni.

Mężczyzna stał z gołą głową, ale nie miał w rękę żadnego kapelusza. Trzymał ręce w kieszeni płaszcza, lekko ugiął nogi, a kosmyk włosów opadł mu na twarz. Po zdjęciu szat liturgicznych don Pierino spotkał go w drzwiach zakrystii.

– Komisarzu, cóż to za dobry wiatr pana tu przywiał?

Ricciardi skrzywił się.

– Taki radosny ksiądz już od samego rana? Dobrze śniadanie czy pokrzepienie wiary?

– Oczywiście, że wiary, jeszcze nie jadłem śniadania. Zechce pan zjeść ze mną? Mleko i kawa w zakrystii?

– Kawa i ciastka, ale w Gambrinusie naprzeciwno. Ja zapraszam.

– To oczywiste, że pan, ja składałem przecież śluby ubóstwa.

Na zewnątrz miasto już się obudziło. Grupa robotników, ubranych jak do pracy, czekała na odjazd trolejbusu do stalowni w Bagnoli. Kilka uczennic w czarnych fartuszkach i pelerynach szło w stronę internatu na placu Dantego. Dorożki i taksówki zaczynały napływać na plac del Plebiscito, czekając tu na ludzi interesu, którzy już niedługo wylegną na ulice. Murarze,

w trzy- lub czteroosobowych grupach, szli w stronę morza, gdzie właśnie kładziono asfalt.

– Niepokoję z samego rana, bo muszę o coś zapytać. Wczoraj powiedział mi ksiądz, że tym razem nie słyszał, jak śpiewa Vezzi, czy tak?

– Oczywiście, komisarzu. Kiedy występował, podczas prób zamykano wszystkie drzwi. Zresztą brał udział tylko w próbie generalnej. A potem, tamtego wieczoru, jak sam pan wie, nie zdążył już zaśpiewać.

Ricciardi nachylił się nad stolikiem.

– Ale powiedział ksiądz, to pamiętam, że zobaczył go z bliska i że to zrobiło na księdzu wielkie wrażenie. Coś źle zrozumiałem?

Don Pierino westchnął smutno.

– Nie, dobrze pan zrozumiał, komisarzu. Tak sobie myślę, że to chyba ja byłem jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego, oczywiście nie licząc mordercy.

– Jak to się stało? Bardzo księdza proszę, to niezwykle ważne, proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

– To proste. Stałem w tej słynnej wnęce na górze schodów prowadzących od bocznego wejścia do garderób. Musiałem nieświadomie się cofnąć, tam nie ma zbyt dużo miejsca, proszę mi wierzyć. No i zatarasowałem wejście. Poczułem wtedy popchnięcie, dość mocne, aż się zachwiałem. Odwracam się i widzę tego ogromnego, wysokiego mężczyznę, który mówi: „Przepraszam”, na co odpowiadam: „To ja przepraszam”, czy coś takiego. Jak panu wiadomo, nie powinienem tam stać. Potem zobaczyłem, jak ten mężczyzna wchodzi do garderoby Vezziego.

Maksymalnie skoncentrowany Ricciardi nawet nie mrugnął.

– Jak on wyglądał, pamięta ksiądz? Jak był ubrany, po czym go ksiądz rozpoznał?

Don Pierino usiłował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły.

– Miał płaszcz, czarny płaszcz, długi, biały wełniany szalik, który zasłaniał mu prawie całą twarz. Na głowie czarny kapelusz z szerokim rondem, nasunięty na oczy. Twarzy nie widziałem, ale to na pewno był Vezzi,

w przeciwnym razie dlaczego wchodziłby do tej garderoby?

No właśnie, pomyślał Ricciardi, dlaczego?

Najpierw poczuł zapach. Ricciardi podniósł głowę znad pisanego właśnie raportu, uderzony ostrym, charakterystycznym, egzotycznym, korzennym zapachem. Sekundę potem, zanim jeszcze skojarzył zapach z osobą, Maione pojawił się w drzwiach gabinetu.

– Komisarzu, przyszła pani Vezzi.

Ricciardi poprosił, żeby ją wprowadził, i po chwili Livia weszła do pokoju. Była ubrana w skromny czarny kostium, ze spódnicą do połowy łydki, opinającą jej kształną sylwetkę. Zapięty pod szyją żakiet krył okazałą, ale nie ciężką pierś. Przez rękę miała przewieszony płaszcz z futrzanym kołnierzem, z drugiego ramienia zwisała torba z długim paskiem. Na głowie lekko przekrzywiony kapelusz z podniesioną woalką. Po Livii nie widać było śladów nocy, podczas której, jak przypuszczał Ricciardi, raczej nie wypoczęła. Wielkie czarne oczy spoglądały na niego żywo i czujnie, a lekki makijaż łagodził wyraz twarzy. Wargi Livii były nieznacznie rozchylone.

– Tak pana tu zostawiłam i tak zastaję, komisarzu. Nie ruszył się pan stąd przez całą noc?

Maione, który stał jeszcze w drzwiach, lekko uniósł brew.

– Fizycznie tak, ale tylko fizycznie. Jak samopoczucie? Czuje się pani na siłach?

– Oczywiście, panie komisarzu, dlatego przyszłam, mimo że to niełatwe.

Ricciardi polecił Maionemu przygotować jeden z trzech samochodów kwestury i uprzedzić doktora Modo, że jadą do szpitala na identyfikację.

Krótką podróż minęła w ciszy. Maione prowadził, co nie przychodziło całkiem łatwo. W samochodzie słychać było tylko jego przekleństwa rzucane pod adresem nieprzewidzianych przeszkód na drodze.

Livia opuściła woalkę i oddychała powoli. Czuła u swego boku obecność Ricciardiego, którego napięcie było wyraźnie widoczne. Komisarz zastanawiał się nad informacją otrzymaną przed chwilą od don Pierina. Było

jasne, że człowiek, który potrafił księdza, nie był Vezzim. Po pierwsze, o tej porze tenor już nie żył, a po drugie, z pewnością umalowały się wcześniej, a tymczasem szal był czysty. To po co tam znowu wchodził? Po ucieczce przez okno powinien był rozpuścić się w mroku, zamiast ryzykować, że ktoś go zobaczy. Jak mógł być pewny, że w międzyczasie nikt nie odkryje trupa? Jeszcze przed nim wiele zagadek. Ale Ricciardi był przekonany, że zdobył ważny punkt w rozgrywce z mordercą.

W szpitalnej kostnicy spotkali doktora Modo w białym fartuchu. Lekarz złożył kondolencje Livii, wyraźnie pod wrażeniem jej posągowej urody.

– Dziękuję, doktorze. Chciałabym odpowiedzieć, że czuję nieutulony ból, ale jedyne, co odczuwam, to odrobina żalu, melancholia, trochę nostalgii za przeszłością. Żadnego bólu.

– Przykro mi, bardzo mi przykro. Nie ma nic smutniejszego, niż umrzeć, nie pozostawiając po sobie bólu.

Ricciardi przysłuchiwał się im, stojąc obok. Myślał o łzach spływających po twarzy Pajaca, żłobiących dwa ślady na umalowanych policzkach. Widział jego lekko ugięte nogi, słyszał słowa ostatniej arii. Ileż w nich było cierpienia, bólu z powodu straty, cierpienia człowieka, który zostaje okradziony z lat, jakie miał jeszcze przed sobą.

Pielęgniarz przywiózł ciało przykryte białym prześcieradłem. Livia i Ricciardi stanęli z jednej strony, a Modo z drugiej. Lekarz odchylił prześcieradło z manekina, który kiedyś był człowiekiem. Wszyscy troje w milczeniu przyglądali się woskowej twarzy. Wzrok ich pobiegł do małej opuchlizny na policzku, wielkości monety, do cięcia z prawej strony szyi. Powieki i usta były przymknięte, jak gdyby zwłoki odczuwały jakąś przyjemność, jak gdyby słyszały sobie tylko znaną muzykę. Podczas autopsji przecięto, a następnie zszyto szyję na samym środku.

– To on – wyszeptła Livia, ściskając ręce, aż stały się prawie białe. Ricciardi wyjął dłoń z kieszeni płaszcza i objął kobietę, która oparła się na nim, żeby nie upaść.

– Przepraszam – powiedziała – myślałam, że jestem na to przygotowana. Ale widać nie można się przygotować.

Lekarz westchnął, taka sytuacja nie była dla niego niczym nowym. Ponownie przykrył zwłoki i dał znać pielęgniarzowi, żeby poczekał na niego gdzie indziej. Wózek z ciałem odjechał i nikt już nie zobaczył więcej ciała Arnalda Vezziego.

W salce obok lekarz poczęstował Livię papierosem. Zapaliła go drżącymi rękami.

– Co za absurd, taka sława, tyle marzeń. Magia nadzwyczajnego głosu. Arogancki, wszechmogący, a teraz taki cichy...

Doktor Modo westchnął. – Tak jest zawsze, niezależnie od tego, kim był zmarły. Ta sama godność, ta sama cisza. Milczą i ci polegli na wojnie, i zmarli w wyniku choroby. Ilekolwiek osób by tu było, i tak wszyscy są samotni i niemi.

Ricciardi słuchał i rozmyślał. Cisza, doktorze? Nie ma pan pojęcia, ile jeszcze mają do powiedzenia. Śpiewają, śmieją się. Mówią. Krzyczą. Tylko że pan ich nie słyszy. To kwestia ucha, wydają dźwięk, którego pan nie słyszy. A ja słyszę. I to jak.

Livia podziękowała lekarzowi, on zapewnił, że pozostaje do jej dyspozycji, gdyby czegokolwiek potrzebowała. Odebranie ciała, pogrzeb, tym zajmie się Marelli, impresario. I tak dalej, i tak dalej. Przemysłana logistyka śmierci.

Podróż powrotna minęła w innej atmosferze. Livia najwyraźniej podniosła się na duchu. Zdawała sobie sprawę, że pewien ważny rozdział w jej życiu właśnie został zamknięty. W tym mieście, które nie było jej miastem, szarpana dziwnym o tej porze roku zimnym wiatrem, być może odnalazła wolność, której poszukiwała od lat. Także twarz Arnalda, pokaleczona przez śmierć, nie była już złowroga. Livia myślała, że z czasem zacznie przypominać sobie tę garstkę miłych rzeczy, piękne chwile, kiedy się poznali, i pierwsze lata małżeństwa.

– Wierzy pan w przeznaczenie, komisarzu?

– Nie, nie wierzę. Wierzę w ludzi i w ich uczucia. W miłość, w nienawiść, zwłaszcza w cierpienie.

Livia przyglądała się jego ostremu profilowi, niesfornym włosom na czole. Wyczuwała dystans, jak gdyby mówił z innego świata lub w innym czasie.

Maione prowadził w milczeniu, nawet nie przeklinając bosonogich chłopaków, którzy przebiegali ulicę w pogoni za piłką ze szmat i gazet, popychaną przez wiatr. Obserwował w lusterku komisarza, zdziwiony jego słowami. Nigdy nie słyszał u niego takiego tonu.

Kobieta ponownie się odezwała.

– I co teraz? Według pana ile razy mamy szansę zbudować sobie jakieś szczęście w życiu?

– Tyle razy, ile pani zapragnie. Może nigdy. Ale złudzenia jak najbardziej. Także codziennie, w każdej chwili. Tylko złudzenia.

Livia zrozumiała, że myślami Ricciardi nie był teraz z nimi, krążył gdzie indziej. Dlatego milczała do samej kwestury.

Po przyjeździe Maione zapytał, czy może odwieźć ją do hotelu. Kobieta odpowiedziała, że mimo wiatru woli się przejść, potrzebowała powietrza. Nachyliła się do Ricciardiego.

– Komisarzu, na razie zostaję w mieście. Nie czuję się na siłach wracać teraz do domu, zaczekam na zakończenie śledztwa, jeśli nie potrwa to zbyt długo. Zna pan mój adres tutaj. Gdybym była potrzebna, wie pan, gdzie mnie szukać.

– Oczywiście, będę o tym pamiętał, może pani być pewna.

Ponownie aluzja trafiła w próżnię. Livia pomyślała o tych wielu razach, kiedy uśmiech lub jedno słowo wystarczyły, aby rozpocząć uwodzenie. Nie wiedziała, dlaczego te oczy, ten głos wprawiają ją w takie zakłopotanie, i nie wiedziała, jak dać Ricciardiemu do zrozumienia, że chciałyby ponownie go spotkać, żeby porozmawiać o czymś innym niż morderstwo jej męża.

Postanowiła wyrażać się jaśniej.

– Czy coś nie tak, komisarzu? My tylko rozmawiamy, słowami i spojrzeniami. Dlaczego z panem nie jest tak jak z innymi? Może nie jest pan zdolny do uczuć?

Maione, kilka metrów dalej, zaczął kasłać. Ricciardi skrzywił się.

– Może i tak, żyłoby mi się lepiej. Ale pani nosi swój ból i musi poszukać innego portu, który uchroni ją przed burzą.

Livia patrzyła na niego. Wiatr poruszał lekko woalką pod eleganckim kapeluszem. Czarne, głębokie oczy zaszyły łzami, których nie wywołał widok martwego męża. Odwróciła się i odeszła.

XXIII

Kiedy weszli do biura, Ricciardi powiedział Maionemu, że musi porozmawiać z don Pierinem, dyrektorem teatru i z Bassim. Pierwszy pojawił się sekretarz, wyraźnie zaniepokojony.

– Dzień dobry, komisarzu. Proszę wybaczyć, ale zaczynam się już gubić przez te ciągle pańskie wezwania. Powiedziałem wszystko, co wiem. Czego jeszcze pan ode mnie chce?

– Czyżby pan coś ukrywał? Jeśli tak, to radzę powiedzieć, a jeżeli nie, to wystarczy odpowiadać szczerze na nasze pytania za każdym razem, kiedy będziemy tego potrzebowali, i niczego się nie obawiać.

Mężczyzna pochylił się i odetchnął z ulgą.

– Zgoda, zgoda. Nie mam nic do ukrycia. Co chcecie wiedzieć?

– Porozmawiajmy o Bożym Narodzeniu. I o podróży do Neapolu koło dwudziestego grudnia. Chcę poznać trasę Vezziogo w tych dniach, a przynajmniej tę jej część, która jest panu znana.

– A zatem: wyjechaliśmy z Mediolanu rano dwudziestego grudnia i byliśmy tu wieczorem. Razem z nami podróżował pan Marelli, impresario. Mieliśmy wyjechać dwudziestego pierwszego wieczorem, trzeba było tylko uzgodnić zapisy kontraktu, przejrzeć szkice sceniczne, zdjąć miarę na kostiumy, takie sprawy. Ale wyjechaliśmy dopiero dwudziestego trzeciego wieczorem, o mało nie spędziliśmy świąt w Neapolu. Pamiętam, że dwa razy zmieniałem rezerwację biletów.

Ricciardi słuchał uważnie.

– Skąd te zmiany?

– Nie mam pojęcia. Maestro tak chciał. Jak zwykle nie tłumaczył się, my musieliśmy przyjąć wszystko do wiadomości i się dostosować.

– Czy to z powodu teatru? Coś w związku z orkiestrą, sceną...

Bassi zaśmiał się nerwowo i poprawił okulary na nosie.

– Jaki tam teatr! Przyszedł tylko rano dwudziestego pierwszego grudnia. Rzucił okiem na szkice, zamienił dwa słowa z dyrektorem, dał sobie zdjąć miarę i zniknął na trzy dni. Proszę mi wierzyć, komisarzu, teatr nie ma z tym nic wspólnego. Chodziło o coś innego. Według mnie o sprawy sercowe. Oczywiście nie mam żadnych dowodów.

– A dokąd chodził?

– Nie wiem. Wieczorami wracał do hotelu bardzo późno i szedł spać, nawet się z nami nie żegnając, jak to miał w zwyczaju. Pan Marelli i ja spędziliśmy dwa dni, grając w karty w sali Vesuvio.

Bassi nie miał już nic więcej do powiedzenia i wyszedł. Ricciardi był pogrążony w rozmyślaniach, kiedy Maione przerwał milczenie.

– Mogę sprawdzić na stacji zmiany rezerwacji i trasę tej całej trójki. Dyrektora jeszcze nie ma, może chce pokazać, jaki jest ważny? Dam panu znać, kiedy przyjdzie.

– Oczywiście, możesz iść.

Brygadier zawahał się chwilę, z ręką na klamce.

– Jeśli pan pozwoli, komisarzu... chciałem coś powiedzieć.

– Mów, o co chodzi?

– Pracuję z panem już od trzech lat. Sam pan wie, od kiedy Luca... mój syn... no, w każdym razie przywiązałem się do pana przez ten czas. To prawda, że nikt nie chce z panem pracować, mówią nawet, że nie zachowuje się pan jak człowiek. Rzadko się pan odzywa, milczy i dużo pracuje, nie ustając, dopóki nie odkryje pan sprawcy. Ale mnie się to podoba, lubię taki sposób pracy, dlatego właśnie nasza praca tak różni się od innych.

– No i?

Maione zawahał się, ale postanowił skończyć przemowę, którą sobie przygotował.

– No i nikt bardziej ode mnie pana nie szanuje i nie wie, że poświęca pan tej pracy całe serce i wszystkie siły. Ale... jest pan po trzydziestce, mógłby być moim synem. Ja syna straciłem i czasami tak patrzę na pana i myślę

sobie, że jest pan dobrym człowiekiem tak w środku, naprawdę, dobrym jak anioł. Czuję to. Ale jest pan sam, komisarzu. A samemu się umiera. Gdybym nie miał żony i dzieci, to ostatnimi czasy umarłbym chyba ze sto razy. Nasz zawód powoli się rozlewa jak woda w piwnicy, wypełniając całe nasze życie. A to błąd.

Ricciardi słuchał w milczeniu. Mógłby zwrócić uwagę Maionemu na zbytnią poufałość, ale wzruszało go olbrzymie zakłopotanie brygadiera. Był czerwony na twarzy, szurał nogą o ziemię, wykręcał splecione dłonie. Postanowił, że pozwoli mu dalej mówić.

– Czasami rozmawiam o tym z żoną. Ona pana zna, pamięta z pogrzebu. No i, powiedzmy sobie szczerze, dla człowieka takiego jak pan samotność to grzech. Ciągłe tylko praca. Czasami myślałem, że są przecież tacy mężczyźni, którym nie podobają się kobiety, nie interesują się nimi. Myślałem sobie, że pan, komisarzu, za pozwoleniem, należy do takich mężczyzn właśnie. Ale dzisiaj, po wizycie tej pani, Boże drogi, jakaż ona jest piękna! Co z tego, że jej mąż dopiero co umarł, skoro sami słyszymy od wszystkich, jaki to był łajdak! No więc mówię do pana jak ojciec do syna: może mi pan powiedzieć: „Maione, jak śmiesz, zajmij się swoimi sprawami”. Ale jeśli bym tego teraz nie powiedział, to cały czas miałbym to na sumieniu. Niechże pan weźmie pół dnia wolnego i zaprosi ją na obiad!

Odetchnął z ulgą, jak ktoś, kto pozbywa się ciężaru. Ricciardi wstał z fotela, podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu jak tego dnia, kiedy powiedział, że syn umierał z jego imieniem na ustach.

– Ależ ja jestem ci wdzięczny. Wiem, że się do mnie przywiązałeś i ja do ciebie też. Wybacz, jeśli czasami bywam obcesowy, mam trudny charakter. Ale uwierz mi, mnie jest tak dobrze. I pozdrów ode mnie żonę.

Maione uśmiechnął się i wyszedł.

Dyrektor Spinelli był niezwykle poruszony. Wpadł niczym burza do gabinetu i zatrzymał się.

– Przyszedłem tak szybko, jak tylko mogłem. Dzień dobry, komisarzu, wiemy coś nowego? Myślę, że należy mi się wyjaśnienie co do przebiegu

śledztwa. Zresztą sędzę, że moja pozycja w pełni mnie do tego upoważnia.

Ricciardi jak zwykle zachował się bardziej szorstko, niż to było konieczne. Pomyślał, że to odpowiedni moment, żeby kogoś takiego nauczyć more-su.

– Kiedy będziemy mieli coś nowego, zostanie pan o tym poinformowany. Tymczasem proszę ograniczyć się do odpowiedzi na pytania, które panu zadam.

Kolejny raz obcesowość Ricciardiego uciszyła dyrektora, który przybrał znajomy już obrażony wyraz twarzy.

– Jestem do dyspozycji, panie komisarzu.

– W grudniu ubiegłego roku Vezzi z Bassim i Marellim przyjechali do miasta, żeby omówić szczegóły kontraktu na wystawienie *Pajaców*, czy tak?

– Tak, mamy wszystko na piśmie. Prowadzę bardzo dokładny terminarz, na wypadek, gdybym musiał komuś zreferować swoją pracę na rzecz Królewskiego Teatru. Doskonale to pamiętam. Przyjechali dwudziestego wieczorem, czekaliśmy na nich od rana, ale to żadna nowość w przypadku Vezziego. W teatrze pojawili się dwudziestego pierwszego i zostali przez cały ranek.

– Rozmawiali z panem?

– Przywitałem się ze wszystkimi, to mój obowiązek. Potem zostałem z Marellim, żeby omówić kwestie, nazwijmy to, administracyjne. Vezzi i Bassi rozmawiali z kierownikiem sceny, kostiumografami i reżyserem, oglądając szkice, biorąc miarę i tak dalej. Wyszli od nas w porze obiadowej.

– Pamięta pan coś nietypowego, innego niż zazwyczaj?

– Nie. Pamiętam tylko, że na wieść o jego przyjeździe zgromadził się tłum pracowników, śpiewaków i muzyków, Vezzi był dla nich prawdziwą legendą. Zależało im, żeby go zobaczyć, poprosić o autograf. On zdenerwował się i chciał zostać sam. Spotkał się tylko z tymi trzema wymienionymi przeze mnie wcześniej osobami.

– A potem?

Dyrektor znacząco uniósł brwi.

– Nie usłyszał pan? Wyszli od nas przed pierwszą. Nie chcieli nawet nic

jeść. Nie wiem, kiedy wyjechali.

XXIV

W głowie Ricciardiego rysował się możliwy przebieg zdarzeń. Jeszcze nie można było mówić o faktach, jeszcze uciekało mu zbyt wiele szczegółów, ale miał już jakieś zdanie na temat zrodzonych wtedy uczuć. Tak właśnie pracował: tworzył schemat, mapę napotykanych emocji. Wykorzystywał to, czego dowiadywał się dzięki „Zdarzeniu”, odczuciom przesłuchiwanego, zachwytnemu, przerażeniemu obecnych. Potem starał się zrozumieć duszę ofiary, jej ciemne i jasne strony, także na podstawie tego, co mówili ludzie, którzy ją znali.

Nie analizował słów świadków, z obawy że mógł je źle zapamiętać lub przynajmniej wypaczyć kontekst, w jakim zostały wypowiedziane, i stracić w ten sposób ich sens i znaczenie. Utrwalał za to w pamięci zachowanie, ekspresję, nastroje mówiącego, ujawniające się u niego emocje, zwłaszcza te skryte pod powierzchnią. Jednym słowem, bardziej wyczuwał, niż słuchał.

W zabójstwie Vezziego, w jego zaskoczeniu śmiercią dostrzegł jakiś niepohamowany, jednorazowy impuls. Pojedynczą falę silnej i gwałtownej nienawiści połączonej z destrukcją, którą, wycofując się, pozostawiła na brzegu. Wyczuwał, że Pajac został zaskoczony, gdy śpiewał swoją ostatnią, bolesną arię. Ale instynkt podpowiadał także Ricciardiemu, że słowa i ton tej pieśni pozostawały w sprzeczności: śpiewała ją ofiara, a nie autor zemsty.

Z czasem zrozumiał, że „Zdarzenie” może mu niekiedy utrudniać rozwiązywanie zbrodni. Tak było wtedy, gdy ostatnie słowa zabitej dziewczyny dotyczyły ojca, i na to właśnie nakierowano dochodzenie. Ale ojciec, którego miała na myśli, był księdzem i mordercą, choć nie tym, który skończył w więzieniu. Od tego czasu starał się nadawać słowom wagę, którą mogły mieć, niczego nie wykluczając.

Z powodu tej sprzeczności, dostrzeżonej między słowami a emocjami, zaprosił ponownie don Pierina. Nie wiedział, czy chce porozmawiać ze

znawcą opery, czy ze spowiednikiem, zdolnym zrozumieć ludzi dzięki zastosowaniu kryteriów znacznie różniących się od tych, jakie sam stosował.

Kiedy Maione wprowadził księdza, Ricciardi wstał, żeby się z nim przywitać.

– Dziękuję, że zechciał ksiądz przyjść tak szybko. Musimy porozmawiać.

Kapłan był jak zawsze niezwykle wylewny.

– Drogi komisarzu, już powiedziałem, że to dla mnie przyjemność móc okazać się panu pomocnym. Jak idzie dochodzenie?

– Nieszczególnie, obawiam się. Sądzę, że coś zrozumiałem, ale mam jeszcze kilka ciemnych plam. Proszę mi opowiedzieć o *Pajacach* i o tej postaci, którą grał Vezzi. Canio, tak się nazywa?

Don Pierino poprawił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu.

– Tak, Canio, rozwścieczony Pajac. Jak pan zapewne wie, prawdziwy dramat zazdrości rozgrywa się w *Otelli*. Muzyka Verdiego, libretto Boita oparte na tragedii Szekspira. Maur z Wenecji, pamięta pan, mamy tu do czynienia z crescendo emocji, które prowadzą do uduszenia Desdemony i samobójstwa Otella. W rzeczywistości Desdemona była niewinna. Wszystko zostało zaplanowane przez zdrajcę Jagona. Zarówno w *Pajacach*, jak i w *Rycerskości wieśniaczej* sprawy mają się inaczej. Kobieta jest winna, zdrada istotnie miała miejsce. Taka zdrada między mężczyznami a kobietami jest realna, należy do codziennego życia i, jak mówi w prologu Tonio, może dotknąć każdego. Nie jest to ani dziwne, ani egzotyczne. Nie ma bogactwa, żołnierzy, gondol ani dożów.

Ricciardi słuchał księdza z wielką uwagą.

– A zatem Canio, mimo że gra Pajaca, nie jest z pewnością kimś wesołym.

– Oczywiście, panie komisarzu. Powiem więcej, osobiście uważam, że Canio jest jedną z najsmutniejszych postaci wszystkich oper. Człowiek rozśmieszający zawodowo, który obsesyjnie boi się własnej śmieszności. Przywołany przez Peppe, Arlekina, gra, ale cierpi z zazdrości. I ta zazdrość w końcu doprowadzi go do utraty zmysłów.

– I zabija na scenie żonę i jej kochanka.

– Tak właśnie. Tu też mamy donosiciela, Tonia, tego garbatego Pajaca. Jego ułomność symbolizuje zło i złośliwość. Ale w rzeczywistości mówi prawdę, chociaż z egoistycznych powodów, jako że ma pewne zamiary co do żony Cania. Nedda, Kolombina, ma kochanka. Tu właśnie tkwi piękno libretta, w fikcyjnej scenie z prawdziwą tragedią. Jakby chciał powiedzieć, że życie zawsze siebie odnajdzie, na ulicy, w domach, a także na scenie.

– Czyli Canio zabija Tonia i Neddę?

Don Pierino zaśmiał się.

– Nie! Tonio nie jest kochankiem Neddy. To Silvio, pamięta pan? Już to mówiłem. Młodzieniec z miasteczka, nienależący do trupy. Canio zabija Neddę, a potem Silvia, ponieważ ten wbiega na scenę, żeby pomóc kobiecie.

– Czyli kochanek nie gra z Caniem?

– Nie. To nieznacząca postać, baryton.

– A Canio, kiedy rozumie, że Nedda naprawdę ma kochanka, szaleje z zazdrości.

Zamyślony don Pierino przytaknął.

– Tak, fikcja i rzeczywistość zlewają się w jedno. Canio gra zdradzonego męża i kiedy odkrywa prawdę, zdiera z siebie kostium, śpiewając: *Nie jestem pajacem*, po czym zasztyletowuje żonę.

Ricciardi ponownie ujrzał płaczącego Pajaca, śpiewającego z wyciągniętą ręką, i buchającą z tętnicy krew.

– *Ja zemsty pragnę...*

– *...ta pierś płomieniem pali!* – dokończył za niego don Pierino, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się rozbawiony. – Świetnie, komisarzu! A więc uczy się pan! Bardzo piękny cytat, zwłaszcza tak ad hoc, jako że obie opery wystawia się razem. W rzeczywistości opowiadają tę samą historię i postaci są bardziej podobne, niż można to sobie wyobrazić.

Ricciardi nie rozumiał.

– Jakie postaci, ojcze?

– No, przecież Canio i Alfio! To zdanie, które właśnie pan zacytował!

– To nie Canio, który śpiewa w *Pajacach*?

– Szydź pan ze mnie? Nie, to zdanie Alfia z *Rycerskości wieśniaczej*. On też jest zdradzonym mężem. Śpiewa tę frazę, kiedy ma zejść ze sceny przed intermezzo. W duecie z Santuzzą, która wyjawia mu, że jego żona zdradza go z Turiddu, którego pod koniec opery Alfio zabije w pojedynku. Ale skoro pan nie wie... gdzie pan to słyszał?

Ricciardiemu otworzyła się teraz zupełnie nowa perspektywa, w której znalazło swoje miejsce wiele kawałków łamigłówki.

– Jak ksiądz powiedział wcześniej, baryton...

– Alfio jest barytonem, tak. Musi mieć głęboki głos, żeby uwiarygodnić cierpienie...

– Nie o to mi chodzi – przerwał mu Ricciardi, podnosząc rękę – zdanie, które powiedział ksiądz à propos tego drugiego barytona, Silvia: „nieznacząca postać”. Tak?

Don Pierino był skonfundowany.

– Tak powiedziałem. Ale nie on to mówi, to zacytowane przeze mnie zdanie. Dobrze się pan czuje, komisarzu? Zbladł pan.

– A kto w życiu decyduje, czy ktoś jest znaczący, czy nie? Każdy wiele znaczy dla samego siebie, czyż nie? Ile razy zdarzyło się księdzu podczas spowiedzi usłyszeć uczucia i emocje ludzi „nieznaczących”? Ja od rana do wieczora, każdego dnia, widzę tragedie i udręki takich właśnie ludzi.

Don Pierino zaprotestował.

– Ale ja nie mam na myśli prawdziwych ludzi! Chodzi o przedstawienie. Mnie akurat nie musi pan tego mówić. Nasz Pan pierwszy obwieścił, że wszyscy ludzie są tak samo ważni. A ci dwaj panowie – wskazał dwie fotografie na ścianie – czy jest pan pewny, że w ten sam sposób podchodzą na przykład do zabójstwa Vezziego i jakiegoś woźnicy z Quartieri Spagnoli?

Ricciardiego zaskoczyła żywa reakcja don Pierina.

– Ma ksiądz rację. Nie chciałem tego powiedzieć i proszę przyjąć moje przeprosiny. Rozumiem, co ksiądz mógł sobie pomyśleć, ale naprawdę nie to miałem na myśli. Rzecz w tym, że każdego dnia jestem świadkiem cierpienia,

które jedni celowo zadają drugim. Trudno mi myśleć o miłości inaczej niż jako o głównym motywie przestępstwa, proszę mi uwierzyć, ojcze. Jeśli nie miłość, to głód, a w tym przypadku sytuacja jest łatwiejsza. Głód jest zrozumiały, łatwo do niego dotrzeć, jest bezpośredni, natychmiastowy. Miłość jednak nie, ona chadza swoimi ścieżkami.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę pan tak myśli, komisarzy. Miłość nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią. Miłość porusza ziemię, to miłość ojców rodzin, matek i przede wszystkim Boga. Miłość to miłować tego, kogo się kocha, a nie krew i cierpienie. To nazywa się potępieniem.

Ricciardi zdawał się drżeć pod wpływem jakiegoś wewnętrznego płomienia.

– Potępienie. Dla księdza to tylko jakieś słowo. Niech mi ojciec uwierzy, że potępienie to codzienne postrzeganie cierpienia. Cierpienie innych, które staje się twoje, które płonie w ciele jak po uderzeniu bicia, które pozostawia ci nieogojoną ranę, cały czas krwawi i zakaża krew.

Komisarz teraz szeptał, ledwo poruszając ustami. Pod wpływem tego szeptu przerażony don Pierino instynktownie cofnął się z krzesłem.

– Ja to widzę, rozumie mnie ksiądz? Widzę. Czuję cierpienie zmarłych chwytających się życia, którego już nie mają. Wiem, słyszę szum płynącej krwi. Myśl, która nas porzuca, umysł uczipiony paznokciami ostatniego strzępka uciekającej rzeczywistości. Miłość, mówi ksiądz? Żeby ksiądz wiedział, ile śmierci jest w tej księdza miłości. Ile nienawiści. Człowiek jest niedoskonały, proszę mi pozwolić to sobie powiedzieć. Dobrze o tym wiem.

Don Pierino rozumiał, że Ricciardi mówi poważnie, a nie w przenośni. Co takiego siedziało w duszy tego człowieka? Co skrywały jego zdesperowane, przezroczyte oczy? Proboszczowi było go żal, a jednocześnie czuł do niego odrazę.

– Ja... wierzę w Boga, komisarzy. I wierzę, że jeśli na kogoś zsyła większe cierpienie niż na innych, to ma w tym jakiś cel. Jeśli ten ktoś może udzielić bliźniemu większej pomocy, jeśli może pomóc wielu ludziom, to może to jego cierpienie jest usprawiedliwione. Może ten jego ból ma sens.

Ricciardi powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Oparł się o fotel, lekko

westchnął. Jego twarz znowu stała się bez wyrazu, co było dla niego typowe. Don Pierino poczuł ulgę, jak gdyby przez chwilę, tylko przez chwilę, zajrzał w głąb piekła.

– Musi ksiądz wiedzieć, że bardzo mi pomógł. Obiecuję, że informacje, które od księdza uzyskałem, zgodnie z naszą wstępną umową, nie zostaną wykorzystane, aby posłać kogoś niewinnego do więzienia. Sprawdzę je jednak z największą uwagą.

– Cieszę się, że mogłem się okazać przydatny, komisarzu. W zamian proszę o jedno: niech mi pan obieca, że kiedy skończy się ta straszna sprawa, odwiedzi mnie pan. I że, oczywiście na pański koszt, pójdziemy razem do opery.

Ricciardi zrobił swoją kwaśną minę.

– To wysoka cena, ojczy. Ale obiecać zawsze mogę.

XXV

Kiedy Maione usłyszał, jak Ricciardi go woła, poznał po głosie, że dochodzenie zmieniło kierunek. Wiedział to z doświadczenia i nigdy się nie pomylił. W pewnym dokładnie określonym momencie, przy okazji przesłuchania czy konfrontacji, pojawiała się słowo naprowadzające komisarza na trop prawdy. I wtedy widział już rozwiązanie. W takich chwilach zawsze wykrzykiwał: „Maione!”. A brygadier był zadowolony za siebie i za komisarza, który po zakończeniu śledztwa będzie się cieszył chwilą iluzorycznego spokoju.

Zacierając ręce z radości, podobny do starego psa myśliwskiego, który zaczyna merdać ogonem, kiedy słyszy, jak zdejmuje się strzelbę ze stojaka, stanął w drzwiach: – Tak jest, panie komisarzu!

Michele Nespoli liczył sobie dwadzieścia pięć lat i był Kalabryjczykiem. Rodzina nie miała pieniędzy, mimo małego kawałka ziemi i stada niedaleko od Mormanno. Dziewięcioro rodzeństwa, siostry i bracia. On był trzecim dzieckiem i pierwszym płci męskiej. Od małego, oprócz impulsywnego i wesołego usposobienia, wyróżniała go wielka pasja do śpiewu i piękny głos. Nie było święta w wiosce, zebrania chłopów czy pasterzy, na którym by nie poproszono, żeby Michele zaśpiewał. Kiedy rozlegał się jego anielski głos, wszyscy przestawali się kłócić i rozmawiać. Ani wino, ani karty nie były ich w stanie oderwać, głos Michelego sprawiał, że serca przestawały bić.

Nic zatem dziwnego, że rodzina i spora część wioski zebrała skromne środki, aby posłać chłopca na naukę śpiewu do San Pietro a Majella w Neapolu, największej szkoły na południu i jednej z najlepszych w całych Włoszech.

Dojrzewając, Michele pogłębiał tembr głosu, doskonalił jego barwę i ekspresyjność. Jak we wszystkich dziedzinach życia, w których trzeba

zarabiać pieniądze, przydałyby mu się także odrobina dyplomacji i umiejętność schlebiana.

Obie te rzeczy były jednak Michelemu kompletnie nieznane. Gorzej nawet, chłopak był wybuchowy i ponad miarę dumny. Udowodnił to swoją reakcją na propozycję starego nauczyciela solfeżu, zwykłego przyznawać dobre oceny w zamian za czułości. Publicznie dał mu po twarzy. Przez kilka strasznych tygodni był zawieszony w nauce i obawiał się, że z powodu tej impulsywności lata wyrzeczeń jego i ludzi z wioski pójdą na marne. Jak miałby teraz pokazać się w rodzinnych stronach? Jak mógłby im to wytłumaczyć? Na szczęście niewątpliwy talent chłopca ocalił jego dyplom. Od tej pory miał jednak opinię osoby kłótlivej, której nie można było ufać. Bardzo się natrudził, zanim znalazł prace, dzięki którym mógł przynajmniej utrzymać się w mieście.

To był dla niego czas niedostatku. W ciągu dnia pracował jako kelner w barze, wieczorami śpiewał na nadmorskim bulwarze lub w restauracjach, wspomagany przez chór pijaków, którzy nieskładnie bili mu brawo. Był jednak Kalabryjczykiem i się nie poddawał. Przyjechał jako młody chłopak do Neapolu, żeby zostać śpiewakiem i, na Boga, w końcu nim zostanie!

Z biegiem czasu zaczął pić. Myślał z ironią, że może dorównać tym, którzy oklaskują go w tawernach. W rzeczywistości nocami nie był wystarczająco zmęczony, żeby od razu zasnąć, a duch porażki radośnie tańczył wokół niego. Szukał zapomnienia w podłym winie, które zdobywał, śpiewając na życzenie gości po występach. Musiał tylko uważać, aby nie przesadzić podczas występu i utrzymać dykcję. W przeciwnym razie ludzie wyśmiewali go, a tego Michele nie znosił. Zaczął się staczać i staczałby się coraz niżej, gdyby nie wydarzyło się to, co miało miejsce wieczorem 29 lipca 1930 roku.

Ricciardi dobrze wiedział, co miał teraz zrobić. Po rozmowie z don Pierinem zdał sobie sprawę z wymowy „Zdarzenia” w przypadku Vezziego. Oczywiście rozumiał, że chodziło jedynie o wskazówkę, zwykłą poszlakę, ale teraz stało się jasne, że morderca wcale nie wracałby po ucieczce przez okno, gdyby nie brał udziału w przedstawieniu. Musieli zatem szukać pośród osób

przebywających za kulisami: śpiewaków, statystów, pracowników fizycznych i techników.

Tylko mężczyzna mógł włożyć płaszcz potężnie zbudowanego Vezziego i także tylko mężczyzna mógł wyskoczyć przez okno. Półtora metra, jasne, ale to i tak duży skok. Mężczyzna ten musiał potem wrócić do garderoby Vezziego, ryzykując, że zostanie odkryty, i następnie wyjść, już bez żadnego przebrania.

Trzeba czegoś poszukać. Przede wszystkim butów ubrudzonych trawą, a może i błotem z królewskich ogrodów. Wizja lokalna na miejscu zbrodni wykazała ślady na trawniku, dość głębokie, co każe myśleć o osobie słusznej wagi. Może znajdzie się jakaś część ubrania, albo i więcej niż jedna, poplamiona krwią. Sądząc po stanie, w jakim znajdowała się garderoba, wydawało się niemożliwe, żeby morderca w ogóle się nie pobrudził.

Ricciardi otrzymał od Maionego zapewnienie, że teatr jest pod ochroną od wieczoru, kiedy popełniono zbrodnię, i że nikt nie mógł wynieść z niego żadnego przedmiotu ani ubrania. Potem udzielił mu kilku operacyjnych wskazówek.

– Poszukajmy w teatralnym magazynie i w pracowni krawieckiej. Ale dyskretnie, bez wzbudzania popłochu, musimy się dowiedzieć, czy któryś ze śpiewaków, statystów lub zwykłych pracowników zmieniał buty lub ubranie. Jeśli to zrobił i nie mógł niczego wynieść, to te rzeczy muszą się tam jeszcze znajdować. A my musimy je znaleźć.

– A dokładnie to kogo mamy szukać, panie komisarzu?

– Mężczyzn. Słusznego wzrostu i wagi.

Dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, o jedenastej wieczorem, Michele Nespoli śpiewał *Santa Lucia luntana* w Trattorii della Mattonella, w Quartieri Spagnoli. Tego wieczoru zaczął pić wcześniej niż zwykle. Okrutny żar lata przypominał mu, przez kontrast, jego ciemne i ciche góry Pollino, w których śpiewał z okna domu w Sili. Myślał też o matce i jej szorstkich pieścizotach.

Całą salę wypełniała obezwładniająca melancholia jego piosenki. Wszyscy

obecni mieli jakichś bliskich, którzy odpłynęli w *stronę ziem dalekich*, których już nigdy nie zobaczą. Nieliczni, także z powodu lejącego się strumieniami wina, złożyli głowy na stołach, zanosząc się płaczem. Wtedy właśnie jeden mężczyzna, który jak się później okazało, właśnie wyszedł z więzienia, zwrócił się obcesowo do Michelego, nakazując mu zmienić natychmiast piosenkę. Nespoli, śpiewając już ostatnią zwrotkę, w porywie wzruszenia nie usłuchał. Mężczyzna przewrócił krzesło na ziemię, krzycząc, żeby w tej chwili przestał. Dumny, a zarazem szyderczy Michele zakończył piosenkę niezwykle wysokim dźwiękiem, a tamten, wyjąc jak opętany, rzucił się na niego z nożem.

Zaczęli się bić. Nikt z obecnych nie interweniował, może z powodu przyćmionych przez jedzenie i wino zmysłów, a najprawdopodobniej z obawy przed kłopotami. Wszystko trwało może trzydzieści, czterdzieści sekund. Jęczący Michele, z potwornie rozciętą ręką, leżał na podłodze. Napastnik w ogóle się nie ruszał, a nóż, którym przedtem wymachiwał, teraz sterczał mu z serca. Zapanowała złowroga cisza.

Właścicielka trattorii podeszła do śpiewaka i powiedziała:

– Chłopcze, musisz stąd iść.

I otworzyła przed nim drzwi.

Z trudem, zataczając się, Michele wyszedł i zagłębił się w nocny labirynt Quartieri Spagnoli.

Magazyn znajdował się przy pracowni krawieckiej, na czwartym piętrze teatru. Ricciardi już go widział podczas pierwszej wizyty w królestwie pani Lilli. Zarządzanie materiałami scenicznymi, takimi jak broń, kapelusze czy buty, leżało w gestii zażywnego staruszka, Costanza Campieriego. Maione zastał go przy pracy i dowiedział się, że praktycznie nigdy nie chodzi do domu.

– Nie mam rodziny, panie brygadierze, mam tylko ten mój zawód. Odpowiadam za tyle rzeczy, i to nie byle jakich, w czasach głodu i desperacji ludzie mogą się pozabijać za parę butów.

– Porozmawiajmy o środowym wieczorze, działo się coś dziwnego? Czy

używane na scenie rekwizyty są zazwyczaj wymieniane?

Campieri podrapał się po łysinie.

– Czasem się zdarza, coś może się zniszczyć podczas przedstawienia i wtedy wymienia się, jeśli to możliwe, między jedną sceną a drugą. Albo naprawia, gdy można. Kiedyś zreperowałem nakrycie głowy faraona z *Aidy*, które pękło z tyłu, a śpiewak nawet nie zszedł ze sceny. Jestem artystą. Innym razem...

– Opowie mi pan to potem. Wróćmy do środy, ktoś coś wymieniał?

– Nie, nikt nie przyszedł, ale wydarzyło się coś dziwnego. Zorientowałem się wczoraj, kiedy robiłem przegląd.

Maione słuchał uważnie.

– Co się stało?

– Znalazłem parę butów na miejscu innych. Zwykle, męskie, wielkie: rozmiar czterdzieści pięć. Czarne, normalne, identyczne jak wszystkie inne.

– Skoro identyczne, to po czym pan poznał, że coś było nie tak?

– Po tym, że u mnie buty są zawsze czyściutkie. A te były ubrudzone ziemią i błotem.

Michele niczego nie pamiętał, od chwili kiedy wyszedł z trattorii aż do przebudzenia w nieznamym bramie. Pamiętał jak przez mgłę gwizdki nadbiegających policjantów, ale może tak mu się tylko zdawało. Na pewno stracił mnóstwo krwi i bolała go ręka.

Obudził go dotyk mokrej szmaty na czole i miękki materiał pod głową. Otworzył oczy i zobaczył coś dziwnego. Jakaś kobieta przyglądała mu się z bliska. Miała ładną, zmartwioną twarz, lekko nadąsane usta i długie do ramion włosy. Była ubrana w prostą, białą koszulę nocną. Michele zachwyił się nią jak obrazem, którego nigdy nie można zapomnieć.

– Spokojnie, nie ruszaj się, i tak dość krwi straciłeś. Kiedy tylko ci się uda, wstań i chodź ze mną, ja nie dam rady zaprowadzić cię na górę.

Mówiła szeptem, jednak wyczuwał w jej głosie ponaglenie i rozkazujący ton. Z trudem, ale i z determinacją Michele zaczął się podnosić.

– Teraz dam radę. Lepiej sobie pójdę, nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

Położyła mu rękę na zdrowym ramieniu, zatrzymując go.

– Nie możesz iść, pełno tu łapsów. Latają wte i wewte, coś się stało, nie chcę wiedzieć co. Już ci to mówiłam, nie możesz się nawet ruszać. Tyle krwi straciłeś, że umarłbyś. Kiedy wydobrzejesz, możesz pójść na policję, mnie to nie obchodzi, idź, gdzie chcesz. Ale teraz chrześcijańskie miłosierdzie nakazuje mi pomóc.

Sposób rozumowania był jak najbardziej logiczny, zresztą Michele nie chciał wpaść w ręce policji za to, co zrobił, bo przecież tylko się bronił. Dlatego, wsparty na jej ramieniu, zadziwiająco silnym jak na młody wiek i drobną figurę, dał się wprowadzić po schodach kamienicy.

Kobieta mieszkała sama, w malutkim pomieszczeniu wykrojonym ze strychu starego budynku. Wygódką, z której korzystali, mieściła się piętro niżej. W ciągu tych miesięcy, kiedy Michele mieszkał u niej, spotkał kilka osób, kobiet i mężczyzn, którzy uśmiechali się w milczeniu. Odkrył, że między mieszkańcami niektórych dzielnic istnieje cicha solidarność, zbudowana na bezwzględnej zмовie milczenia. Nie wiedział, co dziewczyna o nim powiedziała, jak wyjaśniła jego obecność, ale, nie wiedząc czemu, był pewien, że jest w bezpiecznym miejscu.

Pewnego dnia, na samym początku, przez otwarte okno usłyszał rozmowę na podwórzu dwóch strażników z dozorczynią. Najwyraźniej pytali o niego, dokładnie go opisawszy. Kobieta, którą widział więcej niż raz, zaprzeczała, że go zna, z taką zawziętością i stanowczością, że on sam, uśmiechając się, zaczął wątpić, czy naprawdę tam jeszcze siedzi.

Niestety zaczął śpiewać. Zdarzyło się to jakiś tydzień później, kiedy golił się przy kuchennym zlewie najostrzejszym nożem. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Była słoneczna sobota. Dziewczyna wyszła kupić owoce i chleb, on poczuł się lepiej i był w dobrym humorze. No i zaśpiewał, zgodnie z własną naturą, nową modną piosenkę *Dicitencello vuje*. W pewnym momencie zorientował się, że przez otwarte okno nie dochodziły już odgłosy poranka, nawet nie było słychać bawiących się dzieci. Wyjrzał,

zaniepokojony, że się zdradził; może właśnie pojawiła się policja.

Na podwórzu, trzy piętra niżej, zebrał się mały tłum; zobaczył dziesięć osób i kilkoro dzieci. Wszyscy wpatrywali się w górę z otwartymi ustami. Starsza kobieta słuchała jak urzeczona. Dziewczyna wróciła z zakupów, niosąc zawiniątko w gazecie. Od grupy odeszła dozorczyńni, objęła ją i pocałowała. Z balkonu na drugim piętrze dobiegł aplauz mężczyzny w podkoszulku. Jak sięgał pamięcią, Michele nigdy nie odniósł tak wielkiego sukcesu. Od tej pory ludzie z Quartieri nazywali go Śpiewakiem, a ją Narzeczoną Śpiewaka.

XXVI

Ricciardiego nie zaskoczyła przekazana mu przez brygadiera informacja o brudnych butach w magazynie San Carlo. Wiedział, że rozpoczęło się odliczanie i krąg wokół mordercy zaczął się zacieśniać. Prędzej czy później, był o tym przekonany, poszlaki naprowadzą go na właściwą drogę ku niepodważalnej prawdzie. Zawsze tak się kończyło w jego przypadku.

Dlatego, jak zazwyczaj, podał Maionemu imię i nazwisko osoby, o której powinni zebrać niezbędne dla śledztwa informacje. Brygadier ruszył z nosem przy ziemi.

Ricciardi zaś poszedł do parafii San Ferdinando złożyć wizytę don Pieriniemu. Chciał tego wieczoru zobaczyć operę.

Po raz pierwszy pocałowali się na początku jesieni. Ten namiętny pocałunek poprzedziły uśmiechy i pieszczoty. Gotowała się w nich taka sama wściekłość, chęć pokonania głodu, ludzi, wszystkiego. A teraz nie byli już sami. Mając pewność, że nikt go już nie szukał, Michele postanowił znaleźć pracę. Duma nie pozwalała mu korzystać dłużej z ograniczonych środków jego kobiety, która miała posadę, ale z pewnością nie zarabiała zbyt wiele. Wydawało mu się oczywiste, że nie będzie już śpiewał po lokalach, w tym środowisku z pewnością wiadano, co wydarzyło się w Mattonelli. Dlatego zaczął się rozglądać po licznych budowach w mieście, starając się nająć jako zwykły robotnik. Znalazł pracę na dniówkę przy remontowanym budynku na Monte di Dio, niedaleko obecnego miejsca zamieszkania. Wieczorem, kiedy wracał, był wykończony. Brakowało mu muzyki, która zawsze przepełniała jego duszę. I znowu, zanim zasnął, przed oczami stawali mu ludzie, którzy poświęcili się dla niego. Pytali, co robi, a jeszcze bardziej, czego nie robi. Potem, w świetle księżyca zaglądnącego przez okno, obserwował pogodną twarz swojej kobiety i odnajdował usprawiedliwienie na wszystko. W końcu

on też zasypiał.

Ale kobieta także zdawała sobie sprawę z frustracji Michelego. Pewnego dnia, kiedy wrócił w ulewnym deszczu, powitała go radośnie, mówiąc, że przez przyjaciółkę załatwiła mu ni mniej, ni więcej tylko przesłuchanie u dyrygenta San Carlo, maestra Mariano Pelosiego.

Był dziesiąty listopada.

Kiedy don Pierino zobaczył Ricciardiego, zaniepokoił się. W oczach komisarza błyskało zimne światło, miał zaciśnięte mięśnie szczęki, a wąskie usta wydawały się jeszcze cieńsze. Potargane przez wiatr włosy opadały mu na czoło, nadając bardziej stanowczy wygląd.

– Tak szybko, komisarzu! Nie spodziewałem się dzisiaj pana zobaczyć. Chodźmy do zakrystii.

– Dziękuję, proszę mi wybaczyć, że znowu księdza niepokoję. Ale przyszedłem, żeby dotrzymać obietnicy.

– Jakiej?

– Zechce mi ksiądz dzisiaj towarzyszyć podczas przedstawienia? To dla mnie niezwykle ważne.

Don Pierino przybrał smutny wyraz twarzy.

– A więc chce pan pójść do teatru z powodu pracy. Nie to miałem na myśli, kiedy wymogłem przyrzeczenie, że pójdziemy razem do opery.

– Ma ksiądz rację. To sprawa służbowa, a moja obietnica jest nadal ważna. Mam wobec księdza zobowiązania i ponawiam zamiar pójścia razem, przy pierwszej nadarzającej się okazji, na ulubioną operę księdza. Chciałbym jednak, żeby i dzisiaj wieczorem ksiądz mi towarzyszył, jeśli to możliwe. Czułbym się w jakiś sposób spokojniejszy.

Zastępca proboszcza położył rękę na ramieniu Ricciardiego.

– Dobrze, komisarzu. Pójdę z panem, wedle życzenia. I ponownie pomogę, chciałbym tylko, żeby był pan czasami wyrozumiały względem samego siebie. I żeby szukał pan w głębi duszy pozytywnych uczuć, które, ja to wiem, nie są panu obce.

Poważny Ricciardi przytaknął.

– Do wieczora zatem. I jeszcze raz dziękuję.

Wejście na scenę San Carlo było dla Michelego ogromnym przeżyciem. Oczywiście podczas lat nauki w konserwatorium wysłuchał wielu oper z zapartym tchem, uczepony barierki balkonu, bezgłośnie śpiewając partie barytonów. Dobrze wiedział, że jego głos nadaje się do ról wymagających dużego zaangażowania emocjonalnego. Zdawał sobie sprawę, że występy w tawernach wzmocniły jego struny głosowe, dzięki czemu mógł zaprezentować się na przesłuchaniu w dobrej formie.

Razem z nim stawilo się około dziesięciu chętnych. Poszukiwano wykonawców ról do kilku oper w sezonie, do powiązanego z teatrem zespołu. Honorarium było dobre, ale możliwość spełnienia marzenia przewyższała jakiegokolwiek zarobki. Gdyby otrzymał angaż, widmo bankructwa towarzyszące mu ostatnio zniknęłoby wreszcie.

Śpiewał całym sercem, całą duszą. Partia Rigoletta, ulubiona przez niego, wibrowała jego mocnym głosem. Nikt nie wystąpił z podobną determinacją i pasją. W oczach Pelosiego, który przecież tylu głosów wysłuchał w ciągu kilku dekad swojej kariery, widać było podziw i zaskoczenie. Michele okazał się najlepszy i otrzymał posadę.

Wracając do domu, ze szczęścia prawie unosił się nad ziemią. Kiedy obejmował swoją kobietę, zdawało mu się, że jest w raju.

Przed pójściem do opery Ricciardi wstąpił jeszcze do domu. Nie chciał, żeby niania martwiła się bardziej niż zwykle, a przede wszystkim obawiał się jej reakcji. Nie udało mu się jednak uniknąć gwałtownego protestu: Rosa potwierdziła, że brak poszanowania godzin posiłków sprowadzi na niego chorobę żołądka, że nie uprzedziwszy jej, sprawił kłopot, bo nie miała mu co podać do jedzenia.

Nie było to prawdą; zimne mięso i gotowane warzywa od razu znalazły się na stole i Ricciardi pomyślał, że warto by wracać codziennie wcześniej do domu. Żeby uciec od problemów żołądkowych.

Kiedy skończył jeść, poszedł włożyć ciemne ubranie. Następnie otworzył żaluzje w swoim pokoju. Choćby przez chwilę nie mógł odmówić sobie niemego spotkania. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że Enrica o wszystkim wiedziała, dlatego nie dostrzegł jej zaskoczenia. Właśnie nakrywała do kolacji. Napawał się powolnymi, pełnymi wdzięku ruchami, zachwycającym domowym tańcem dziewczyny, mądrością jej lewej ręki, kobiecością głowy, lekko pochylonej, żeby ocenić odległość talerza od sztucców i sztucców od kieliszków.

Musiał powstrzymać się, żeby dłużej na nią nie patrzeć. Czas ruszać na spotkanie. Tego wieczoru musiał być w teatrze.

Maione, zgodnie z umową, czekał przy wejściu do kvestury. Ricciardi spojrział na niego pytająco. Brygadier pokręcił głową.

– Niewiele. Mieszka sam w małym lokalu niedaleko konserwatorium. Ale dopiero od kilku miesięcy, nikt nie wie, gdzie mieszkał wcześniej. W San Carlo pracuje od niedawna, to jego pierwszy rok, ale mówią, że jest zdolny, nawet bardzo zdolny. Co do reszty, to będę wiedział jutro. Posłałem tam dwie osoby, Alineiego i Zaniniego.

– Dobrze, informuj mnie o wszystkim dokładnie. Chodźmy, don Pierino już na nas czeka.

Teatr San Carlo powrócił dzisiaj do swojego codziennego wyglądu, w porównaniu z wczorajszym wieczorem mniej eleganckiego i wytwornego, ale podziwianego przez bardziej wyrobioną i pasjonującą się śpiewem publiczność. Don Pierino, czekając na Ricciardiego, przyglądał się twarzom widzów, którzy stopniowo wchodzili głównym wejściem do teatru, i starał się, dla zabawy, przewidzieć, w zależności od stroju, wieku i wyrazu twarzy, miejsca, które zajmą. W te wieczory opera podobała mu się jeszcze bardziej. Czuł miłość do arii, znał partytury i nie przeszkadzało mu, że czasami błąd któregoś ze śpiewaków karano głośnymi gwizdami. On sam był bardziej wyrozumiały: jak można krytykować kogoś, kto stara się przekazać ci tak gorące emocje?

Kiedy przyszedł komisarz w towarzystwie brygadiera, ksiądz z radością

wyszedł im naprzeciw.

– Dobry wieczór, drogi komisarzu! Mimo że jest pan tu służbowo, to i tak atmosfera teatru pana zachwyci.

Ricciardi wziął go pod rękę.

– Proszę być cicho! Dzisiaj nie ma tu żadnego komisarza i żadnej pracy. Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem. Proszę mi pokazać, którądy zazwyczaj ksiądz tu wchodzi.

Zdezorientowany don Pierino przeprosił i wskazał na koniec podcieni, gdzie we wnęce znajdowało się boczne wejście. Cała trójka ruszyła w tym kierunku. Kiedy weszli, portier Patrisso początkowo ich nie rozpoznał.

– Przepraszam panów, ale to wejście służbowe, nie można... A, to ksiądz proboszcz? O, i brygadier, i komisarz, dobry wieczór! Jak mogę pomóc?

Maione zwrócił się do portiera.

– Dobry wieczór, Patrisso, dlaczego to wejście jest jeszcze otwarte?

– Wchodzą tędy osoby pracujące na scenie, wnoszą materiały i inne rzeczy, nawet kwadrans przed rozpoczęciem przedstawienia. Potem je zamykamy, jeśli ktoś chce wyjść, korzysta z drzwi w korytarzu, wychodzących na ogrody królewskie. Tak na wszelki wypadek. Ja właśnie zamykam.

Ricciardi zastanawiał się, czy wejście mordercy to mógł być nagły przypadek. Niezależnie od twierdzącej czy przeczącej odpowiedzi do tego właśnie posłużyły w dniu premiery te drzwi od strony ogrodów.

– Posłuchaj, Patrisso, czy podczas przedstawienia ktoś nieraz tędy wychodzi lub wchodzi, na przykład jacyś śpiewacy?

Patrisso rozłożył ręce.

– A co ja mogę wiedzieć, komisarzu? Już mówiłem, my zamykamy i idziemy pomagać przy głównym wejściu. Oczywiście, myślę, że ktoś wychodzi palić, za kulisami nie wolno, bo to niebezpieczne. Trudno uwierzyć, ile ci śpiewacy palą, a przecież żyją z głosu. Niektórzy wychodzą zaczerpnąć powietrza, odprężyć się. No, nie wtedy, kiedy tak wieje jak dzisiaj. Przeciąg to najgorszy wróg śpiewaka.

Cała trójka słuchała uważnie. Ricciardi odtwarzał w myślach możliwe wydarzenia w wieczór zabójstwa. Był już pewien, że zrozumiał, co tu się stało i kto mógł być mordercą, z pewnym marginesem błędu. Każda dodatkowa informacja potwierdzała jego hipotezę. Komisarz nie czerpał satysfakcji z takiego stwierdzenia, wiedział tylko, że zbliża się do prawdy.

Znowu pomyślał o Vezzim, którego zobaczył w zamkniętej garderobie, na lekko ugiętych nogach, jak z wyciągniętą ręką rozpaczliwie śpiewa cudzą arię. I te łzy, łzy spływające po umalowanej twarzy, to cierpienie, ostateczne, niedopuszczające przebaczenia. To on był wykonawcą nieuniknionej zemsty, swego własnego wyroku. Ruszył razem z Maionem i don Pierinem po wąskich schodach prowadzących za kulisy i do garderób. Komisarz myślał o śmierci.

XXVII

Michele Nespoli był gotowy, mimo że wchodził na scenę później: wstęp, chór, duet sopranów, potem on. Nie myślał o operze. Myślał o śmierci.

Czuł, że znowu zabronią mu śpiewać. To było właśnie najgorsze. Tym razem nie pocieszy go nawet śpiąca u jego boku kobieta; widokiem jej twarzy napawał się w świetle księżyca. Wcale nie żałował, o nie, zrobił to, co powinien. I tym razem zachował się zgodnie z własnym kodeksem honorowym, według tego, czego nauczył się z opowieści starszków przy ognisku, w straszne noce siliańskiej zimy, kiedy wilki wyły blisko domostw, a przerażone psy skowyczały w obejściach. Kodeks wpisany w jego charakter, który popychał go ciągle do walki, do konfliktu ze światem mężczyzn. I z tym miastem, w którym silni mogli wykorzystywać słabych.

Michele Nespoli kochał i to było jego winą, której mu nigdy nie wybaczano. Kochał muzykę, kochał śpiewać. I kochał kobietę, której urok sprawił, że nadal pragnął żyć.

Kiedy dostał angaż, musiał poszukać własnego mieszkania. Bigoteryjna dyrekcja teatru nie tolerowała konkubinatu i mogli go nawet z tego powodu zwolnić. Począł do Bożego Narodzenia z pytaniem, czy zechce za niego wyjść. Już cieszył się zaskoczoną i szczęśliwą twarzą, falującymi blond włosami, uściskiem. A tymczasem jej twarz posmutniała, malował się na niej ból. Nie, odpowiedziała, jeszcze nie, nie teraz. Musi coś rozwiązać, porozmawia z nim o tym kiedyś. Niech jej zaufa, czeka i będzie cierpliwy.

Michele pamiętał bolesną niespodziankę, ból, który go przeszył, gniew i pierwszy gwałtowny cios zazdrości. Ale nie miał wyboru, kochał ją, jak to on umiał kochać, bez zastrzeżeń. Zaczeka. Tymczasem wystarczyło, że mógł ją widywać. Z daleka.

Kobieta o blond włosach słuchała muzyki. W pierwszej chwili pomyślała,

że nie pójdzie, z ostrożności. Potem jednak, po namyśle, postanowiła, że będzie obecna. Inaczej wzbudziłoby to zbyt wiele wątpliwości, plotek.

Absolutnie musiała go unikać. Uważać, aby czyjeś wścibskie oczy nie zobaczyły jej z tym mężczyzną, żeby nie gadano, nie dociekano. Musiała tam być, żeby czuwać, żeby wyczuć, żeby zapobiec.

Z wyostrzonymi zmysłami, skoncentrowana do granic możliwości, śledziła przedstawienie. Znała każdą nutę, każdą postać. Wiedziała, jak ustawią się śpiewacy, co i kiedy zagra orkiestra. Przywitała się z przyjaciółkami, nie zdradzając emocji, zachowując się tak jak zawsze.

Szukała wzrokiem swojego mężczyzny, żeby podtrzymać go na duchu. Ona tu jest i będzie zawsze.

Don Pierino czegoś nie rozumiał. Nawet jeśli są tu nieoficjalnie, dlaczego nie mogą usiąść na widowni? Albo nawet w jednej z bocznych łóż, z których mogliby lepiej obserwować scenę.

Komisarz jednak zaprowadził go tuż za scenę, między sznury i wciągarki służące do zmiany tła. Brygadier, na znak Ricciardiego, oddalił się, schodząc ponownie w stronę bocznego wejścia. Don Pierino westchnął, pogodzony z losem. Czy kiedykolwiek dane mu będzie nacieszyć się operą, siedząc wygodnie w fotelu?

Komisarz podszedł do niego.

– Kto teraz wchodzi na scenę?

– Nikt, panie komisarzu. Najpierw tylko muzyka, przepiękna. Potem Turiddu zaśpiewa serenadę Loli.

– Żonie Alfia?

– Tak, jego żonie.

Po krótkim wstępie, przy opuszczonej kurtynie, dał się słyszeć piękny męski głos. Don Pierino zauważył, że Ricciardi ciągle patrzył na zegarek, notując czas ołówkiem na kartce.

– Co on śpiewa? Nie rozumiem.

– To serenada w dialekcie sycylijskim, komisarzu. Mówi jej, jak bardzo

jest piękna i jak jej uroda zasługuje na potępienie. Mówi jej także, ale to tylko poezja, proszę pamiętać, że mógłby dla niej zginąć i że jeśli nie ma jej w raju, to nie warto tam trafić. To profetyczne, bo w końcu Alfio go zabije.

Mężczyźni rozmawiali szeptem. Pod koniec arii, kiedy grała tylko orkiestra, kurtyna się podniosła. Po części muzycznej na scenie ustawili się kobiety i mężczyźni, rozmawiający ze sobą chórem. Ricciardi odprężył się i don Pierino miał nadzieję, że docenia piękno muzyki. Niestety wyczuwał, że myśli komisarza były jednak skierowane gdzie indziej.

Wrócił Maione, prowadzony przez portiera Patrisa, w grubym płaszczu skrywającym uniform. Był zdyszany, jak po jakimś wysiłku. Don Pierino spostrzegł, że brygadier miał nieco ubłocone buty, z kilkoma źdźbłami trawy. Wychodził? Ale po co?

Brygadier zwrócił się do Ricciardiego.

– Załatwione, komisarzu.

– No to sprawdźmy, zacząłeś wtedy, kiedy ci powiedziałem?

Brygadier spojrział na zegarek, trzymając go daleko od krótkowzrocznych oczu.

– Tak, myślę, że tak. Na moim zegarku było siedem po ósmej. Ze sceny do garderoby mniej niż minuta. Przez okno do garderoby dwie minuty, łącznie z czasem na otwarcie drzwi do ogrodów, których nie znałem. Ale to proste, mają normalny zamek. Z garderoby na scenę kolejna minuta, nawet mniej.

Ricciardi obliczał wszystko na palcach nerwowych dłoni.

– Czyli niecałe cztery minuty na przejścia. Popatrzmy zatem. – Zwrócił się do portiera: – Patriso, co się dzieje, kiedy śpiewak schodzi ze sceny, a potem ma wrócić?

– To zależy. Jeśli ma wrócić szybko albo niezadługo, to czeka za kulisami. Jeśli jednak ma dłuższą przerwę, no to wraca do garderoby, poprawia makijaż, kostium. Nie wychodzi na zewnątrz, chociażby z obawy przed przeciągami.

– Wejście do garderób ze sceny jest to samo dla wszystkich?

– Tak, najbliższej jest garderoba dyrygenta i głównych śpiewaków, potem te

wspólne, dla innych śpiewaków i dla statystów w kostiumach.

Oczy Ricciardiego z zielonego kryształu wyróżniały się w mroku, podczas gdy Santuzza i Lucia śpiewały w duecie na scenie. Za komisarzem tkwiła potężna sylwetka czuwającego w cieniu Maionego.

– Jeszcze jedno, Patrisso, żeby dojść do tych wspólnych garderób, trzeba przejść przed tymi pierwszymi? Na pewno?

– Tak, panie komisarzu, już panu mówiłem.

Na scenie, po wyjściu dwóch kobiet, pojawiła się nowa postać w kostiumie wieśniaka, która śpiewała głębokim głosem. Należał on do wysokiego, młodego mężczyzny o szerokich ramionach. Ricciardi dał szybko znać Maionemu, który przytaknął skinieniem głowy, po czym zwrócił się do księdza, wskazując śpiewaka.

– To on?

– To jest Alfio, ten baryton śpiewający zdanie, które zacytował mi pan dzisiaj rano. To mąż Loli, na końcu zabija Turiddu.

– Kim jest ten śpiewak? Zna go ksiądz?

– Tak, słyszałem go już parę razy podczas tego sezonu. To bardzo zdolny młodzieniec, tak uważam. Ma przed sobą karierę. Nespoli, nazywa się Nespoli. Michele Nespoli.

Na scenie Michele, siedząc przy stole z kieliszkiem w ręku, grzmiał: *Lola mnie w domu oczekuje, kochająca, wierna pocieszycielka ma.*

Opera toczyła się dalej, zespół był zgrany, a wykonawcy doskonale dobrani do swoich ról. Ricciardiemu wydawało się, że publiczności spektakl bardzo się podobał i często spontanicznie i szczerze oklaskiwała śpiewaków. Nespoli, oprócz głosu, wyróżniał się prezencją sceniczną, atletyczna sylwetka była mu w tym pomocna. Śpiewał z zapalem i zaangażowaniem kogoś, kto żyje i oddycha właśnie po to.

Komisarz słuchał uważnie, nie roniąc ani słowa. Drgnął tylko, kiedy podczas dramatycznego duetu z Santuzzą usłyszał zdanie, które już znał: *Ja zemsty pragnę! Ta pierś płomieniem pali! Przekleństwa grom niech piekło ześle im,* powtórzona kilka razy, z siłą i gniewem, przez Nespolego.

Ricciardiemu wydawało się odmienne niż to, które usłyszał z martwych ust Vezziego, o wiele bardziej, niż można było się tego spodziewać.

Tenor subtelnym, modulowanym głosem snuł, pełen żalu, swą opowieść. Podkreślał, teraz wreszcie Ricciardi to zrozumiał, emocje kierujące ręką mordercy. Ten drugi głębokim barytonem i z błyszczącymi od gniewu oczami opowiadał o tym, co czuł. Komisarz nie wątpił, że w Nespolim po dwóch dniach wspomnienie wendety jest nadal żywe. Zastanawiał się, dlaczego publiczność, inni śpiewacy, sam don Pierino, jak zwykle powtarzający bezgłośnie słowa, nie zorientowali się i nie przerazili.

Po ostatnim, strasznym: *Ja zemsty pragnę!*, Nespoli wybiegł ze sceny, nieświadomy obecności trzech ukrytych widzów. Publiczność zerwała się z miejsc w szalonym aplauzie zagłuszającym orkiestrę. Ze swojego miejsca Ricciardi, który, tak jak Maione, sprawdził czas na zegarku, widział jego oczy. Puste, jak gdyby myślał o czymś innym.

Baryton nie zatrzymał się, żeby posłuchać oklasków, które wcale nie słabły. Zbiegł pospiesznie po schodkach prowadzących do garderób, i Ricciardi, który szedł za nim przez pewien czas, zobaczył, jak przechodzi koło drzwi Vezziego, z podniesioną głową i utkwionym przed siebie spojrzeniem. Komisarz ponownie spojrzął na zegarek i wrócił na swoje miejsce, gdy orkiestra zaczynała grać.

Kiedy Nespoli wrócił na scenę, krzyząc: *Witam was, bracia moi*, minęło dokładnie dziewięć minut i pięćdziesiąt sześć sekund. Ricciardi pomyślał, że czasu było wystarczająco dużo. Ponury i milczący, obejrzał epilog historii, widząc, jak wielki sukces odniosła tego dnia opera. Don Pierino i Maione obserwowali go, jeden świadomy myśli przebiegających przez głowę komisarza, a drugi nie. Żadnemu z nich nie umknęła różnica w wyrazie twarzy między Nespolim a pozostałymi artystami, kiedy wywołano ich pojedynczo, aby odebrali oklaski publiczności. Baryton uśmiechał się ustami, a nie oczami. Ricciardi patrzył na buty Alfia i na ślady, które buty Maionego zostawiły na podłodze. Błoto i trochę trawy. Obraz był kompletny.

Ricciardi pożegnał się z don Pierinem, kiedy publiczność nadal oklaskiwała artystów na stojąco.

– Bardzo księdzu dziękuję. Pomoc ojca była dla mnie nieoceniona. Teraz czas na paskudną część mojej pracy i muszę się tym zająć. Dotrzymam danego słowa, odwiedzę księdza.

Proboszcz utkwiał swoje żywe i ruchliwe źrenice w zielonych oczach komisarza, nieruchomych i pozbawionych wyrazu.

– Do widzenia, komisarzu. Niech Bóg ustrzeże pana od błędów, niech inni za nie zapłacą. Jeśli będzie mnie pan potrzebował, jestem do dyspozycji. W dzień i w nocy.

Ricciardi odwrócił się i poprzędzając Maionego, poszedł za portierem w stronę garderób.

XXVIII

Schodząc ze sceny, Michele Nespoli od razu zrozumiał, że wszystko się skończyło. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy tylko zobaczył dwóch mężczyzn stojących z rękami w kieszeniach przed drzwiami. Przed tymi drzwiami.

Zdziwiło go, że poczuł ulgę, większą, niż mógł sobie wyobrazić. Nie był w stanie żyć, czując na karku ciągle zagrożenie. Maione postąpił krok do przodu i dotknął jego ręki.

– Pan jest Michele Nespoli? Musimy zadać panu kilka pytań, zechce pan pójść z nami? – wskazał garderobę Vezziego, w której naprawiono już drzwi.

Zapadła głęboka cisza. Słysząc było zdyszane jeszcze oddechy tych, którzy właśnie zeszli ze sceny. Ci, którzy stali blisko barytona, instynktownie się odsunęli, zostawiając go samego na środku wyimaginowanej małej sceny.

Cała trójka weszła do garderoby. W środku wszystko już wysprzątało. Nie było śladu krwi tenora, z wyjątkiem paru wilgotnych plam na dywanie. Lustro zostało wymienione. Gdyby nie zanikający obraz Vezziego, który nadal miał przed oczami, w rogu pokoju, Ricciardi z trudem rozpoznałby miejsce morderstwa popełnionego tu dwa dni temu. Nespoli ani na chwilę nie spuścił wzroku. Zatrzymał głębokie spojrzenie czarnych oczu na oknie, które, tak jak wtedy, było przymknięte.

Maione skończył odczytywanie danych Nespolego i wysuwanych pod jego adresem zarzutów. W garderobie zapadła cisza.

Pierwszy przemówił komisarz.

– Kim jest ta kobieta?

Nespoli westchnął głęboko.

– Nie rozumiem, o kim pan mówi.

Ricciardi skinął lekko głową, jak gdyby spodziewał się takiej odpowiedzi.

Maione, nie zmieniając tonu, włączył się do rozmowy.

– Zechce nam pan opowiedzieć, co się stało wieczorem dwudziestego piątego marca, czyli przedwczoraj?

Nespoli prychnął z oburzeniem.

– A według pana co się stało?

Ricciardi zrobił dwa kroki i ponownie odwrócił się w stronę barytona, plecami do kąta, w którym nadal widział Vezziego tryskającego krwią.

– Mamy powody uważać, że z nieznanym nam powodów zabił pan, umyślnie lub nieumyślnie, Arnalda Vezziego. Zabił go pan wieczorem dwudziestego piątego marca, między godziną dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą.

Nespoli zacisnął usta, wyglądał teraz jak zwierzę w klatce.

– A z jakiego powodu uważa pan, że tak się stało?

Ricciardi i Nespoli patrzyli na siebie. Maione stał między nimi. Za drzwiami słychać było nieustający pomruk.

Brygadier powiedział spokojnie:

– To my zadajemy pytania.

Śpiewak nie wyglądał na szczególnie poruszonego oskarżeniem.

– Proszę zatem pytać – powiedział opryskliwie.

– Spotkał się pan z Vezzim w dzień i w godzinę zabójstwa?

– Tak, widziałem go. Spotkałem się z nim.

– Gdzie?

Nespoli lekko westchnął.

– Właśnie tu, a raczej na zewnątrz, w drzwiach.

– W drzwiach?

– Tak, w drzwiach. Wracalem ze sceny do garderoby.

– Rozmawiał pan z nim?

– To on się do mnie odezwał.

Do tej chwili Ricciardi nie włączał się w rozmowę, obserwując jedynie zachowanie barytona. Teraz przemówił cichym głosem.

– Proszę posłuchać, Nespoli, pańska sytuacja nie jest łatwa. Mamy informacje i potrzebne dowody. Takie zachowanie pańskie może sprawić tylko, że stracimy więcej czasu, ale z pewnością to pana nie uratuje. Lepiej, jeśli przestanie pan udawać, że nie rozumie, o co pytamy.

– Skoro macie dowody, to po co w ogóle tracić czas?

– Bo musimy odtworzyć wszystko, co się tu wydarzyło. A także po to – i tu Ricciardi jeszcze bardziej ściszył głos – żeby zrozumieć, czy miał pan współników.

Zapadła cisza. Nespoli i Ricciardi nie przestawali mierzyć się wzrokiem. Maione co jakiś czas zerkał na nich spod na wpół przymkniętych powiek, jak gdyby zaraz miał zasnąć. Zawsze koncentrował się w taki sposób.

W końcu Nespoli przemówił; jego potężny, a obecnie ściszony głos wydawał się odległym grzmotem: – Dowody, mówi pan? A jakie wy macie dowody?

– Znaleźliśmy buty, które zmienił pan przed wyjściem na scenę, i ślady błota z ogrodów. Tylko pan w tym składzie nosi buty w takim właśnie rozmiarze. Ma pan duże stopy. Znajduje się pan także w wąskiej grupie osób, które miały dostęp do garderób, i jako jedyny mógł wkładać kostiumy Vezziogo. Wreszcie widziano pana, kiedy wchodził pan po schodach. Został pan rozpoznany.

Maione nie zareagował na małą pułapkę zastawioną przez Ricciardiego; obydwaj wiedzieli, że chodziło jedynie o poszlaki i że don Pierino nigdy nie mógł być pewien, że spotkaną na schodach osobą był Nespoli, a nie Vezzi lub ktokolwiek inny jego postury. Ale brygadier wiedział, że ta praca czasami przypomina połowy cefala, na którego chodził nieraz w niedzielę blisko portu. A cefal, także i tym razem, pochwycił przynętę.

Pochwycił z westchnieniem, lekko potrząsając głową:

– Książd. Niech to lichu.

Wydawał się bardziej rozbawiony niż pokonany. Ricciardi mówił nadal cichym głosem:

– Co pan miał przeciw Vezziemu? Co on panu zrobił?

– Był łajdakiem. Tchórzem i podłym człowiekiem. Uwodził kobiety. Pozwalał sobie za wiele, uważał, że jest Bogiem, a nie był nim, był nikim.

– No i zabił go pan.

– Nie chciałem go zabić. Rozmawialiśmy, pokłóciliśmy się. Uderzyłem go, upadł na lustro, jest mojego wzrostu, potężniejszy ode mnie, a kiedy tylko go dotknąłem, wleciał w lustro. Nawet w tym przypadku był do niczego.

Cisza. Ricciardi odwrócił się i zobaczył łzy spływające po policzkach Pajaca. Potem rzekł ponownie do barytona:

– Nie zasługiwał na dalsze życie, tak pan uważa? Pomyślał pan, że jest Bogiem, i dlatego musi go zabić.

Baryton zadrzał.

– Nie, nie jestem Bogiem. Ale dla mnie dobro jest dobrem, a zło – złem. Vezzi był zły. Nawet nie starał się udawać dobrego. Na przykład w kontaktach z tym biednym Pelosim, na próbach. Nie może pan sobie wyobrazić, jak on go traktował. To dobry człowiek, pije, ale jest ząną osobą, która nigdy nikomu nie zrobiła nic złego. Nazwał go starym, nieudolnym pijakiem. Nie miał litości.

– A kobiety? Mówił pan o kobietach.

– No tak, kobiety. Pozwalał sobie na wszystko, obmacywał je, wymuszał zainteresowanie siłą i władzą. A miał władzę, bo był ważny, bo był słynnym Vezzim. A teraz jest już nikim.

Mówił spokojnie, normalnym tonem. W jego głosie nie było śladu emocji, ale w oczach błyszczała dzika furia. Ricciardi pomyślał z zaciekawieniem, że byłby z niego świetny aktor filmowy, nie taki współczesny, ale z epoki kina niemego. Jego wyraz twarzy nie potrzebowałby żadnych didaskaliów, wystarczyłaby muzyka.

– Proszę nam dokładnie opowiedzieć, co się stało.

Nespoli wzruszył ramionami.

– Co mam powiedzieć? Wracalem do garderoby, skończyłem pierwszą część występu, miałem około dziesięciu minut. On miał otwarte drzwi, popatrzył na mnie i ironicznie skomentował: „Świetnie, amatorze!

Wydawałeś się prawie śpiewakiem!”. Straciłem głowę. Popchnąłem go, upadł do tyłu. Wstał i powiedział: „Jesteś skończony, teraz już nigdy nie zaśpiewasz”. Wszedłem, zamknąłem drzwi, starałem się go przeprosić, ale on powtarzał tylko: „Już nigdy więcej nie zaśpiewasz”. Wtedy przestałem już myśleć i uderzyłem go.

– Jak go pan uderzył? I gdzie?

Nespoli pokazał prawy sierpowy.

– W ten sposób, w twarz, chyba pod okiem.

To odpowiadałoby śladowi widocznemu na zwłokach.

– A potem?

– Potem upadł w tył, na lustro, które pękło. Zaczął krwawić z gardła, krew chlustała szerokim strumieniem. Rzęził, usiadł na krześle, krew tryskała przez cały czas. Co za łajdak, wreszcie sam skończył śpiewać. Tym swoim fałszywym głosem, którym tylko oszukiwał ludzi. Nikczemnik.

Ricciardi zerknął na nikczemnika, który płacząc, nadal śpiewał i tryskał krwią. Ale miał prawo żyć, pomyślał. Mimo że był zły.

– I co pan zrobił?

– Zacząłem zbierać myśli. Nie mogłem wyjść przez drzwi garderoby, ktoś mógłby mnie zobaczyć. Ale gdybym wyszedł przez okno i wrócił w kostiumie, w trakcie przedstawienia, to wydałoby się jeszcze dziwniejsze. W zasadzie oznaczałoby przyznanie się do winy. Wziąłem więc z szafy płaszcz, kapelusz i szal tego łajdaka i wyskoczyłem przez okno.

Wskazał głową, którą wyszedł.

– A którą pan wrócił?

– Przez drzwi obok wejścia do ogrodów, są zawsze otwarte, wychodzimy tam palić podczas prób.

– Wracając, spotkał pan kogoś?

– Tylko księdza, stał na końcu schodów. Ale był skoncentrowany, słuchał właśnie intermezza. Nie sądziłem, że mnie rozpozna. Myślałem, że mam jeszcze trochę czasu.

– I co pan wtedy zrobił? Wrócił do swojej garderoby?

– Nie, niby jak? Z płaszczem i kapeluszem Vezziego? Zresztą mimo że po intermezzo jeszcze śpiewa chór i prawie wszyscy są na scenie, w garderobie ciągle ktoś się kręci. Dobrze sprawdziłem, zobaczyłem, że nikogo nie ma, otworzyłem drzwi i wrzuciłem do środka płaszcz, kapelusz i szal. Dopiero kończyli grać intermezzo.

Maione przytaknął. Czas zgadzał się z poczynionymi tego wieczoru obliczeniami.

– Wtedy zamknąłem na klucz drzwi garderoby i pojechałem windą do magazynu, żeby zmienić buty.

– A klucz?

– Klucz?

Nespoli przez chwilę wydawał się zdezorientowany.

– Klucz? Wsadziłem go do kieszeni i potem, kiedy wyszedłem, wyrzuciłem do morza.

– Jak pan wytłumaczył magazynierowi, że buty się ubrudziły?

– Campieriemu? Nie musiałem, pewnie ktoś go wezwał albo sam dokąść poszedł. Gdyby był, to wytarłbym jakoś te buty i wyszedł w nich na scenę, ryzykując, że pozostawią ślady. Wtedy nie miałem już wyboru. No i czasu, musiałem wracać.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Szmer głosów na zewnątrz posłużył jako tło do długiego spojrzenia, wymienionego między komisarzem a śpiewakiem. Maione ciężko oddychał. Dusza Vezziego płakała i śpiewała, domagając się sprawiedliwości, ale słyszał ją tylko Ricciardi.

Nespoli powiedział:

– Nie żałuję tego. Nigdy nie będę żałował.

Ricciardi wyszedł pierwszy, podczas gdy Maione zakładał kajdanki na przeguby Nespolego.

Tłum zgromadzony przed garderobą nagle zamilkł. Przepchnął się dyrektor w towarzystwie kierownika sceny, był tak podniecony, że aż posiniał na twarzy.

– Tego już za wiele, za wiele! Wchodzić podczas przedstawienia bocznym wejściem, wciskać się za scenę, niesłychane! Jeszcze do tego w garderobie! Czy zechce pan zrozumieć raz na zawsze, że jesteśmy w teatrze? Jednym z największych w tym kraju?

Podczas gdy księżę wywijał piruety na wszystkie strony, nie mogąc zatrzymać się choćby dla zaczerpnięcia oddechu, Ricciardi spostrzegł, że kolorowy tłum pajaców, kolombin, arlekinów i woźniców ponownie ucichł. Odwrócił się w stronę garderoby i zobaczył wychodzącego Nespolego razem z Maionem. Śpiewak nadal zachowywał się wyzywająco, osoby stojące najbliżej niego instynktownie cofnęły się o krok. Nespoli rozejrzał się dokoła, tylko raz. Ale wtedy właśnie to się wydarzyło.

Komisarz spostrzegł, że przez chwilę, jedną krótką chwilę, wzrok Nespolego się zmienił. Było to tak nagłe i krótkotrwałe, że mógł zwątpić, czy rzeczywiście to zobaczył. Ale nie mylił się, był przyzwyczajony do oceniania emocji.

W jednej chwili twarz Nespolego stała się łagodna i smutna, uległa i zdesperowana. Zniknął silny, pewny siebie mężczyzna, ustępując miejsca nieszczęśliwemu chłopcu, gotowemu jednak z miłości ofiarować własne życie. Jego twarz wyrażała najwyższe poświęcenie.

Ricciardi przypomniał sobie, że kilka lat wcześniej zajmował się zabójstwem pewnej kobiety, która zginęła z ręki męża, bo chciała zostawić go dla kochanka. Człowiek ten zabił ją i siebie dwoma strzałami z własnego pistoletu oficera wojska. Komisarz dobrze pamiętał obraz mordercy, strzał pozbawił go połowy czaszki. Jedyne ocalałe oko, z którego ciekły łzy pełne rozpacz, miało właśnie taki sam wyraz: dar życia z miłości. Obraz pułkownika powtarzał: *Dla ciebie, moja miłości, dla ciebie*, podczas gdy mózg nadal skwierczał z powodu gorącego prochu strzelniczego.

Ricciardi przyjrzał się tej grupce, żeby zrozumieć, kogo śpiewak mógłby szukać wzrokiem. Wiedział, że tu tkwił klucz do całej sprawy, właśnie w tym spojrzeniu. Prawdziwa motywacja zabójstwa Vezziogo, samooskarżenie Nespolego. Popatrzył, ale początkowo, wśród protestów dyrektora, nie widział żadnego potencjalnego odbiorcy takiego spojrzenia. Potem,

niespodziewanie, rozpoznał wzrok odbijający się w źrenicach barytona. Podczas gdy spojrzenie Nespolego było pełne uwielbienia i oddania, tamto groziło mu, ostrzegało, żeby uważał, nie zdradził się, zachowywał jak dotąd.

Komisarz osłupiał. Nowy element, który musiał włączyć do tej układanki, zmieniał znowu, i to radykalnie, całą perspektywę. Mieli przecież wyznanie śpiewaka, niezwykle szczegółowe, kompletne wyznanie, nie mógł jednak nie brać tego pod uwagę.

Wyjście Nespolego miało też i tę dobrą stronę, że spowodowało chwilowe milczenie dyrektora.

– Ale... czy to naprawdę...? Aresztowaliście winnego? Och, w takim razie muszę wszystko odwołać! Gratulacje! Nigdy nie wątpiłem w triumf sprawiedliwości, aczkolwiek to pańskie ostatnie... wtargnięcie skłoniło mnie do wzięcia pod uwagę ponownej rozmowy na ten temat z pańskimi przełożonymi, a nawet, gdyby okazało się to konieczne, z Rzymem, aby rozwiązać całą sprawę. Teraz jednak, naturalnie, gdyby miało się okazać, że naprawdę trafił pan celnie...

Ricciardi wystarczająco głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć, powiedział: – Tak, książę. Właśnie tak. Aresztowaliśmy winnego, tak nam się wydaje.

Wszyscy komentowali informację Ricciardiego i podniosły się chaotyczne głosy; tylko jedna osoba, którą komisarz obserwował, nie oderwała wzroku od podłogi.

XXIX

Ricciardi podszedł do czekającego przed teatrem Maionego i razem skierowali się do pobliskiej kwestury. Nie dostosowali się do przewidzianych w tym przypadku procedur, nakazujących ze względów bezpieczeństwa wezwanie jeszcze przynajmniej dwóch strażników. Aresztowany jednak zachowywał się tak spokojnie i ulegle, że nie było się czego obawiać. Kilkaset metrów dalej spotkali zaaferowanego Luisego, młodego reportera z „Il Mattino”.

– Dobry wieczór, komisarzu... uprzedzono mnie telefonicznie... kim jest aresztowany? Może mi pan tym razem to powiedzieć?

Ricciardiemu zrobiło się żal młodzieńca, którego źle potraktował podczas ich pierwszego spotkania, i nie chciał odsyłać go z pustymi rękami.

– Chodzi o śpiewaka z *Rycerskości wieśniaczej* o nazwisku Michele Nespoli. Jest podejrzany.

Nespoli zareagował pogardliwie: – Ależ te gliny są mądre! Zawsze łapią winnego. Zwłaszcza gdy ktoś na niego donosi.

Maione położył mu rękę na ramieniu.

– Może się pan odzywać tylko wtedy, kiedy zdajemy pytanie.

Luise usiłował zapytać o okoliczności związane z aresztowaniem, ale cała trójka szybko się oddaliła.

Po zakończeniu procedur związanych z zatrzymaniem i odprowadzeniu Nespolego do tymczasowego aresztu w siedzibie kwestury Ricciardi pożegnał się z Maionem.

– Nie załatwiał odesłania do więzienia, chcę go jeszcze jutro przesłuchać.

– Coś jest niejasne, komisarzu? Tak mi się wydawało, gdy słuchałem pytań, które mu pan zadawał. Ale przecież się przyznał.

– Tak, przyznał się. Ale jutro chcę go jeszcze raz przesłuchać. Dobranoc.

Idąc do domu, komisarz ponownie prześledził cały ciąg wydarzeń. Przede wszystkim to spojrzenie. Z rękami w kajdankach, Nespoli spojrział na osobę, której Ricciardi nigdy by nie podejrzewał. Czy to możliwe, że mężczyzna, choć o równie popędliwym charakterze jak baryton, reaguje w tak przesadny sposób na jeden komentarz? Czas: możliwe, że w ciągu dziesięciu minut, bez wcześniejszego przygotowania, ktoś, kto występuje w operze, schodzi ze sceny, morduje człowieka, ucieka przez okno, wraca, wchodzi na czwarte piętro, zmienia buty, schodzi i wraca na scenę, żeby śpiewać? Sposób: możliwe, że jedno uderzenie, które zresztą wzbudziło wątpliwości lekarza sądowego z powodu ograniczonych skutków, zostaje zadane z taką siłą, że człowiek rozbija masywne lustro i wykrwawia się na śmierć? Możliwe, a jakże. Widział nieraz jeszcze dziwniejsze przypadki. Ale to trudne, niezwykle trudne. No i wreszcie „Zdarzenie”: łzy płynące po twarzy Vezziego. Nie płacze się podczas kłótni z tak błahych powodów.

A zatem, myślał Ricciardi, Nespoli kogoś osłaniał: ale kogo i dlaczego? Osobę, na którą spojrział? Może wiedziała, co się stało, albo była współnikiem? I jak teraz dojść do prawdy? Czy Nespoli zdawał sobie sprawę z konsekwencji? Pomijając nieuchronny koniec kariery, śpiewak straciłby wolność na wiele lat. Okrutnym zabójstwem Vezziego interesowała się cała prasa i rzymscy dygnitarze. A sędziowie, Ricciardi dobrze to wiedział, zawsze chętnie zadowalali uwielbiające tenora władze. Wyrok, komisarz gotów był się założyć, byłby przykładowy.

Była już jedenasta. Z sumieniem uspokojonym wieczorną przekąską niania Rosa poszła spać, o czym świadczyło głośnie chrapanie dobiegające z jej pokoju. Ricciardi też skierował się do swojego i się przebrał. Na wszelki wypadek stanął przy oknie i rozsunął zasłony.

W słabym świetle lampy Enrica szyła. Odłożywszy ślubną wyprawę, zajęła się letnim ubrankiem dla siostrzeńca, który skończy rok pod koniec sierpnia. To będzie jej prezent. Bardzo kochała syna swojej siostry, zastanawiała się, czy kochałaby tak własnego, gdyby kiedykolwiek go miała, czy jeszcze

bardziej. Westchnęła i instynktownie spojrzała przez okno: nieznacznie drgnęła, widząc, że o tej nietypowej porze zasłony w pokoju naprzeciwko rozsunęły się.

Patrząc na haft, który wyszywała na przodzie ubranka, pomyślała, że rodzice mieli rację, powtarzając jej od małości, że była uparta. Wyciągnęła rękę po nożyczki leżące na stoliku.

Po drugiej stronie smaganej silnym wiatrem ulicy, w mroku pokoju, Ricciardi przyglądał się szyjącej Enrice. Jak zawsze wyobrażał sobie, że prędzej czy później porozmawia z nią i opowie o spokoju, jaki spływał na niego, kiedy obserwował ją, jak haftuje. Poprosiłby, żeby wyszywała, siedząc przed nim, ona uśmiechnęłaby się i powiedziała „tak” głosem, którego nigdy nie słyszał.

Tymczasem po drugiej stronie ulicy praca została zakończona. Enrica odłożyła robótkę i chcąc odciąć wiszące nitki, podniosła nożyczki ze stolika prawą ręką, a następnie przełożyła je do lewej.

Ricciardi już wszystko zrozumiał.

Brakowało właśnie jednej wstążki z nożycami, kogoś, kto pracował lewą ręką, jak dwa dni wcześniej powiedział mu lekarz. Za duży fartuch. I przede wszystkim zrozumiał to spojrzenie, trwające zaledwie chwilę.

Pomyślał też, że takie spojrzenie może wiele znaczyć. Może znaczyć wszystko.

Zdążył powiesić płaszcz, kiedy wpadł wściekły wicekwesor Garzo. Za nim podążał zdenerwowany woźny Ponte.

– Ricciardi, czy to prawda, co czytałem dzisiaj? Że zatrzymał pan podejrzanego o zamordowanie artysty. To prawda?

Ricciardi zamknął szafę, westchnął i odwrócił się w stronę przełożonego.

– Tak, to prawda. Wczoraj wieczorem.

Garzo był nieprzytomny z wściekłości: zazwyczaj uśmiechnięty i opanowany, teraz miał czerwone plamy na twarzy, poluzowany krawat

i potargane włosy.

– Dlaczego nie zostałem o tym uprzedzony? Powiedziałem jasno i wyraźnie, i to więcej niż jeden raz, że wszystkie informacje, nawet te najdrobniejsze, powinny natychmiast docierać do mnie. A pan arestuje winnego i nic mi nie mówi? Gdyby nie mój przyjaciel, redaktor naczelny „Il Mattino”, który zadzwonił do mnie rano, żeby mi pogratulować, to nic bym nie wiedział. Kimże ja jestem? Nikim?

Ricciardi zachowywał spokój, trzymając ręce w kieszeniach spodni.

– Krzyczy pan w moim pokoju, a nie wydaje mi się to właściwym sposobem, by żądać informacji. Nie mogłem zawiadomić pana wczoraj, bo była już jedenasta, a pan wyszedł ponad dwie godziny wcześniej. Ponadto chodzi o podejrzanego, a nie winnego. Komunikuję się z panem tak, jak powinienem się komunikować, czyli drogą urzędową. To, co mówą pańscy przyjaciele, w ogóle mnie nie interesuje.

Mówił cichym głosem, prawie szepcząc, co sprawiało, że kontrast z wrzaskami Garza był jeszcze większy. Stojący w drzwiach, tuż za progiem, Ponte spuścił głowę, jakby ktoś go uderzył. Maione, który przybiegł w międzyczasie, jedną dłonią zasłaniał usta, by nie wybuchnąć śmiechem w drugiej trzymał gazetę.

Garzo osłupiał. Zamrugał powiekami dwa lub trzy razy i wreszcie wziął głęboki oddech. Wydawał się zaskoczony swoją obecnością w pokoju Ricciardiego. Kiedy odzyskał głos, przemówił grzecznie, ale w jego głosie słychać było niebezpieczną wibrację.

– Oczywiście... Proszę mi wybaczyć, a zatem niechże mi pan uprzejmie opowie o tym wczorajszym arestowaniu, abym mógł zawiadomić kwestora. Musi się przygotować na wypadek telefonów z Rzymu.

Powstrzymując gniew, syczał, sylabizując słowa. Ricciardiemu zrobiło się go żal.

– Tak, oczywiście. A zatem: pewne sprawy, które wyniknęły podczas śledztwa, zwróciły nasze podejrzenia w stronę Michele Nespolego, barytona w Królewskim Teatrze San Carlo. Przesłuchany na miejscu przeze mnie i przez brygadiera Maionego, który w większym niż ja stopniu przyczynił się

do jego aresztowania, przyznał się do popełnienia zbrodni. Pewne elementy muszą jednak zostać sprawdzone, aby rozważyć hipotezę o ewentualnych współnikach lub motywach jeszcze nam nieznanymi. Dlatego obecnie nie wydawałbym żadnych oficjalnych komunikatów.

Garzo otwierał i zamykał usta. Ricciardiemu przypominał wielkiego dorsza w marynarce i krawacie. Kiedy odzyskał głos, powiedział:

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Nie mówił pan wcześniej, że ten Nespoli przyznał się do zamordowania Vezziego?

– Tak, ale...

Garzo podniósł rękę.

– Nie! Nie ma żadnego ale! Jeśli mamy przyznanie się do winy, a mamy, to nie ma tu miejsca na niepewność. Proszę, żeby mnie pan raz na zawsze zrozumiał: jedno – to znaleźć mordercę dwa dni po zabójstwie, a drugie – kontynuować dochodzenie po przyznaniu się do winy. Jeśli nie zamykamy śledztwa mimo obciążającego podejrzanego zeznania, to oznacza, że rozwiązanie spadło nam z nieba, chociaż go nawet nie szukaliśmy, tak więc nie jest to nasza zasługa. Uważam, że wyrażam także opinię kwestora, wybierając bez wahania pierwsze rozwiązanie. Dlatego, drogi Ricciardi, po pierwsze – i pokazał na palcach jedynekę, ujmując kciuk lewej dłoni między kciuk a palec wskazujący prawej – składam panu moje najszczerze gratulacje z powodu wspaniałego rozwiązania tej sprawy, po drugie – i tymi samymi palcami objął jeszcze palec wskazujący lewej dłoni – proszę, aby powstrzymał się pan zarówno od kontynuowania śledztwa, jak i od informowania kogokolwiek o pańskich wątpliwościach. Czy się zrozumieliśmy?

Ricciardiemu nie drgnął ani jeden mięsień.

– Nie, nie zgadzam się. Istnieje ryzyko, że pozostawimy jednego lub więcej winnych na wolności, i dobrze pan o tym wie. I że nie wyjaśnimy pewnych kwestii związanych z tą sprawą, których obecnie wytłumaczyć nie jesteśmy w stanie.

Zapadła chwila ciszy. Maione i Ponte na progu zastygli jak rzeźby. Garzo otrząsnął się.

– Nie mam zamiaru wracać do tego tematu, Ricciardi. To rozkaz. I jeszcze jedno: obydwaj dobrze wiemy, ile razy interweniował pan u mnie, żeby wstawić się za pańskimi najbliższymi współpracownikami i jak bardzo leżą oni panu na sercu. Chciałbym zatem przypomnieć, że ewentualne nieposłuszeństwo zostanie przypisane nie tylko panu, ale i im. Z tego właśnie powodu brygadier Maione, zamiast możliwej pochwały i bardziej niż możliwej nagrody pieniężnej, zostałyby poddany surowemu postępowaniu dyscyplinarnemu. Niech pan o tym pamięta.

Odwrócił się i wyszedł żołnierskim krokiem. Fałszywie strapiony Ponte odsunął się, żeby go przepuścić, i poszedł za nim.

Maione wszedł do pokoju Ricciardiiego, czerwony na twarzy.

– Co za łajdak! – i zamknął drzwi za sobą.

XXX

Ricciardi opadł na krzesło za biurkiem. Wyżalił się siedzącemu naprzeciwko Maionemu.

– Słyszałeś to? Czyli albo jesteś bohaterem, albo przestępcą. Nic pomiędzy.

Maione milczał. Ricciardi westchnął.

– Muszę odsunąć cię od śledztwa, brygadierze. Od tej chwili już się tym nie zajmujesz. Dostaniesz piękną premię za to, co zrobiłeś. A więc miłego dnia, Maione, możesz odejść.

– Nigdzie nie idę, komisarzu. Zresztą ja od tego tam rozkazów nie przyjmuję – wskazał głową drzwi – tylko od swojego bezpośredniego zwierzchnika, którym jest pan. Znam pana od lat i wiem, kiedy praca jest skończona, a kiedy nie. A według mnie teraz to my wcale nie skończyliśmy, już wczoraj się zorientowałem, a upewniłem tylko dzisiaj rano, kiedy pana zobaczyłem. Ponadto przyjemność pokazania temu Garzowi i jego pieskowi Pontemu, że nie mają racji, jest zbyt silna, żeby się jej pozbawić. A na premię macham ręką, moje dzieci są przyzwyczajone do niewielkich pieniędzy. No i wreszcie – zakończył, naśladując wicekwestora i chwytając mały palec lewej ręki między dwa palce prawej – mnie tylko jedna rzecz bardziej denerwuje niż winny na wolności: niewinny w więzieniu.

Ricciardi potrząsnął głową i ponownie westchnął.

– Wiedziałem, że straszny z ciebie uparciuch. Przypomnij mi któregoś dnia, że mam cię wysłać na emeryturę. W każdym razie masz rację: jeszcze z tym nie skończyliśmy. Kilka rzeczy jest niejasnych i trzeba je zbadać, a potem możemy iść spać.

Maione położył gazetę na biurku.

– I tak według nich jesteśmy bohaterami. Niech pan tu przeczyta: „Policja

już po dwóch dniach niestrudzonego śledztwa odkryła i pochwyciła okrutnego mordercę tenora Vezziogo. Wszystkie szczegóły w kronice kryminalnej”. Skoro jesteśmy niestrudzeni, to musimy jeszcze trochę się potrudzić. Sami tak napisali, no nie?

– Właśnie. Musimy jednak uważać na Garza i jego ludzi, zatem weź dzień wolnego, za moją zgodą, której udzielam oficjalnie, żebyś mógł pójść z synem do lekarza. A tymczasem działaj. Znasz tego typka, co mieszka na górze, za Quartieri, jak on każe na siebie mówić... Babinella? Ten, co wszędzie się kręci i wszystko wie.

– Ten pedzio, co udaje kobietę?^[10] No pewnie, że go znam. Za każdym razem, kiedy wsadzamy kurwy do paki, on też jest z nimi, ubrany jak baba, a wygląda nawet lepiej niż niejedna, za przeproszeniem pana komisarza, prawdziwa kobitka. Ale jest sympatyczny, bardzo zabawny.

– O niego mi chodziło. Musisz go odnaleźć jeszcze dzisiaj. Zapytaj, co wie o tym nazwisku, tu ci zapisuję.

Wziął kartkę i zanurzywszy pióro w kałamarzu, napisał nazwisko i wręczył notatkę brygadierowi.

– Wszystko, czego uda ci się dowiedzieć. Absolutnie wszystko. Potem przyjdź do mnie i opowiedz.

Maione przeczytał nazwisko i przytaknął.

– Czyli to ona? Zorientowałem się, że dziwnie na nią popatrzył. Byłem pewien, że panu też to nie umknęło. Dobrze, komisarzu, niech się pan nie martwi.

– Jeszcze jedno i możesz odejść. Przyprowadź do mnie Nespolego.

Jak było do przewidzenia, Nespole nie mógł spać. Pojawił się u komisarza z głębokimi workami pod oczami, czarnym zarostem i potarganymi włosami. Widmo życiowej klęski zaczęło tańczyć wokół niego i – zdawał sobie z tego sprawę – już nie przestanie. W celi stanęli mu przed oczami ojciec, matka, rodzeństwo, wszyscy mieszkańcy wsi, ci, którzy dzięki mniejszym lub większym wyrzeczeniom opłacili mu studia, aby tylko zobaczyć z radością,

jak śpiewa w San Carlo. Kiedy wreszcie się tu znalazł, wszystko zniweczył.

Ale, wiedział także i to, nie mógł postąpić inaczej. Zachował się tak, jak należy. Dlatego w środku czuł się pogodny, kiedy obserwował zielone, przejrzyste oczy komisarza, mrugające powiekami z powodu ostrego porannego światła. Pomyślał, że ten glina, mimo wykonywania nikczemnej pracy, był może uczciwą i zasługującą na szacunek osobą. Chyba też musiał się w życiu nacierpieć. No i poprosił go tu teraz, zamiast zadowolić się wczorajszym wyznaniem. Chciał dojść do końca, zrozumieć. A to znaczyło, że był inteligentny. Inteligentny i uczciwy policjant to rzecz rzadka i niebezpieczna.

Ruchem ręki Ricciardi odprawił strażnika, który przyprowadził śpiewaka. Siedział ze splecionymi na wysokości ust dłońmi, z łokciami na biurku. Nespoli stał, z zapiętymi z przodu kajdankami. Po dłuższej chwili Ricciardi się odezwał.

– Nespoli, ja wiem wszystko. Zrozumiałem. Zrozumiałem już wczoraj wieczorem. Wątpię, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co robi, z tego, na co się wystawia. Pójdzie pan siedzieć na trzydzieści lat, wyjdzie stary, jeśli w ogóle wyjdzie. Taka osoba nie może spędzić trzydziestu lat z przestępcami.

Baryton wstrzymał oddech.

– Wiem, że to nie pan go zabił. I wiem nawet, kto to zrobił.

Nespoli zamrugał oczami, ale nic nie powiedział.

– Niech pan pomyśli o kimś, kto pana kocha, o mamie, rodzeństwie. Nie mogę uwierzyć, że nie ma pan powodu, aby chcieć żyć, aby być wolny. Choćby tylko po to, żeby śpiewać. Ma pan talent, słyszałem pana wczoraj.

Na twarzy Nespolego nie drgnął ani jeden mięsień. Po policzku zaczęła mu spływać łza. Zdawał się w ogóle jej nie zauważać.

– Tak silny jest pański związek z tą kobietą? Co ona dla pana zrobiła, że zasługuje na takie poświęcenie, dlaczego składa jej pan w darze własne życie?

Człowiek w kajdankach cały czas patrzył dumnie w oczy Ricciardiego, który pochylił się w ferworze przemówienia.

– Jeśli pan mi nie pomoże, to jak ja mam pomóc panu? Nie mogę już zajmować się tą sprawą, jeśli nie wycofa pan zeznania. Proszę pozwolić mi przynajmniej spróbować. Nie mogę przecież wysłać do więzienia niewinnego człowieka! Niech pan odwoła zeznanie.

Nespoli nic nie odpowiedział. Ricciardi westchnął.

– Jak pan chce. Wiedziałem, że właśnie tak się pan zachowa. – Zawołał strażnika i powiedział: – Odprowadźcie go.

Wychodząc, Nespoli zatrzymał się na progu, odwrócił się i powiedział cicho:

– Dziękuję, panie komisarzu. Jeżeli kiedykolwiek pan kochał, to mnie pan rozumie.

Rozumiem, pomyślał Ricciardi. Po chwili zapukał Ponte.

– Przepraszam, panie komisarzu, wicekwestor chce z panem rozmawiać u siebie.

Ricciardi wstał i poszedł do dużego pokoju w głębi korytarza. Jeszcze zanim dotarł do przymkniętych drzwi, wyczuł ostry korzenny zapach, który już znał. Garzo miał gościa.

– Ach, drogi Ricciardi, proszę wejść. Zna pan panią Vezzi, prawda?

Livia siedziała naprzeciwko wicekwestora, z nogą na nodze, spowita w skromną, ale zmysłową obcisłą czarną suknię. Woalkę miała podniesioną. Livia paliła. Piękne oczy wpatrywały się w Ricciardiego, a usta szykowały do uśmiechu. Była podobna do pantery, gotowej zasnąć lub rzucić się na zdobycz: i jedno, i drugie wydawało się możliwe.

– Pani Vezzi dowiedziała się z gazety, że aresztowano mordercę – powiedział Garzo – i przyszła pogratulować. Powiedziała mi, że wyrazi swoje zadowolenie najwyższymi władzom w Rzymie, do których ma dostęp. Nawet osobie naszego kochanego Duce, z którym, jak i z jego żoną, jest zaprzyjaźniona. Chciała pana zobaczyć, żeby pogratulować.

Ricciardi cały czas stał. Nie odrywając wzroku od kobiety, zwrócił się do Garza.

– Pani Vezzi przypisuje naszemu działaniu zbyt duże znaczenie. Tak

naprawdę powinniśmy byli zbadać sprawę dogłębnie. Może mieliśmy tylko szczęście, zyskując to zeznanie podejrzanego.

Garzo zaniepokoił się i rzucił wściekłe spojrzenie Ricciardiemu, którego ten nie pochwycił, jako że nadal był zapatrzony na wdowę.

– Cóż pan mówi? Nasz Ricciardi, jak zwykle, jest za skromny. W rzeczywistości aresztowanie było owocem niezwykle drobiazgowych dochodzeń, wyjątkowo, jak pisze gazeta, niestrudzonych. Ja sam, upraszam, aby zechciała to pani zapamiętać i następnie przekazać dalej, często udzielałem komisarzowi wskazówek operacyjnych, dzięki którym udało się nam zaskoczyć winnego. Tenże zdecydował się wyznać wszystko, kiedy zebranymi przez nas niepodważalnymi dowodami przyparliśmy go do muru. Czy nie tak było, Ricciardi?

Ton Garza był wyjątkowo złowieszczy. Livia nadal paliła, przyglądając się Ricciardiemu.

– Nie mam wątpliwości, że państwa... zespołowa praca, tak się chyba mówi, przyniosła efekty. Ja sama miałam okazję bezpośrednio obserwować komisarza Ricciardiego i mogę zaświadczyć, że nic nie jest w stanie oderwać go od pracy, to człowiek wprost nieoceniony.

Garzo nie był skłonny dać się odsunąć i usiłował jak zawsze postawić na swoim.

– Zaiste, to jeden z naszych najlepszych ludzi. Ten sukces, jak była pani łaskawa zauważyć, to sukces zespołowy, który zawdzięczamy naszej umiejętności doboru odpowiednich ludzi do odpowiednich zadań. Czy nie tak, Ricciardi?

Przywołany po raz kolejny do odpowiedzi, Ricciardi nie mógł już dłużej milczeć.

– Pan kwestor Garzo ma rację. Cokolwiek powiedział, mówi czy powie. Jeżeli o mnie chodzi, wie pani, że robię to, co do mnie należy. Przynajmniej próbuję. Mogę już odejść?

Livia przytaknęła.

Garzo syknął:

– Niechże pan już idzie, komisarzu. I proszę pamiętać o tym, co sobie niedawno wyjaśniliśmy.

Ricciardi skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

XXXI

Jakieś dwie godziny później do drzwi Ricciardiego zapukał syn Maionego, szesnastoletni chłopak, którego komisarz widział parę razy z ojcem.

– Dzień dobry, panie komisarzu. Tata mówi, żeby pan przyszedł do Caffè Gambrinus na placu Plebiscito. Ma z panem do pogadania.

– Dziękuję, już idę.

Brygadier Maione po cywilnemu jeszcze bardziej wyglądał na policjanta, niż kiedy był w mundurze. Ricciardi sam nie wiedział dlaczego, może ze sposobu noszenia kapelusza albo przez jego zbyt sztywny chód. Faktem jest, że wyglądał na policjanta. Brygadier czekał przy tym samym stoliku co zwykle, tam gdzie zazwyczaj siadał Ricciardi, żeby zjeść ciastko w porze obiadowej. Kiedy zobaczył komisarza, zaczął się podnosić, ale ten powstrzymał go ruchem ręki i sam usiadł.

– Zamówiłem dla pana kawę i ciastko.

– Dziękuję, ja płacę, premii jeszcze nie dostałeś. Ale ten twój syn wyrósł, moje gratulacje! Jest podobny do... mamy.

– Jest podobny do Luki, komisarzu. Może pan to śmiało powiedzieć, myśli pan, że sam tego nie widzę? Identyczny. Któregoś dnia powiedział, że też chce zostać policjantem. Matka uciekła wypłakać się do sypialni, ja powinienem był dać mu w twarz. Krzyknąłem: „Nigdy więcej tego nie mów!”. To straszny zawód, lepiej już być przestępcą.

– Nie mów głupstw, sam tak nie myślisz. Chłopak powinien zrobić to, na co ma ochotę. Zresztą, gdy patrzy na tego swojego mułowatego ojca, nic dziwnego, że też chce zostać policjantem.

– A może nawet i komisarzem, za pozwoleniem.

– Może. No i czego się dowiedziałeś?

– Rozmawiałem z Bambinellą, byłem u niego w San Nicola da Tolentino.

Powinien go pan zobaczyć, miał damski szlafrok i spięte włosy. Nawet go nie poznałem, bo zawsze był w pełnym makijażu. „Pan brygadier, co za zaszczyt! Wreszcie się pan zdecydował?”. O mało go nie skopałem! Tak powiedzieć do mnie! Zaprosił mnie do nory, w której mieszka, i nawet poczęstował *surrogato*. Wyjaśniłem mu, o co nam chodzi. On już wszystko wiedział. Podobno ta nasza kobieta jest bardzo znana w Quartieri. Prawdę mówiąc, Bambinella od razu mnie zapytał, po co mi ta informacja. Odpowiedziałem, że głównie po to, żeby go wysłać do więzienia z powodu obrazy moralności. Odpowiedział: „Jasne, rozumiem, do dyspozycji pana brygadiera”. I zaczął mówić.

Ricciardi zjadł kawałek ciastka.

– Dlaczego ta panienka jest tam znana?

– Ponieważ jest piękna, ponadto umie czytać i pisać i uczy dzieci, które nie chodzą do szkoły, czyli większość z nich, no i, a to najbardziej interesująca sprawa, przez kilka miesięcy mieszkała z takim jednym. Bambinella nie zna jego nazwiska, ale nazywali go Śpiewakiem. Na tę dziewczynę mówią Narzeczona Śpiewaka, mimo że już nie mieszkają razem.

– Od kiedy?

Maione przejrzał notatki spisane na kartce, którą wyjął z płaszcza.

– Mniej więcej od Bożego Narodzenia.

– No tak, to jasne.

– Dlaczego jasne?

– Bo wtedy wszystko się zaczęło. Przyjechał Vezzi i ta panienka wyrzuciła Śpiewaka z domu pod jakimś pretekstem. A zgadnij, kim jest ten Śpiewak?

– No, przecież Nespoli, jakżeby inaczej.

Ricciardi przesunął dwoma palcami po wargach, żeby pozbyć się resztek cukru, i przytaknął.

– Świetnie, to Nespoli. I oto mamy rekonstrukcję jego tajemniczej przeszłości, wiemy, gdzie podziewał się wcześniej, zanim wprowadził się do niej. Mów dalej.

– Teraz mieszka sama. Jest trochę zamknięta w sobie, nie opowiada za

duzo. Ale mam informację naprawdę dużego kalibru: panienka jest w błogosławionym stanie. Potwierdza mi to jej dozorczyńni, bo jakiś czas wcześniej, w nocy, źle się poczuła, wymiotowała i takie tam rzeczy, jak to one. Uwierzyłyby pan, komisarzu? Bambinella był cały zielony z zazdrości, kiedy mi o tym opowiadał!

Ricciardi pochylił się w stronę brygadiera, jak zawsze, kiedy słuchał z największą uwagą.

– W ciąży. No tak, łagodne zwierzątko, które zamienia się w bestię. Zapytałeś też o tę drugą rzecz, o którą cię prosiłem?

– Oczywiście, komisarzu, miał pan jak zwykle rację – Maione skinął głową z podziwem. – Ta panienka pisze nie tą ręką co wszyscy.

Popołudnie minęło wolno, a wiatr cały czas potrząsał miastem.

Ricciardi siedział zamknięty w pokoju, starając się przepchnąć papierkową robotę zaniechaną w ostatnich dniach, ale trudno mu było się skupić. Ułożył już sobie w głowie cały ciąg zdarzeń. Tylko dlaczego Vezzi płakał, kiedy został zabity?

Komisarz często sprawdzał godzinę, miał spotkanie z pewną osobą, która o tym spotkaniu nic nie wiedziała, i nie mógł się na nie spóźnić.

Wyjący wiatr pod arkadami San Carlo był jeszcze silny. Stojąc za rogiem, z podniesionym kołnierzem i potarganymi włosami, Ricciardi wyobrażał sobie, jak musiało wyglądać to miejsce bez ustawicznego zawodzenia. W ciągu ostatnich trzech dni był tu w sumie trzy razy, a wiatr nigdy się nie uspokoił. Z oddali, kiedy nie przejeżdżało wiele samochodów ani zgrzytających tramwajów, słychać było nawet huk morza. Nie czekał długo. W drzwiach wychodzących na ogrody pojawiła się osoba, z którą miał porozmawiać, w towarzystwie dwóch innych kobiet. Ricciardi od razu je poznał: Maria i Addolorata. Przyglądał się szczupłej sylwetce młodej kobiety, dla której tu przyszedł. Co za błąd w ocenie! Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, była nijaka. Dźwigała ciężki wieszak z kostiumem Pajaca, ze wzrokiem wbitym w ziemię i skulonymi ramionami. Kobieta, która zatrzymała serce Vezziego i ukradła serce Nespolego, kobieta, której jasny

włos znalazł na szlafroku w pensjonacie na Vomero. Kobieta, która mieszkała z biednym barytonem i która wyrzuciła go z domu w Boże Narodzenie, kiedy zaczęła się jej miłosna historia z bogatym tenorem: Maddalena Esposito, do usług, panie komisarzu.

Zobaczyła go i stanęła. Może przez chwilę myślała, żeby uciec. Potem pożegnała się pospiesznie z koleżankami i wyszła mu naprzeciw. Była piękna. Ricciardi zorientował się dopiero w tej chwili. I nie mogło być inaczej, ponieważ nie zawsze tak wyglądała. Tylko wtedy, kiedy jej to odpowiadało.

– Dobry wieczór, panie komisarzu, co za niespodzianka, pan tutaj?

– Dobry wieczór, przejdziemy się?

Kobieta wydawała się zaciekawiona.

– Jest pan tu chyba służbowo?

– To zależy, zależy od pani. Powiedziałbym, że raczej nie.

Maddalena przytaknęła, potem zaczęła iść w stronę placu.

Przeszli w milczeniu jakieś sto metrów. Ricciardi wiedział, że to on musi pierwszy odsłonić karty, w przeciwnym razie kobieta pozostanie schowana za zeznaniami Nespolego. Nie miał zamiaru nie doceniać inteligencji Maddaleny, udało się jej ukryć, jaką rolę od samego początku odgrywała w tej sprawie.

– Mogę zaproponować pani kawę? Na tym wietrze trudno rozmawiać.

Maddalena przytaknęła. Na głowie miała ciemną chustkę, a szorstki szal zakrywał jej szyję i usta. Była ubrana w wyświecony czarny płaszcz, dwukrotnie przerabiany zręcznymi rękami krawcowej.

Znaleźli otwartą kawiarnię w środku Galerii Umberto I i usiedli przy oddalonym od reszty stoliku.

Kobieta, zdjawszy płaszcz i chustkę, ułożyła wszystko na kolanach. Miała delikatne, subtelne dłonie, podobnie jak rysy twarzy. Zebrane do tyłu i związane włosy miały naturalny kolor złota jak jej brwi. Ciemna skóra przyjemnie z nimi kontrastowała. Najbardziej zaskakiwały w niej oczy: intensywnie błękitne, z żółtymi błyskami, przypominające kocie. Widząc je,

komisarz zrozumiał, dlaczego ciągle spuszczała wzrok i unikała patrzenia w twarz osobie, która się jej przyglądała. Nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi.

– Mógłbym udawać i powiedzieć pani, że Nespoli zdradził nam jej nazwisko. Albo mógłbym też przesłuchać panią i zmusić do przyznania się. Nie sądzę, że mogłaby pani pozwolić sobie na wystarczająco dobrego adwokata, żeby wybronił ją przed sądem. Wiem, co się stało, to dla mnie jasne. Nie mogę pozwolić, aby przez to kłamstwo ten chłopak poszedł do więzienia i został tam trzydzieści lat. Za coś, czego nie zrobił lub czego nie zrobił sam. Chcę zatem zrozumieć. Musi mi to pani wytłumaczyć.

Dwa sumienia, dwie inteligencje, jedna kontra druga. Bez udawania i bez masek.

Kobieta położyła sobie rękę na brzuchu.

– Czy pan wie...

Stwierdzenie, nie pytanie. On przytaknął.

– Nazywam się Esposito, bo zostałam porzucona zaraz po narodzeniu^[11]. Wie pan, że prawie wszystkie porzucone dzieci umierają? Mogą przeżyć tylko te silne, i to bardzo silne. Ja chorowałam, cierpiałam głód, może z dziesięć razy uznali, że nie przeżyję. I nikt by po mnie nie rozpaczął. A jednak przeżyłam, pomagając sobie rękami i zębami. Wszystkich zadziwiało to słabowite dziecko tak uczone życia. Potem, jako że chciałam żyć, uczyłam się. Czytać i pisać; siadywałam koło zakonnicy robiącej rachunki, nawet ze mną nie rozmawiała, ale przyglądałam się. Nauczyłam się szyc od innej zakonnicy, która naprawiała ciągle te same sukienki, a potem pomagałam jej, podczas gdy inne podrzutki bawiły się lub umierały. No i głód: nawet nie chcę panu mówić, co jadałam jako dziecko, żeby tylko przeżyć. Najstraszniejsze rzeczy.

Ricciardi zastanawiał się. Odwieczny wróg znowu się pojawił: głód we własnej postaci!

– Ale inne umierały, nawet te, które wydawały się silne. Na ospę, cholere, tyfus albo dyfteryt. Jakie pan jeszcze chce choroby, komisarzu? Znam się na

nich lepiej niż lekarz, mogę poopowiadać. A potem pewnego ranka poczułam się gotowa i odeszłam. Nie dziękując, nic ze sobą nie zabierając. A co niby miałabym zabrać? Nic nie miałam. I za co miałabym dziękować? Nic mi nie dały. Spałam na ulicy, jadałam razem z psami, dałam radę. Nawet w burdelu mnie nie chcieli, byłam za chuda, wyglądałam koszmarnie. Ale coś jednak umiałam robić: kroić i szyć. Lewą ręką.

Podniosła ją do góry, jak gdyby chciała się pochwalić trofeum czy medalem. Ricciardi poczuł dalekie drżenie serca na myśl o innej małej wyszywającej dłoni.

– Pracowałam u jednego krawca, starego capa, który mnie wykorzystywał. Pozwalałam mu, musiałam jeść. Czekałam, aż skończy. Spałam w bramie sklepu. Potem, któregoś dnia, do sklepu przyszła pani Lilla, chciała kupon materiału, który zobaczyła na wystawie. Wystarczyła jej chwila. Pani Lilla ma dobre oko. Zrozumiała, że jestem zdolna, że dużo pracuję i że ta świnią mnie wykorzystuje. Odwołała mnie na bok. Dzień później pracowałam w San Carlo.

Powiedziała to, jak gdyby trafiła do raj. Wbrew sobie Ricciardi zobaczył obrazki z życia tej kobiety i ogarnęło go współczucie. Jednak w jego myślach postać Vezziego śpiewała i opłakiwała lata, które mogła jeszcze przeżyć i których przeżyć nie było jej już dane.

– Tam było światło, ciepło, a także muzyka. Ja nigdy nie słyszałam muzyki, komisarzu. Jakieś pianina, radia z otwartych w lecie okien. Ale takiej muzyki jak tam to nigdy. Chwyta cię za duszę, sprawia, że czujesz, że żyjesz. Potem śmiałyśmy się, tańczyłyśmy. W dodatku płacili mi za to, życie jak z bajki! Mnie, która jeszcze parę dni wcześniej wyszarpywała odpadki szczurom i psom! Nigdy bym stamtąd nie odeszła, pracowałam do późna, pierwsza przychodziłam rano. Pani Lilla porozmawiała ze swoim przyjacielem woźnicą, miał pokój nad Quartieri, wydzielony ze strychu. Prawdziwy dom! Czułam się jak hrabina.

Kobieta miała marzycielski wzrok, jak gdyby opowiadała bajkę. Przed nią stała filiżanka parującej kawy, nie wypić jeszcze ani jednego łyka.

– Tak mi się żyło przez dwa lata. Byłam dobra, najlepsza w swoim fachu.

Ale nie chciałam wszystkiego zniszczyć, ujawniając swoje zdolności, mnie to odpowiadało. Zachowuję się tak, żeby nikt się nie zorientował, że istnieję, bo wiem, dobrze mnie tego życie nauczyło, że jeśli cię dostrzegą, to wcześniej czy później coś ci zrobią. I tak się stało.

Przez jej twarz przemknął cień, jak gdyby niespodziewana chmura na niebie. Maddalena westchnęła i ciągnęła dalej.

– Michelego znalazłam pewnego wieczoru, wracając bardzo późno z pracy. Nazajutrz była *Traviata*, a kostiumy ze sceny balu są bardzo trudne. Leżał na ziemi, w bramie, o mało co po nim nie przeszłam. Wyglądał na martwego. Co miałam zrobić? Ja też kiedyś umierałam z głodu, leżąc w bramach. Mogłam się tym nie przejąć, pozwolić, żeby zdychał, byle tylko nie narobić sobie kłopotów? Nie. Kto by po tym później mógł spać? No więc mu pomogłam. Zabrałam do siebie. W innych dzielnicach, w innych domach nie pozwoliliby mi na to. Ale tu, w tym mieście, to, za pozwoleniem pana komisarza, biedacy są często lepsi od policjantów. Biedacy, którzy uciekają, głodują, pomagają sobie nawzajem. Bo wiemy, panie komisarzu, że jeśli my sobie nie pomożemy, to nikt inny nam nie pomoże. Tak więc jeśli Michele żyje, to dzięki mnie. I dzięki sąsiadom z kamienicy i naszego zaułka. Dzięki dzielnicy. On to wie, i to bardzo dobrze, to właśnie zobaczył pan w jego spojrzeniu.

Ricciardi znał doskonale sytuację w mieście. Był boleśnie świadomy tego, co kobieta mu opowiadała, i niemożności zmiany takiego stanu rzeczy.

– Wszystko stało się tak naturalnie. Michele jest przystojny, miły i dobry. On też wiele wycierpiał i nadal cierpi. Stanął na nogi, został ze mną. Kocham go, on mnie kocha i dla nas obojga to pierwszy raz. Rozmawiałam z panią Lillą, z Lasiem, kierownikiem sceny, który przedstawił sprawę dyrygentowi. Nikt o nas nie wiedział, mówiłam, że jedna z moich przyjaciółek usłyszała, jak śpiewa w jakimś lokalu. Od razu go zaangażowali, kiedy tylko usłyszeli; ma głos anioła.

W tonie Maddaleny wyczuwało się dumę. Ricciardi usiłował zrozumieć, co czuła do Nespolego. Była do niego przywiązana, to prawda. Ale chyba nie zakochana?

– Nie wzięliby go, gdyby wiedzieli, że mieszka z kimś bez ślubu. Takie jest to środowisko, panie komisarzu. Tak więc znalazł sobie własne mieszkanie.

– I znalazł je przez przypadek dokładnie wtedy, kiedy spotkała pani po raz pierwszy Vezziego.

Kobieta przyjęła cios.

– Tak. Kiedy spotkałam Vezziego. Ojca mojego dziecka.

XXXII

Poryw wiatru przeleciał przez Galerię, wprawiając w drżenie szybę kawiarni, jak gdyby chciał podkreślić w dramatyczny sposób słowa kobiety.

– Jest pani pewna?

Maddalena uśmiechnęła się smutno.

– Taką jak ja trzeba dopytać, prawda? Taka jak ja dziecko może mieć z każdym. Z pierwszym lepszym. Ale pańskiej narzeczonej, o nie, pańskiej narzeczonej to by pan takiego pytania nie zadał.

Teraz to Ricciardi uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie, nie zapytałbym. Ani o to, ani o inne rzeczy. Proszę mi wybaczyć. Niech pani mówi dalej.

– Panią Lillę tego dnia bolały plecy. W rzeczywistości nic jej nie było, ale nie chciała mieć kontaktów z Vezzim. Nikt nie chciał. Kiedy poprzednio przyjechał do Neapolu, chyba jakieś dwa lata temu, wyrzucono przez niego dwie osoby. Powiedział, że nie nadają się do pracy. Był właśnie taki. Tylko on się liczył. Trzeba było wziąć miarę do kostiumów z *Pajaców*, miałyśmy je uszyć. Zawsze tak robimy, dwa, trzy miesiące wcześniej. Na Boże Narodzenie Vezzi, a potem w styczniu pojawiła się reszta zespołu. On był bardzo drobiazgowy, chciał zobaczyć scenografię, meble, wszystko. No i przede wszystkim swoje kostiumy. Właśnie rozmawiałam z Michele, kiedy się pojawił. Zobaczyłam go przed wejściem do teatru, pamiętam, jakby to było przed chwilą. Nigdy go nie widziałam, wysiadł z auta razem z dwoma innymi mężczyznami. Wysoki, potężny, w kapeluszu i szaliku. Nie był przystojny, ale był bogaty. To było widać, panie komisarzu: bogaty, z pieniędzmi, ale nie tylko. Miał także władzę. Mógł robić wszystko, co chciał. Wchodząc, popatrzył na nas, na mnie i na Michelego. Na mnie. I uśmiechnął się takim uśmiechem dzikiego zwierzęcia. Ja znam ten uśmiech, komisarzu, zanim się do mnie dobiorą, mężczyźni tak właśnie się uśmiechają.

Kiedy wiedzą, że kobieta nie może już donikąd uciec.

– A Nespoli tak na panią patrzył?

– Nie, Michele nie. Michele traktował mnie jak księżniczkę. Dla niego jestem księżniczką. I zawsze byłam. To właśnie Michele powiedział mi, że to Vezzi. Głos mu drżał z emocji. Powiedział mi: „Czy ty wiesz, kto to jest? To Vezzi, bóg tenorów”. Właśnie tak: bóg tenorów. I zachowywał się jak bóg. Jeśli coś chciał, to brał, potem kiedy już się znudził, wyrzucał. A jeśli nie mógł kogoś komuś zabrać, tracił zainteresowanie.

– A panią zobaczył z Nespolim?

– Tak, zobaczył mnie z Michele. Powiedział mi potem, że widział, jak na siebie patrzyliśmy, a dokładniej, jak on na mnie patrzył. Powiedział: „Ten chłopak miał palące spojrzenie, zdawać by się mogło, że chce cię pożreć”. A on, bóg, nie mógł znieść, że w jego obecności jakiś mężczyzna patrzył w taki sposób na kobietę, bo liczył się przecież tylko on. Tak zachowują się bezdomne psy, poznałam je, żyjąc na ulicy. Taki był właśnie Vezzi. Gorszy od psa. Psy się nie śmieją.

– I co się potem stało?

– Potem pani Lilla posłała mnie do jego garderoby, żebym wzięła miarę. „Ty idź, Maddaleno – powiedziała – ja jestem w takim stanie, że dam się wyrzucić z teatru przez tego szalonego prostaka”. Ale w stosunku do mnie był niezwykle uprzejmy. Nie pozwolił sobie na nic, nie dotykał mnie. Tylko mówił, i to dużo. Powiedział, że jest samotny i smutny. Że żona nie rozmawia z nim już od lat. Że pośród tych wszystkich ludzi, którzy go otaczali, nie ma nikogo, kto by naprawdę go kochał. I że jeśli mu się poszczęści i znajdzie jakąś kobietę naprawdę mu bliską, to nigdy jej nie porzuci. I że chce dziecka.

Niespodziewanie Maddalena zanosła się ponurym, podszytym płaczem śmiechem.

– Chciał mieć dziecko. Swoje dziecko, powiedział mi, stracił, bo żona nie dbała o nie i nie zorientowała się w porę, że synek ma wysoką gorączkę. Był wspaniały, komisarzu. Być może przez tę pracę w teatrze myślał, że życie to też rola do zagrania. Jak zabawa. A ja, sprytna Maddalena, która przeżyła

głód, pragnienie i choroby, która walczyła z psami, szczurami, z ludźmi, uwierzyłam mu. Dzień później zawiadomiłam teatr, że nie czuję się dobrze, powiedziałam Michelemu, że idę odwiedzić starą zakonnice, która zachorowała, i spędziłam cały dzień na Vomero. Z nim. I następny dzień też. Zapomnieliśmy o całym świecie w tym pokoju na Vomero.

– Pensione Belvedere.

Maddalena skrzywiła się znużona.

– To też pan wie... tak, w pensjonacie Belvedere. Powiedziałam mu, którym tramwajem ma tam dojechać; jeśli pojawiłby się w dorożce lub taksówce, wszyscy mogli się zorientować. Wszedł pan do pokoju, widział go pan? A zatem widział pan miejsce, w którym byłam szczęśliwa, jedyne miejsce w moim życiu, w którym naprawdę byłam szczęśliwa. Nazywał mnie swoją jasnowłosą wróżką, gładził po włosach. Mówił, że już skończyło się moje cierpienie, że zostawi żonę i cały świat, żeby być ze mną. Że ten cały świat rzuci mi do stóp.

– A pani mu uwierzyła.

– A ja mu uwierzyłam. Bo chciałam mu uwierzyć. Bo takie rzeczy się zdarzają, także w życiu. Jedna z moich koleżanek wyszła za męża za handlarza artykułami metalowymi, mieszkała nad burdelem na Sanità, a teraz żyje jak wielka pani i udaje, że nas nie poznaje na ulicy. Mnie nie mogło się to przydarzyć?

– A nie pomyślała pani o Nespolim?

Maddalena skrzywiła się, jak gdyby przeszył ją ból.

– Michele... dwa biedaki, ja i Michele. Jaka przyszłość nas czekała? Gdyby nawet on odniósł sukces, to jak mógłby pokazywać się z taką jak ja? Jaka przyszłość nas czekała? W każdym razie ja już do niego nie należałam. Należałam do Arnalda od pierwszej chwili, kiedy na mnie spojrział. Przed wyjazdem powiedział mi, że uporządkuje swoje sprawy i wróci po mnie. I żebym tymczasem nic nikomu nie mówiła, bo w przeciwnym razie jego żona, która zna ważnych ludzi, zrobi wszystko, żebyśmy nie mogli być razem. Miałam cierpliwie czekać. I czekałam. Uwierzyłam mu. Pomyślałam sobie, że jest takim stanowczym mężczyzną z powodu swej samotności, ale

że przy mnie będzie najmiłą osobą na świecie. Pożegnałam go i wróciłam do codziennego życia. Które jednak już mi nie wystarczało.

– Nespoli też już nie.

– Już nie. Wszystko wydawało mi się takie... puste. Nawet te rzeczy, którymi przedtem się zachwyciłam. Marzyłam o klejnotach, futrach. Ale przede wszystkim o Arnaldzie, księciu, przy którym czułam się jak królowa. A tymczasem Michele chciał się ze mną ożenić. Nie czułam się na siłach powiedzieć mu, że to nie było możliwe, bałam się go. Michele jest niebezpieczny, ma specyficzny charakter, staje się gwałtowny. Powiedziałam, że lepiej poczekać, aż odniesie sukces.

– A potem odkryła pani...

– Tak, miesiąc później. Jaka ja byłam szczęśliwa, komisarzu! Pomyślałam, że dam Arnaldowi syna, którego stracił, że podaruję mu rodzinę i szczęście. Nie szukałam go, nie pisałam. Wiedziałam, że ma przyjechać, że przedstawienie odbędzie się w tych dniach, i czekałam. Czekałam, żeby mu to powiedzieć, chciałam zobaczyć wyraz jego twarzy. Za nic na świecie nie zrezygnowałabym z tego widoku.

– Po jego przyjeździe od razu go pani odszukała?

– Tak, oczywiście. Podeszłam, kiedy się pojawił w teatrze, drugiego dnia, przed próbą generalną. Powiedział, że musimy uważać, że sekretarz go pilnuje i o wszystkim donosi żonie i że zobaczymy się nazajutrz, w dzień próby, w Pensione Belvedere. No i oczywiście tam się spotkaliśmy.

– Powiedziała mu to pani w końcu?

– Nie. Był zmęczony, zdenerwowany. Nie chciałam mówić mu o tym, kiedy nie dopisywała mu forma. To była wspaniała wiadomość, tak ważna, że nie chciałam jej zepsuć, przekazując w nieodpowiedniej chwili. Zasnął, a kiedy się obudził, było już tak późno, że ledwie zdążył na próbę. Pożegnałam się z nim i powiedziałam, że go kocham. Potem pojechaliśmy do teatru, każde osobno.

Ricciardi pochylił się, świadomy, że zbliża się najważniejszy moment.

– I tak doszliśmy do wieczoru dwudziestego piątego.

Maddalena wyraźnie pobladła. Ponownie dotknęła brzucha.

– Muszę wiedzieć, co chce pan zrobić, komisarzu. Nie mogę myśleć tylko o sobie. Nie urodzę dziecka w więzieniu, wie pan, jak to jest. Oddają je do przytułku i potem żyje tak, jak ja żyłam. Nie chcę, żeby moje dziecko żyło tak jak ja. A więc?

Ricciardi wiedział, że Maddalena ma rację, i wiedział także, że jej dziecko jest niewinne. Myślał jednak o Nespolim i o łzie, która spływała mu po policzku tego ranka. I o łzach Vezziego. Czyż mógł udzielić wybaczenia w ich imieniu?

– Ja też nie chcę, żeby dziecko urodziło się w więzieniu. To mogę pani powiedzieć. Ale nie chcę pozostawić na trzydzieści lat w więzieniu niewinnego człowieka, którego jedyną winą jest to, że kochał kobietę. Która się nim posłużyła.

Maddalena zaczerwieniła się.

– Chciałam tylko chronić swoje dziecko. Chciałam... chcę, żeby żyło mu się lepiej.

– Proszę mówić dalej.

Zapadła cisza. Kobieta wiedziała, że komisarz nie odpuści, dopóki nie dowie się prawdy. Mogła jedynie powiedzieć mu, co się stało, pokładając nadzieję w tej iskierce człowieczeństwa, którą dostrzegała w głębi zielonych oczu jak ze szkła. Powróciła myślami trzy dni wstecz, po raz setny przeżywając swój ból.

– Poszłam od razu do jego garderoby. Już się umalował, ale dziwnie wyglądał z tą twarzą Pajaca. To nie znaczy, że nie podobał mi się, zawsze mi się podobał. Ale był zdenerwowany, odległy... Pomyślałam, że to z powodu opery. Wielki śpiewak zawsze denerwuje się przed występem. Uśmiechnęłam się do niego. I powiedziałam mu. Tak po prostu: spodziewam się dziecka. Popatrzył na mnie z puszką do pudru w ręku, potem spochmurniał i zapytał, dlaczego nie uważałam. Nie rozumiałam. Czy to nie była najpiękniejsza rzecz na świecie? Czy on nie był szczęśliwy tak jak ja? Powiedział, że nie ma się czym martwić, że da mi pieniądze. Nie

rozumiałam, o czym mówi. Że mam zamordować nasze dziecko? Przecież on już raz stracił swoje. Ścisnął mnie za rękę, zabołało. Krzyczał, że nie mam prawa mówić o jego dziecku. Przypomniałam mu jego własne obietnice, przecież to on powiedział mi, że już zawsze będziemy razem, zawsze. Wtedy mnie puścił, cofnął się i wybuchnął śmiechem. Najpierw cichym. Tak śmieje się ktoś, kto przypomina sobie coś zabawnego. Potem zaczął wulgarnie rechotać na całe gardło. Dyszał, mówił: „Ja i ty, razem... ktoś taki jak ja z taką jak ty... przedstawiam wam moją nową żonę, panią Szpulkęodnici... Moje dziecko, moje dziecko ze szwaczką...”. Śmiał się i śmiał, zgięty wpół... z ugiętymi kolanami...

– ...wyglądał, jakby oszalał, wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał trzymać mnie z daleka, bo tak go rozśmieszyłam... Łzy płynęły mu po twarzy...

...wysuniętą ręką, jakby chciał mnie odepchnąć...

– i ten śmiech, śmiał się tak bardzo, że zaczęły mu łzawić oczy. Płakał ze śmiechu... łzy spływały mu po policzkach...

– ...nie mógł przestać się śmiać! Ja czułam, jak zmieniają się moje uczucia względem niego. Czułam jego fałsz. Słyszałam przez drzwi, jak Michele śpiewa na scenie. Czułam jego miłość do mnie, a przed sobą słyszałam śmiech Pajaca. Czułam, jak nienawiść rozlewa się w moim ciele i wypełnia je.

Ja zemsty pragnę, ta pierś płomieniem pali...

– ...i wtedy właśnie moja dłoń chwyciła zawieszony na szyi nożyce, moje krawieckie nożyce. Uderzyłam go tylko raz, mocno, w szyję. Nie wiem, czy chciałam go zabić. Może chciałam tylko, żeby przestał się śmiać.

Uderzenie nożycami. Tego brakowało, kiedy cię zobaczyłem. I lewą ręką, bo jesteś mańkutem, jak moja Enrica, a zatem w prawą stronę, w szyję Pajaca, który stał przed tobą. W tętnicę...

– I przestał się śmiać. Rzęził, przyłożywszy rękę do gardła, tego tak bardzo cennego gardła. Usiadłam na kanapie, pod tym strumieniem krwi. Chciałam zobaczyć, jak umiera Pajac.

Czysta poduszka, no właśnie. Ty na niej siedziałaś. Patrząc, jak umiera Pajac. *Ja zemsty pragnę...*

– ...potem, jak we śnie, otworzyłam drzwi, żeby odejść. W tym momencie Michele schodził ze sceny. Nie wiem, czy Bóg istnieje, panie komisarzu. Ale to dziwne, że dokładnie wtedy, w miejscu, gdzie zazwyczaj tyle osób się kręci, tylko mój Michele nas zobaczył. Zobaczył mnie w zalanym krwią Vezziego fartuchu, z nożycami w ręku i rozerwaną wstążką na szyi. Wepchnął mnie do garderoby. Zobaczył, zrozumiał. Vezzi już się wykrwawił, ale nadal rzeził. Michele uderzył go w twarz...

Zbyt mały siniak jak na złamanie, powiedział lekarz, ofiara już się wykrwawiła...

– ...kazał mi zdjąć zabrudzony fartuch, potem zawinął w niego nożyczki, zbił lustro i usadził Vezziego na krześle. Wziął najbardziej ostry kawałek lustra i wbił mu go w ranę, do samego końca, przytrzymując zakrwawionym fartuchem. Potem kazał mi zostać i zamknąć drzwi na klucz. Wziął z szafy płaszcz, szal i kapelusz Vezziego, ubrał się, ukrył pod spodem fartuch. I wyskoczył przez okno.

Żeby pozbyć się wszystkich twoich śladów z miejsca zbrodni... Żeby nikt nie pomyślał, że to mogłaś być ty...

– Czekałam na niego ze zmarłym. Wydawało mi się, że śnię. Po minucie, a może po roku, usłyszałam cichy głos Michelego za drzwiami. Otworzyłam je, żeby go wpuścić.

Po tym, kiedy spotkał na schodach don Pierina, który wziął go za Vezziego...

– Michele powiedział, że musi zmienić buty, były ubłocone, i mógłby zostawić ślady na scenie, na którą niedługo wracał. Wtedy się ocknęłam, zrozumiałam, że muszę się pospieszyć, że mogę ocalić swoje dziecko od katastrofy. Tym razem to on czekał na mnie w garderobie, a ja poszłam na czwarte piętro. Powiedziałam, że przyszłam prosto z klasztoru od chorej siostry, i poprosiłam Marię, żeby pożyczyła mi swój fartuch.

O jeden rozmiar za duży, pamiętam go...

– Wzięłam buty i zniosłam je na dół. Nas, krawcowych, nikt nie zauważa, kiedy krążymy po teatrze. Trzymałam je pod za dużym fartuchem. Michele włożył je, a ja wróciłam na górę i zostawiłam tam te zabłocone. On zajął się kluczem.

Zamknięte drzwi, wyważone przez Lasia kopniakiem...

– Potem wzięłam kostium i powiedziałam pani Lilli, że jest gotowy. Skończyłam. Zrobiłam ostatnią poprawkę, ostatnie cięcie.

Ostatnie cięcie.

XXXIII

Wiatr nieustannie hulał po Galerii. Teraz kiedy Maddalena milczała, wydawał się jeszcze silniejszy. Czas jakby się zatrzymał. Kobieta patrzyła w pustkę i widziała swoje upiory, z teraźniejszością łączyła ją ręka położona na brzuchu.

Ricciardi poruszył się na krześle, przyciągając jej uwagę.

– Proszę mnie uważnie posłuchać, panienko. Pani los, jak i los Nespolego, a zwłaszcza los dziecka są ze sobą na zawsze związane. Nie może pani budować życia dziecka na kłamstwie i ukaraniu niewinnego.

Maddalena nadal patrzyła w pustkę.

– Znam pewnego adwokata, który jest mi winien przysługę. On będzie bronił Nespolego, który jeśli podtrzyma obecną wersję, nie ma żadnych szans. Gdyby ją jednak zmienił, może wtedy coś da się zrobić.

Kobieta otrząsnęła się.

– Szansa? Dla Michelego? Jaka?

– Zabójstwo w afekcie jest karane więzieniem maksymalnie do trzech lat. Aby została pani na wolności, musi pani powiedzieć, to mój warunek, że Nespoli interweniował, ponieważ Vezzi usiłował użyć siły i wołała pani o pomoc.

– A ja? A moje dziecko?

– Pani nic się nie stanie. Jest pani ofiarą. Ukrycie dowodów spadnie na Nespolego i za to też zostanie ukarany. Musi pani powiedzieć, że mieliście się pobrać i powiedziała pani o tym Vezziem, kiedy złożył pierwsze propozycje. Które pani natychmiast odrzuciła. I że nie powiedziała pani od razu wszystkiego ze strachu, bo jest w odmiennym stanie, i że to dziecko Michelego.

Maddalena podskoczyła.

– Ale to nieprawda, przecież wiem!

– Proszę mi wierzyć, dziecko tylko na tym skorzysta. Zresztą nie ma pani wyboru. Alternatywą jest więzienie.

Kobieta pochyliła głowę. To prawda, nie miała wyboru.

– Rozumiem, panie komisarzu. Ma pan rację, to jedyne wyjście. Zaczekam na Michelego. Ale czy sędziowie nam uwierzą? Vezzi był ważną osobistością, a my jesteśmy tylko biedakami, jakie mamy szanse?

I nagle z jasnych błękitnych oczu popłynęły wielkie łzy.

Kiedy okrążał Pałac Królewski, walcząc z silnym wiatrem utrudniającym poruszanie, Ricciardi myślał o głodzie i miłości. Tym razem dwoje starych wrogów zjednoczyło się, żeby popełnić zbrodnię. Zostawił Maddalenę, delikatną, kruchą i samotną, z chustką przykrywającą jasne włosy. Wymógł na niej przyrzeczenie, że następnego dnia pojawi się po pracy w kancelarii adwokata, komisarz zawiadomi go o wszystkim. I nic ją to nie będzie kosztowało. Potem Ricciardi zdecydował, że długi dzień jeszcze się nie skończył.

Wyczyszczone przez wiatr niebo było przejrzyste, a księżyc i gwiazdy oświetlały pustą ulicę. Kołysały się zawieszane nad jej środkiem latarnie. Miłość. Choroba czasami śmiertelna, ale konieczna. Może nie sposób bez niej żyć, myślał Ricciardi, idąc pod wiatr, z rękami w kieszeniach płaszcza. Z ciemnych zaułków obserwowały go czyjeś oczy. Rozpoznały komisarza i zdecydowały, że nie byłby odpowiednią ofiarą ostatniej już dzisiaj kradzieży. Doszedł do rogu ulicy Partenope, po lewej wysokie morskie fale roztrzaskiwały się o brzeg. Po prawej stały wielkie hotele.

W kuchni swojego mieszkania Enrica zakończyła porządki z typową dla siebie pedantyczną skrupulatnością. Kilkakrotnie zerknęła w stronę okna naprzeciwko, nadal z zasuniętymi zasłonami. Niepokój ścisnął jej serce, sama nie wiedziała dlaczego. Czuła się samotna i porzucona. Gdzie teraz jesteś, mój kochany?

Livia obserwowała zagniewane morze z okna trzeciego piętra hotelu Excelsior. Paliła i rozmyślała. Nazajutrz wyjedzie z tego miasta i spróbuje zacząć życie własnym życiem, po raz kolejny. Czy starczy jej na to siły? Spojrzała przelotnie na spakowaną już walizkę. Co ja stąd zabieram? A co pozostawiam w tym mieście, gdzie morze krzyczy na wietrze?

Nie myślała wcale o Arnaldzie, zdawało się jej, że nigdy go nie знаła. W wydmuchiwanym dymie ponownie ujrzała dwoje rozgorączkowanych zielonych oczu. Bijącą z nich dumę, rozczarowanie, samotność i, w głębi duszy, potrzebę miłości. Ale także cierpienie, niewyobrażalne cierpienie. Dlaczego nie pozwoliłeś mi, abym je ukołysała? Zaciągając się po raz ostatni, ponownie spojrzała na rozszalałe morze. W pianie fal dochodzących do ulicy ujrzała idącą pod wiatr sylwetkę. Rozpoznała ją. I serce podskoczyło jej do gardła.

W hotelowej recepcji portier nie chciał uprzedzić pani Vezzi. Ten potargany, przemoczony mężczyzna, z zielonymi, błyszczącymi od gorączki oczami, budził strach. Chciał zawołać bagażowych, żeby pomogli mu go wyrzucić, kiedy z windy wybiegła zdyszana pani Vezzi. Livia narzuciła płaszcz na nocną koszulę, rozpuściła gęste czarne włosy, włożyła pantofle i zeszła do hallu. Serce łomotało jej w piersi, usta były wyschnięte.

Przyszedł do niej.

Enrica usiadła w fotelu i wzięła pudełko z przyborami do haftowania.

Kolejne spojrzenie w stronę okna.

Nic.

Niepokój nie ustępował.

Chciało jej się płakać.

Ricciardi patrzył na Livię, nigdy jeszcze nie była taka piękna. Świetliste spojrzenie, pełne wargi rozchylone w uśmiechu. Powiedział jej, że musi porozmawiać. Że to ważne.

Zapytała gdzie, odpowiedział:

– Przejdźmy się.

Na zewnątrz dołączył do nich wiatr i morze. Zawieszona na środku ulicy latarnie kołysały się, oświetlając raz jedno z nich, raz drugie. Livią wstrząsnął dreszcz i przytuliła się do ramienia Ricciardiego.

Zaczął mówić.

Prawda nie była czasami taka, jak się zdawało. Właściwie to prawie nigdy. Trochę niby dziwne to światło latarni, popatrz, Livio: raz oświetla tę stronę, a raz tę. Ale nigdy wszystko razem. Trzeba sobie zatem wyobrazić to, czego zobaczyć nie sposób. Wyczuć dzięki słowom wypowiedzianym lub niewypowiedzianym, po jakimś śladzie, odcisku. Zapisku.

Ci, którzy wykonują mój zawód, umieją widzieć coś, czego inni nie widzą. I tak było tym razem, Livio. Twój mąż nie mógł zginąć z powodu żartu, wyzwiska. I rzeczywiście nie dlatego zginął. Chcesz wiedzieć dlaczego? Z powodu głodu i miłości. Dlatego właśnie. Teraz ci wszystko opowiem.

Livia słuchała głosu Ricciardiego pośród szumu morza i wycia wiatru. Już nie było jej zimno. Szła ciemnymi ulicami, wyjadała odpadki po bramach, pośród bezdomnych psów i szczurów. Uczyła się szyc od starej zakonnicy, chciała śpiewać w górskiej wiosce, w Kalabrii. Biła starego profesora z konserwatorium. Czuła na sobie ręce przeklętego, obleśnego krawca. Dawała się oczarować bogatemu i słynnemu tenorowi. Ponownie nosiła w łonie swoje dziecko, które było już żywe, choć jeszcze nienarodzone. I ponownie pełno krwi wszędzie.

Głos Ricciardiego kołysał Livię, która nie zdawała sobie nawet sprawy z własnych łez, spływających po jej policzkach razem z niesionymi przez wiatr kroplami morskiej wody. Szła, uczepiona silnego ramienia tego cierpiącego mężczyzny, a z podniesionego kołnierza płaszcza spływała na nią cała miłość cudzego cierpienia.

– Rozumiesz, Livio? Jeśli nikt w sądzie nie powie, kim naprawdę był Arnaldo Vezzi, wtrąca tego chłopaka do więzienia i już nigdy stamtąd nie wyjdzie. A dziewczyna zostanie sama, bo w tym mieście biedna i pohańbiona kobieta nigdy nikogo nie znajdzie. Dziecko stanie się towarem dla

przestępców, i to w najlepszym wypadku, jeśli wcześniej nie umrze pod dorożką lub zabite przez choroby.

Livia przeszła jeszcze kilka metrów, po czym powiedziała do postawionego kołnierza płaszcza:

– A ja, co ja mam zrobić? Rozumiesz, że teraz jestem szanowaną wdową po wielkim człowieku? Zostanę tchórzliwą niewdzięcznicą plującą na kogoś, kto już nie może się bronić.

– Pomyśl o dziecku, Livio. Pomyśl, jaką masz możliwość, aby ofiarować temu dziecku rodzinę i nadzieję na przyszłość. Jeśli chcesz, jeśli tak uważasz, pomyśl także o swoim synku, o tym, o co by cię poprosił, gdyby żył.

Kobieta mocniej ścisnęła ramię mężczyzny. Westchnęła pośród targającego jej włosy wiatru.

– A ty? Co jest dla ciebie? Ty nie masz nadziei na jutro? Dlaczego mi jej nie dasz, dlaczego nie będziemy dzielić jej wspólnie?

Szli w ciszy aż do hotelu. Portier obserwował ich zza szklanych drzwi.

Ricciardi zatrzymał się i spojrzał na Livię, Livię na wietrze i na tle morza.

– To nie jest mój czas, Livio. Ani moja przestrzeń. Masz prawo być szczęśliwa, masz prawo do szczęścia, którego nie zaznałaś. Jesteś piękna i młoda, Livio. Masz do tego prawo. Ja jeszcze nie.

Livia patrzyła na niego poprzez łąy morza i swoje własne.

– Masz rację. Zeznam przed sądem. Zrobię to dla mojego Carletta. I dla ciebie.

I nadal patrzyła na niego, na wietrze i na tle morza.

Wyszywająca kobieta poczuła, jak opuszcza ją niepokój. Jeszcze zanim podniosła głowę znad robótki, wiedziała, że zasłony w mieszkaniu naprzeciwno rozsunęły się.

Enrica uśmiechała się, nie przerywając haftowania.

Spotkanie z Ricciardim

Czekam na niego przy narożnym stoliku. Właśnie tam, bo wiem, że nie lubi siedzieć na środku sali, w centrum uwagi. I wiem, że chce widzieć ulicę przez szybę.

To nie jest dokładnie jego miejsce, zazwyczaj siada w drugim rogu, słabo oświetlonym przez kinkiet. Korzystam z tych kilku minut, które dzielą mnie od spotkania, żeby się rozejrzeć.

Tutaj, w Caffè Gambrinus, na placu Trieste e Trento, nic się nie zmieniło. A może nawet stiuki, dekoracje i obrazy wyglądają teraz korzystniej. Dzięki dokładnej, kompleksowej renowacji lokal prezentuje się lepiej niż w te pierwsze wiosenne dni roku 1931. Mam przed oczami ślady dymu z tysiąca cygar, świec, kuchni. I oparcia krzesel ustawianych plecami do ściany, pod lustrami, obrazami, kiedy lokal zamienia się w salę balową.

Co do reszty, śmiechy, zachwycone spojrzenia turystów, uwijający się kelnerzy we frakach, z ogromnymi tacami chwiejącymi się nad głowami licznych klientów, to wszystko jest mniej więcej takie samo jak wtedy. Przeszłość i terażniejszość zamieniają się w mojej głowie miejscami podczas tej podróży w czasie. Rozpocząłem ją, aby spotkać Luigiego Alfreda Ricciardiego, komisarza lotnej brygady w neapolitańskiej kweturze.

Widzę, jak pojawia się niczym jeden z jego duchów, ledwo widoczny zza okna wychodzącego na ulicę Chiaia. Idzie szybko, z pochyloną głową, z rękami w kieszeniach lekkiego płaszcza. Mija trzymające się pod rękę pary, które wdychają pierwsze lekkie powietrze, pachnące kwiatami i morzem.

Wchodzi chyłkiem, po chwili wahania poznaje mnie i podchodzi. Przez chwilę stoi przy stoliku, rzuca spojrzenie w stronę drugiego kąta, gdzie jakiś mężczyzna z wąsami i monoklem szepcze coś śmiejącej się na cały głos damie z nadwagą.

Ricciardi siada tak, żeby ich nie widzieć, jak gdyby nie chciał zostać

rozpoznany. Pochyliła głowę w geście powitania. Ja robię tak samo, mimo że chciałbym być bardziej wylewny. W sumie nikt nie zna go tak jak ja. Wiem jednak, że jeśli byłbym zbyt poufały, on zamknąłby się w swoim milczeniu, zaludnianym tylko przez cienie, i zaczął odpowiadać półsłówkami.

Podchodzi kelner, wita go z szacunkiem zarezerwowanym dla stałych, acz niezbyt sympatycznych klientów. Komisarz zamawia kawę i *sfogliatellę*. Mogłem się założyć, że tak robi.

– Witaj, Ricciardi – zaczynam. – Wybacz, że ci przeszkadzam, ale pragnę tylko chwilę pogadać. Nie chcę, żebyś przeze mnie tracił zbyt wiele czasu, dlatego zaczekałem, aż skończysz dochodzenie w sprawie Vezziogo.

Grymas twarzy jest u niego dalekim kuzynem uśmiechu.

– A któż lepiej od ciebie mógłby wybrać odpowiedni moment? To ty wiesz, co się stało wcześniej i co się stanie potem, nie ja. Co cię interesuje?

Trochę mnie razi ten sarkazm, ale w sumie ma rację.

– Miasto. Mógłbyś opowiedzieć mi trochę o tym mieście, tak na początek. Jakie jest dla ciebie? Jak się tu czujesz?

Patrzy przez okno. Przebiega jakiś chłopczyk, goni go mniejsza dziewczynka. Oboje śmieją się i znikają nam z oczu.

– Miasto... Ja przecież pochodzę z górskiej osady, w Cilento. W moich stronach znasz wszystkich, ich rodziny, wady i zalety, wiesz, czy mają pieniądze, czy nie. Tu nieustannie kręci się całe mrowie nieznanomych. Setki tysięcy wysp, na których coś się wydarza albo i nie. Ludzie krążą po trajektoriach, spotykając się, ścierając, rozstając. Takie to miasto.

Chwilę milczy, potem podejmuje wątek.

– Dla tych, którzy pochodzą ze wsi, to nie tylko miasto. To miasto inne niż wszystkie. Wydaje się wesołe, hałaśliwe, nieuporządkowane, i po części takie jest. Ale pod powierzchnią cały czas się gotuje, bogaci i biedni, zazdrość, zawiść, nieodwzajemniona miłość. Pulsujące, zaraźliwe namiętności, które wybuchają, zalewając dusze. I prowadzą do zbrodni.

Staram się, żeby powrócił do rodzinnych stron, żeby nie przestał mówić.

– Pamiętasz swojego ojca? Swoje dzieciństwo, osadę?

– Mojego ojca? Umarł, kiedy nie miałem jeszcze czterech lat, on miał czterdzieści trzy. Był wysoki, pamiętam jego szorstką rękę na mojej twarzy, wielką, ciepłą dłoń. Śmiał się pięknym, donośnym i zaraźliwym śmiechem, tak mi opowiadano. Sporo się różnił ode mnie, co? Zresztą kto by się śmiał w mojej sytuacji? A moje dzieciństwo... byłem synem barona, nie miałem wielu przyjaciół. Spędzałem czas na samotnych zabawach, wyobrażając sobie historie wzięte z bajek opowiadanych mi przez Rosę i Maria, zarządcę. On był niesamowity, ale zmienił się po powrocie z wojny, posmutniał. Kto wie, co tam zobaczył.

Kelner stawia kawę, wodę i talerzyk z ciastkiem przed komisarzem i odchodzi. Chyba chciał spędzić jak najmniej czasu przy naszym stole. Ricciardi zdaje się w ogóle tego nie zauważać.

– Moja matka wieczorami czytała mi książki. Rozumieliśmy się bez słów. Mało rozmawialiśmy i dużo na siebie patrzyliśmy. Rosa mówi, że jestem do niej podobny. Ale matka nie żyje, zresztą wiesz. Umarła dawno temu. Może była szalona. Może pod tym względem też jesteśmy do siebie podobni.

Tak właśnie to ujął, jakby mówił: zaraz zaczniesz padać. Patrzę, jak kruszy palcami ciastko i podnosi kawałek do ust. Przeżuwa, nie zastanawiając się nad smakiem, łapczywie połyka.

– Czy ty wierzysz w Boga, Ricciardi?

Pije łyk wody.

– Byłem w szkole, u księży. Msza, nieszpory, ćwiczenia duchowe. Mnóstwo słów. Ale brak mi wystarczających elementów, żeby stwierdzić, czy jakiś bóg istnieje, czy nie. Z czasem, wykonując ten zawód, przyzwyczałem się do szukania śladów. Wszystko zostawia jakiś ślad. Ja jeszcze Boga nie znalazłem, jego śladów też nie.

Odzywam się, zanim pomyślę. I zbyt późno zdaję sobie sprawę z popełnionego błędu.

– Ale przecież twoje wizje...

Patrzy na mnie, po raz pierwszy. Zielone, lodowate oczy, przeszywające cię na wylot, bez żadnego wyrazu.

– Ja nie widzę zaświatów. Nie rozmawiam z umarłymi jak medium, jedno z tych, które organizują seanse spirytystyczne i biorą pieniądze od biedaków niemogących pogodzić się z utratą bliskich.

Staram się jakoś to wyprostować.

– Ale przecież to zmarli mówią do ciebie. Czy tak nie jest?

Nie odrywa wzroku od mojej twarzy. Kelner zerka na nas i wychodzi z sali.

– Ja widzę ból. Widzę żal, cierpienie. Wyczuwam echo znikającej miłości, łamiących się szponów, które usiłują przytrzymać ostatni skrawek uchodzącego życia. Słyszę ryk towarzyszący spadaniu w przepaść. To ostatni kawałek życia, a nie początek śmierci. Powinieneś to wiedzieć.

I rzeczywiście wiem. Strasznie jest słyszeć, jak mówi ci to w twarz.

– Dlaczego pracujesz, Ricciardi? Jesteś bogaty, z arystokratycznej rodziny. Powinieneś uciec od tego przeznaczenia, biegać ulicami, na których nie ma zmarłych, pełnymi kwiatów i piękna. W twoich czasach tacy jak ty są uprzywilejowani, mogą żyć, udając, że nawet z daleka nie dostrzegają cierpienia. Dlaczego wybrałaś właśnie taką drogę?

Znowu patrzy przez okno na toczące się życie.

– A czemu miałoby to służyć? Nie powinienem chodzić po ulicach ani nawet wychodzić z domu. I tak cię dopadną, zdajesz sobie z tego sprawę? Pojawiają się ze swym cierpieniem tam, gdzie najmniej się ich spodziewasz, przypominając ci, że są, na każdym rogu. Jedyne sposobem to stawić im czoło z odkrytą twarzą, postarać się wszystko ułożyć. Uporządkować, aby zapewnić im odrobinę spokoju tam, dokąd poszli. Zakładając, rzecz jasna, że dokądś poszli.

Myślę o dochodzeniu, które właśnie skończył. Vezzi, jego talent, nadużycia, wykorzystywanie władzy, które doprowadziło go do śmierci.

– I postanowiłaś zostać kimś, kogo nazywa się człowiekiem w służbie prawa. Ale przecież ty nie zawsze postępujesz zgodnie z prawem. Tym razem, na przykład, postąpiłaś po swojemu. Uważasz, że to słuszne? Nie jesteś sędzią, tylko policjantem.

Kończy jeść ciastko, pozbywając się cukru z ust dwoma palcami. Co jakiś czas zerka w stronę stolika w przeciwległym rogu. Zajmująca go para już sobie poszła, teraz jest wolny.

– Nie, nie jestem sędzią. I nawet nie chciałbym nim być. Prawo to jedno, a sprawiedliwość drugie. Podążając za prawem, czegoś nie bierze się pod uwagę. Dzieci. Myślałeś kiedyś o tym? Osądzasz kogoś po tym, co zrobił czy czego nie zrobił. Ale nigdy nie myśli się o tym, co ta osoba zrobiła dla innych, o jej kontaktach, o tym, jak kara wpływa na niewinnych. Kobieta w ciąży, matka, ojciec, wsadza się ich do więzienia, a w tym czasie inne cztery lub pięć osób zostaje przestępcami, z głodu. Postąpiłeś dobrze czy źle? Nie wiem. Taki jak ja jest zmuszony do podejmowania decyzji błyskawicznie i robi to, co uważa za słuszne.

Ulicą idzie pod rękę czterech mężczyzn. Śpiewają i śmieją się. Mają czarne koszule.

– A oni? Co sądzisz o tym rządzie? Podoba ci się ten powiew nowości, chęć zmiany wszystkiego?

Potrząsa głową i typowym dla siebie nerwowym gestem dłoni odgarnia kosmyk włosów z czoła.

– Wydają mi się nieszkodliwymi bufonami. Bruno Modo, lekarz sądowy, uważa, że są niebezpieczni, i nie traci okazji, aby wdawać się w długie przemowy przeciwko Mussoliniemu i jego zwolennikom. Ja z kolei uważam, że nie wpływają bardzo na życie ludzi. Ci, którzy głodowali, nadal głodują, sytym nadal nie chce się jeść. Żeby więcej zrozumieć, powinieneś może porozmawiać z tym lekarzem.

Przytakuję, rozmowa z Modo będzie niezwykle ciekawa, porozmawiam z nim przy najbliższej okazji. Przyglądam się Ricciardiemu, kiedy zerka na pusty stolik. Wydawałby się młodszy, niż jest, gdyby nie te oczy. Mogłyby mieć sto lat.

Pod wpływem impulsu pytam go:

– Myślałeś kiedyś, że to wszystko nieprawda? Że to owoc twojej wyobraźni, wytwór chorego umysłu, to całe twoje cierpienie, mówiący zmarli, pokiereszowane ciała?

Przez chwilę nic nie mówi, jego oczy wpatrują się w pustkę. Potem odpowiada.

– Tak, myślałem o tym. I czasami myślę nadal. Kiedy chcę się upewnić, kiedy nie jestem już w stanie dłużej tego znieść. Chciałbym, żeby to był tylko mój problem, wytwór chorego umysłu, i żeby rzeczywistość była ich pozbawiona. Chciałbym, żeby umierało się i odchodziło w ciszy, nikomu nie przeszkadzając. Niestety widzę coś, co temu przeczy. Odnajduję dowody, ale dopiero potem. Widzę to, co naprawdę się wydarzyło. Sam wiesz, że chętnie bym się tego pozbył.

Tak, wiem.

Nagle salka Caffè Gambrinus wydaje mi się za mała i brakuje mi powietrza. Czas mojej podróży dobiega końca. Kontury przedmiotów blakną i tracą kolory.

Ricciardi, jak gdyby usłyszał moje myśli, podnosi się. Zadaje mu ostatnie pytanie.

– Według ciebie, jak to się skończy, Ricciardi? Kiedy i jak zakończy się twoja historia?

Patrzy na mnie, z rękami w kieszeniach, postawionym kołnierzem płaszcza i kosmykiem włosów na czole.

– To chyba ja chciałbym zadać ci to pytanie? Ale wiem, że ty, tak jak i ja, nie znasz odpowiedzi. W sumie to nawet nie chcę tego wiedzieć.

Odwraca się, żeby odejść, ale musi mi jeszcze coś powiedzieć. Robi to odwrócony plecami, nawet na mnie nie patrząc.

– Przy tamtym stoliku, siedział w rogu. Przyszedł tu się otruć jakieś dwa miesiące temu. Narzeczona wyjechała z innym do Ameryki. Przychodzili tu razem, śniąc o przyszłości, a teraz toczy pianę z ust i cały czas pyta: *Dlaczego?* To absurdalne, nie sądzisz?

Patrzę na ten stolik i nikogo nie widzę. Także plecy Ricciardiego stają się coraz bardziej niewidoczne, jak przedmioty zamieniające się we wspomnienia.

Podziękowania

Ricciardi musi podziękować za to, że istnieje, Francescowi Pinto i Domenicowi Procacciemu, którzy go chcieli i popierali; Aldowi Putignanowi, Michelelem Antoniellemu i Antoniowi Formicoli, którzy nakreślili go i prowadzili; Giuliovi Di Mizio za jego spojrzenie na śmierć; Stefanii Negro i Anniemarii Torroncelli za pokazanie mu lat trzydziestych; Giovanniemu i Robertowi, tak wesołym, a stojącym u początku.

Za zachętę do pisania autor dziękuje tylko jednej osobie: swojej cudownej Paoli.

Przypisy

[1] Kwestura – w kraju, w którym istnieje ponad pięć rodzajów policji, nazewnictwo często sięga czasów rzymskiego imperium. Zarządzana przez kwestora kwestura to oddział państwowej policji działający w stolicy każdej włoskiej prowincji (przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Quartieri Spagnoli – czyli Dzielnice Hiszpańskie. Stara, mroczna, niebezpieczna część Neapolu. W czasach dominacji hiszpańskiej mieściły się tu garnizony.

[3] Jak w każdym włoskim biurze w tych czasach, tak i tu wisiały portrety króla (niskiego wzrostu) Wiktora Emanuela III i duce Benito Mussoliniego, nazywanego Łysym lub Szczękaczem.

[4] *Surrogato* – popularny w obłożonych embargiem Włoszech erzac, na przykład kawa z jęczmienia lub cykorii.

[5] Neapol, stolica pizzy, ma także pizzę smażoną we wrzącym oleju (*pizza fritta*), sprzedawaną często na ulicy.

[6] Galeria, czyli Galleria Umberto I – dziewiętnastowieczna galeria handlowa w centrum Neapolu, wzorowana na tej najsłynniejszej we Włoszech – mediolańskiej galerii Vittorio Emanuele.

[7] Wszystkie cytaty z opery *Rycerskość wieśniacza* pochodzą z polskiego tłumaczenia libretta wydanego we Lwowie nakładem wydawnictwa Gubrynowicz i Syn (Biblioteka Narodowa).

[8] Kras (Carso) – płaskowyż na terenie dzisiejszych Włoch i Słowenii, miejsce wielu bitew podczas I wojny światowej.

[9] *Sfogliatella* – jeden z gastronomicznych symboli miasta. Tutaj zastępuje jedzone w całym Włoszech na śniadanie rogaliki. Te trójkąty z ciasta francuskiego, z nadzieniem lub bez, można dostać w każdym barze. Istnieją ich dwie odmiany: *frolla* (krucha) i *riccia* (listkowana), różniące się tylko zewnętrzną warstwą ciasta.

[10] W oryginale *femminiello* – to kolejna neapolitańska specjalność, miejscowy trans. Homoseksualista nie tylko przebrany za kobietę, ale także doskonale czujący się jako kobieta.

[11] Esposito to typowe nazwisko nadawane neapolitańskim podrzutkom. Pochodzi od słowa *esposto* – wystawiony w Oknie Życia znajdującym się w klasztorach.